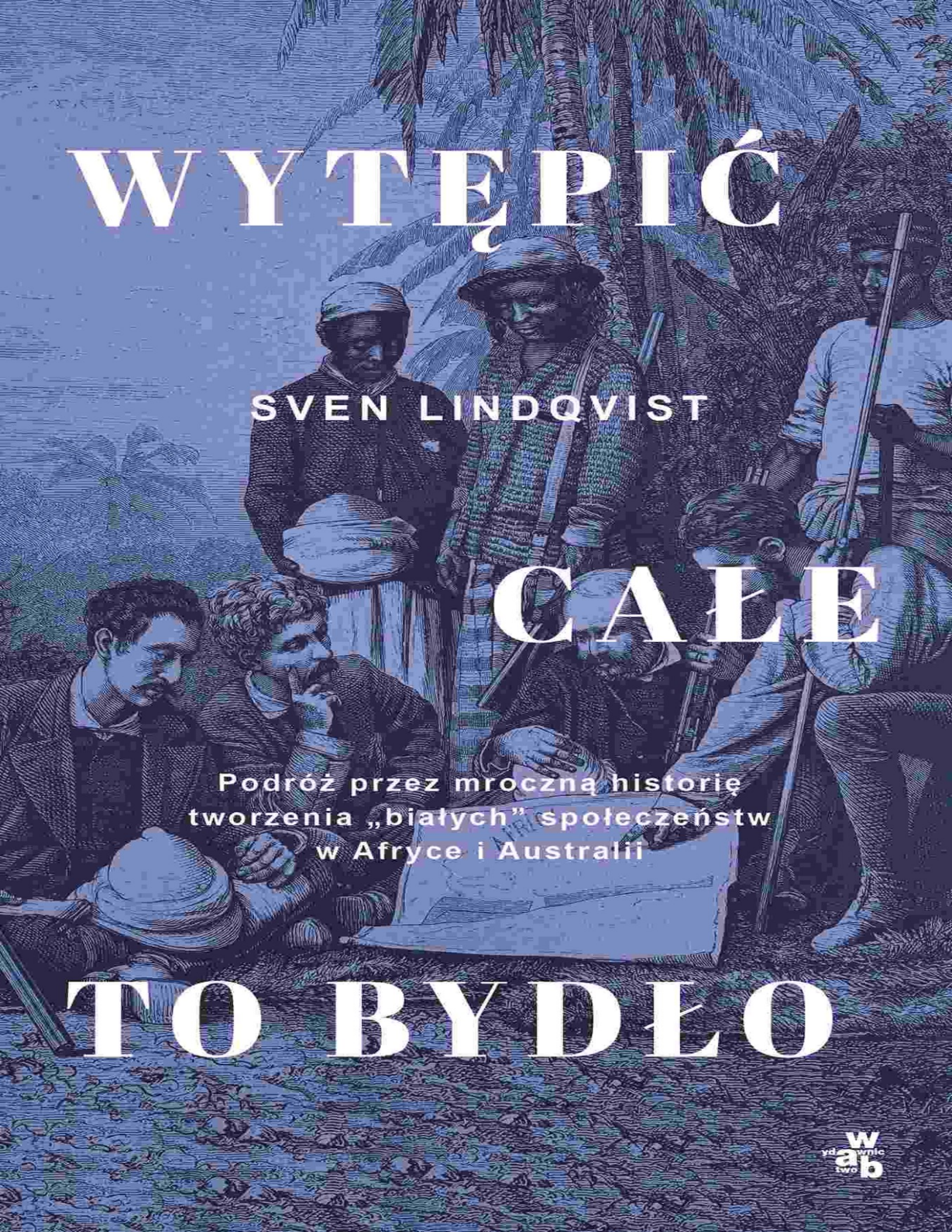

WYTĘPIĆ CAŁE TO BYDŁO

SVEN LINDQVIST

Podróż przez mroczną historię
tworzenia „białych" społeczeństw
w Afryce i Australii

wydawnictwo w a b

Sven Lindqvist

WYTĘPIĆ CAŁE TO BYDŁO

Przełożyła Milena Haykowska

Tytuł oryginału: *Utrota varenda jävel*
Copyright © Sven Lindqvist, 1992
Published by arrangement with Agence Litteraire Pierre Astier & Associés
ALL RIGHTS RESERVED
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2011

spis treści

Dedykacja

Motto

I

- do Ajn Salih
- placówka cywilizacji
- do Ksar Murabtin

II

- bogowie oręża
- do Tam
- przyjaciele

III

- do Arlit
- odkrycie Cuviera
- do Agadez

IV

narodziny rasizmu

krąg życia, krąg śmierci

do Zinder

Przypisy

Olofowi Lagercrantzowi[1], podróżującemu z *Jądrem ciemności*
Etienne Glaserowi[2], grającemu Adolfa w sztuce *Dzieciństwo Hitlera*[3]

Na dobrą sprawę powinno się wytępić wszystkich Żydów i murzynów. Zwyciężymy. Pozostałe rasy znikną i wymrą.

Organizacja Oporu Rasy Aryjskiej, Szwecja 1991

Możecie nas wytępić. Dzieci Gwiazd jednak nigdy psami nie będą.

Somabulano, Rodezja 1896

I

do Ajn Salih

1

Wiesz już wystarczająco dużo. Ja też. To nie wiedzy nam brakuje. Brak nam odwagi, by zrozumieć to, co wiemy, i wyciągnąć z tego wnioski.

2

Tadmait, „pustynia nad pustyniami”, to najbardziej martwa część Sahary. Bez śladu roślinności. Wszelkie życie tu zgasło. Ziemię pokrywa czarny, lśniący pustynny werniks, żarem wyciśnięty z kamieni.

Nocny autobus, jedyny z El Golea do Ajn Salih, jedzie, przy odrobinie szczęścia, siedem godzin. O miejsce siedzące trzeba stoczyć batalię z gromadą żołnierzy w ciężkich buciorach, wytrenowanych w algierskiej szkole walki wręcz w Sidi bel-Abbes. Ktoś, kto dźwiga pod pachą kwintesencję myśli europejskiej zamkniętą w niemal już muzealnym komputerze, jest w tej sytuacji z góry przegrany.

Przy bocznej drodze do Timimun przez wyłom w murze sprzedają ciepłą kartoflankę z chlebem. Potem wyboisty, rozjeżdżony asfalt kończy się i autobus toczy się dalej przez bezdrożną pustynię.

To prawdziwe rodeo. Pojazd zachowuje się jak nieujeżdżony młody koń. Grzechocąc szybami, skrzypiąc resorami, kołysze się i podskakuje, prąc naprzód. Każdy wstrząs przenosi się na komputer, który trzymam na kolanach, i czuję to aż w miękkich chrząstkach kręgosłupa, chwiejącego się jak wieża z klocków. Kiedy już nie można siedzieć, chwytam się półki na bagaż i próbuję pozycji wiszącej lub przykucam.

To jest właśnie to, czego się obawiałem. To jest to, za czym tęskniłem.

Wspaniała noc księżycowa. Godzina za godziną obok nas płynie biała przestrzeń: kamienie i piasek, kamienie i żwir, żwir i piasek – wszystko skrzy się jak śnieg. Godzina za godziną. Nie dzieje się nic aż do momentu, kiedy nagle w ciemności rozpala się płomień. To sygnał. Jeden z pasażerów zatrzymuje pojazd, wysiada i rusza prosto przed siebie w pustynię.

Odgłos jego kroków znika w piasku. Wkrótce znika i on. Także i my znikamy w tym białym mroku.

3[4]

Kwintesencja myśli europejskiej? Tak, istnieje zdanie, krótkie i proste zdanie, trzy lub cztery słowa opisujące dzieje naszej części świata, naszego człowieczeństwa, całą historię naszej biosfery od holocenu po Holocaust.

Nie mówi ono jednak nic o Europie jako ojczyźnie humanizmu, demokracji i dobrobytu. Nie mówi więc nic o tym wszystkim, z czego nie bez racji jesteśmy dumni. Niesie jedynie tę prawdę, którą najchętniej wymazalibyśmy z pamięci.

Studiowałem to zdanie wiele lat. Zebrałem ogromny materiał, na którego przeanalizowanie nigdy nie znalazłem czasu. Chciałbym zniknąć gdzieś w tej pustyni, gdzie nikt by mnie nie znalazł, gdzie miałbym czas tylko dla siebie. Zniknąć i nie wrócić, dopóki nie zrozumiem tego, co już wiem.

4[5]

Wysiadam w Ajn Salih.

Księżyc już nie świeci. Autobus zabiera z sobą światło i znika. Dookoła mnie panuje gęsta ciemność.

To właśnie pod Ajn Salih napadnięto i obrabowano Aleksandra Gordona Lainga, szkockiego podróżnika i odkrywcę. Dostał pięć ciosów w ciemię i trzy w lewą skroń. Jeden z nich, lądując na lewej kości policzkowej, strzaskał szczękę i zmiażdżył ucho. Potworna rana na karku uszkodziła tchawicę, a kula wystrzelona w biodro doszła aż do kręgosłupa. Trzy ciosy w prawe ramię i rękę, złamane trzy palce, zmiażdżony nadgarstek etc., etc.

Gdzieś daleko, w ciemności, miga blask ognia. Zaczynam wlec w jego kierunku moją ciężką elektronikę i jeszcze cięższą torbę.

Łachy naniesionego wiatrem czerwonego piachu przecinają drogę. Na zboczach wydm sypki piasek zbiera się, tworząc zaspy. Robię dziesięć kroków, odpoczywam i znów dziesięć kroków. Światło wcale nie staje się bliższe.

Lainga napadnięto w styczniu 1825 roku. Ale strach jest ponadczasowy. Thomas Hobbes w XVII wieku bał się samotności, nocy i śmierci tak samo jak ja. „Istnieją na świecie ludzie okrutni" – mówił do swego przyjaciela Aubreya – „którym zabicie człowieka sprawia większą przyjemność niż tobie upolowanie dzikiego ptaka".

Ogień wydaje się nadal bardzo odległy. Czy mam „zaparkować" komputer i torbę, aby było mi lżej iść? Nie. Usiądę w tym pyle i poczekam do świtu.

I nagle dociera do mnie podmuch wiatru niosący tuż nad ziemią woń palonego drewna.

Czy zapachy pustyni czuje się intensywniej dlatego, że jest ich tu niewiele? A może na pustyni drewno jest bardziej skondensowane i z tego powodu bardziej aromatyczne? Pewne jest, że ogień, który dla oka wydawał się tak daleki, nagle dla nosa okazuje się o wiele bliższy.

Wstaję i ruszam dalej.

Z mocnym postanowieniem osiągnięcia celu docieram w końcu do siedzących wokół ogniska ludzi.

Pozdrawiam. Pytam. I dowiaduję się, że idę w całkiem przeciwnym kierunku. Wystarczy zawrócić, mówią.

Dochodzę więc po swoich śladach do przystanku, na którym wysiadłem.

A potem dalej, na południe, wciąż w ciemnościach nocy.

5[6]

„Lęk pozostaje zawsze” – mówi Conrad. – „Człowiek może zniszczyć w sobie doszczętnie wszystkie uczucia – miłość i nienawiść, i wiarę, i nawet zwątpienie. Ale póki lgnie do życia, nie może zniszczyć lęku”.

Hobbes zgodziłby się z nim. Mogliby więc, poprzez wieki, podać sobie ręce.

Dlaczego nieustannie podróżuję, skoro tak bardzo boję się podróży? Dlaczego podróżował Artur Lundkvist[7], który też się bał?

Może w lęku szukamy sposobu na wyostrzenie naszych zmysłów, intensywniejszej formy egzystencji? Boję się, więc jestem. Im bardziej się boję, tym bardziej istnieję?

6

W Ajn Salih jest tylko jeden hotel – duży, drogi, państwowy hotel Tidikelt. Kiedy wreszcie udaje mi się go znaleźć, ma do zaoferowania jedynie mały, ciemny i lodowato zimny pokój, którego system ogrzewania już dawno temu przestał funkcjonować.

Wszystko poza tym takie jak zawsze na Saharze: ostry zapach detergentów, skrzypiące drzwi z nienaoliwionymi zawiasami i opuszczone do połowy rolety. Doskonale rozpoznaję znajomy kiwający się stół z krótszą jedną nogą, woalkę piasku na jego blacie, na poduszce i umywalce. Nie jest mi też obcy kran, który po całkowitym odkręceniu zaczyna powoli kapać, a napełniwszy do połowy szklankę do mycia zębów, poddaje się z ciężkim westchnieniem. Dobrze znam także surowo, niemal po wojskowemu zaścielone łóżko, na którym nie da się położyć inaczej niż w pozycji „na baczność”. Pościel, przymocowana do dolnej części łóżka, wystarcza na przykrycie połowy ciała mniej więcej do wysokości pępka, broniąc dziewiczo nienaruszonego posłania.

OK, podróżować może i trzeba, ale dlaczego aż tu?

7

Dźwięk uderzeń ciężkiego młota. Spadają na krtań. Odgłos przypominający zgniatanie skorupki jajka i charczenie bitych ludzi usiłujących rozpaczliwie złapać oddech.

Budzę się w końcu późnym popołudniem ubrany w to, w czym przyjechałem. Łóżko jest czerwone od piasku, który przyniosłem z autobusu. Każdy kolejny cios miażdży krtań. Ostatni pewnie zmiażdży moją.

8

Hotel leży otulony lotnym piaskiem, samotny przy pustej drodze wiodącej przez jałową równinę. Brnę w głębokim piachu. Słoneczny młot pulsuje nieubłaganie. Światło jest równie oślepiające jak ciemność. Gorące powietrze tnie twarz jak cieniutka warstewka lodu.

Pół godziny zajmuje dojście do poczty, od której z kolei jest równie daleko do banku i rynku. Stare miasto leży skulone w sobie, niedostępne dla słońca i piaskowych burz. Natomiast nowa część rozciąga się szeroko i nowoczesnymi rozwiązaniami planistycznymi usiłuje spotęgować saharyjską pustkę.

Czerwonobrązowe gliniane fasady w centrum miasta ożywiają białe kolumny i portale, białe wieżyczki i korony murów. Styl nazywany jest „sudańskim”, czarnym, od „Bled es-Sudan” – ziemia czarnych. W istocie ten pełen fantazji styl stworzony został przez Francuzów specjalnie na Wystawę Światową w Paryżu w 1900 roku, a dopiero później przeniesiony tu, na Saharę. Nowoczesna część miasta jest szara od stosowanego na całym świecie betonu.

W drodze powrotnej czuję na twarzy ostry wiatr wiejący od wschodu. W hotelu przeważają kierowcy ciężarówek i obcokrajowcy, w większości Niemcy – wszyscy w drodze „do góry” lub „na dół”, jakby byli na schodach. Każdy pyta każdego o drogę, o benzynę, o ekwipunek, wszyscy pochłonięci są jedną myślą: wyruszyć w dalszą drogę najszybciej jak to możliwe.

Przymocowuję mapę do ściany i oceniam odległości. Dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów pustynnej drogi na wschód do najbliższej oazy Reggan. Najbliższa na północy El Golea, z której właśnie dotarłem – czterysta kilometrów. Na wschód oaza Bordż Omar Driss – pięćset kilometrów w prostej linii. Na południe – Tamanrasset, sześćset. Do najbliższego morza, Śródziemnego – tysiąc kilometrów w prostej linii i tysiąc trzysta do najbliższej rzeki, Nigru. Na zachodzie morze jest w odległości tysiąca pięciuset kilometrów, na wschodzie zaś leży tak daleko, że nie ma to już żadnego znaczenia.

Za każdym razem, kiedy widzę te odległości od miejsca, w którym się znajduję, za każdym razem, kiedy uświadamiam sobie, że jestem tu, w zerowym punkcie pustyni, przeszywa mnie dreszcz szczęścia. Właśnie dlatego tu jestem.

9[8]

Żebym tylko mógł uruchomić komputer. Czy zniósł wstrząsy i pył. Dyskietki nie są większe od kartki pocztowej. Mam ich z sobą kilka setek, w hermetycznych opakowaniach. To cała biblioteka, która nie waży więcej niż jedna książka.

Mogę w każdej chwili wejść w dowolny moment historii Zagłady, od początków paleontologii, gdy Thomas Jefferson uważał za niewyobrażalne, by z systemu biologicznego mógł zniknąć choćby jeden gatunek – aż do dzisiejszej wiedzy, według której 99,99 procent wszystkich gatunków już na dobre wymarło, i to tych największych. Nieomal całe życie zgaszone masowymi zabójstwami.

Dyskietka waży pięć gramów. Wsuwam ją do komputera i włączam prąd. Ekran rozjaśnia się blaskiem i fraza, którą od tak dawna studiuję, oślepia mnie w mroku pokoju.

„Europa” wywodzi się z semickiego słowa oznaczającego mrok. Litery płonące na ekranie układają się w prawdziwie europejskie zdanie. To pogląd istniejący na długo zanim na przełomie lat 1898 i 1899 sformułował go polski pisarz, który często myślał po francusku, ale pisał po angielsku: Joseph Conrad.

Kurtz, główny bohater *Jądra ciemności*, kończy swój raport o niesieniu cywilizacji wśród dzikich w Afryce odręcznym postscriptum. Wydobywa ono z górnolotnej retoryki dzieła jego prawdziwą treść.

I to zdanie teraz świeci z ekranu:

„Exterminate all the brutes”.

10[9]

Łacińskie *„extermino”* oznacza „wygnać poza granice”, *„terminus”* – „skazać na wygnanie”. Z tych pojęć powstało angielskie *„exterminate”*, co znaczy „wygnać poza granice życia, deportować z życia”.

W języku szwedzkim nie znajduję bezpośredniego odpowiednika tego słowa. Można powiedzieć „wytępić”, choć jest to właściwie zupełnie inne słowo, odpowiadające angielskiemu *„extirpate”* z łacińskiego *„stirps”*, czyli „korzeń, plemię, ród”.

Zarówno w szwedzkim, jak i w angielskim już z samego czasownika wynika, że pojęcie to rzadko odnosi się do pojedynczego osobnika, częściej zaś dotyczy całej grupy, na przykład perzu, szczurów czy też narodu.

Dalszy ciąg zdania *„all the brutes”* w starym szwedzkim przekładzie brzmi „wszystkie bestie”. Rzecz jasna *„brute”* można tłumaczyć jako „bestia”. Przede wszystkim jednak pojęcie to oznacza zwierzę, ze szczególnym naciskiem na to, co w nim najbardziej zwierzęce. Europejczycy od pierwszych kontaktów z mieszkańcami Afryki nazywali ich właśnie zwierzętami i opisywali jako *rude and beastlike*, *like to brute beasts* oraz *more brutish than the beasts they hunt*.

W nowym tłumaczeniu słowo *„brute”* jest także przekleństwem i znaczy „hołota”. Jest to wersja łagodniejsza. Ja chcę jednak zachować brutalną moc tego pierwotnego zdania i tłumaczę je: „Wytępić całe to bydło”[10].

11[11]

Kilka lat temu wydawało mi się, że znalazłem źródło Conradowskiego *„exterminate all the brutes”* w pracach filozofa Herberta Spencera, rzecznika liberalizmu.

Pisze on w *Social Statics* (1850), że imperializm przysłużył się cywilizacji usunięciem z powierzchni ziemi ras niższych.

> Siły realizujące wszechogarniającą koncepcję całkowitego szczęścia nie biorą pod uwagę cierpienia, jakie niesie ze sobą podporządkowanie, i usuwają (*exterminate*) te sfery życia, które stoją na drodze do sukcesu. Czy to będzie ludzka istota, czy też zwierzę (*brute*) – przeszkoda musi zostać usunięta.

Tu odnajdujemy zarówno cywilizacyjną retorykę Kurtza, jak i słowa-klucze *„exterminate”* i *„brute”*, a także człowieka, który na dodatek został wyraźnie postawiony na równi ze zwierzęciem jako obiekt przeznaczony do wytępienia.

Wydawało mi się, że dokonałem małego naukowego odkrycia, wystarczająco wartościowego, by kiedyś odnotowano je w historii literatury. Słowa wypowiedziane przez Kurtza „wyjaśnia” filozofia wyniszczenia Spencera. Ona zaś z kolei była – jak sądziłem – odbiciem osobistych przeżyć z dzieciństwa, kiedy to całe rodzeństwo myśliciela zabrała śmierć. Uspokajający i bezpieczny wniosek.

12[12]

Gdybym zakończył przemyślenia w tym punkcie, wierząc, że wiem już wystarczająco dużo, popełniłbym błąd. Drążyłem więc problem dalej.

Dość szybko przekonałem się, że Spencer nie był odosobniony w swoich przekonaniach. Nie były one wówczas niczym niezwykłym, a stały się jeszcze bardziej popularne w drugiej połowie XIX wieku. Toteż niemiecki filozof Eduard von Hartmann mógł napisać w drugim tomie swojej pracy *Philosophie des Unbewussten, Versuch*

einer Weltanschauung, którą Conrad czytał w angielskim tłumaczeniu (1884):

> Jeśli musimy obciąć psu ogon, to nie przysłużymy się zwierzęciu, obcinając go stopniowo, cal po calu. Równie nieludzkie jest przedłużanie sztucznymi metodami walki ze śmiercią dzikiego ludu i tak stojącego na skraju zagłady.

Prawdziwy przyjaciel człowieka nie może pragnąć niczego innego, kontynuuje Hartmann, jak tylko przyspieszenia agonii tego dzikiego ludu i powinien działać na rzecz tego celu.

To, co sformułował Hartmann, nie było niczym niezwykłym w owym czasie. Prywatnie ani jego, ani Spencera nikt nie potraktowałby jako nieludzkich. Za to Europa taka właśnie była.

Frazę „Wytępić całe to bydło" dzieli od serca humanizmu dystans nie większy niż odległość od Buchenwaldu do domu Goethego w Weimarze. Ta świadomość została prawie całkowicie wyparta – nawet przez Niemców zmuszonych samotnie dźwigać winę za Zagładę, która w gruncie rzeczy jest wspólną własnością całej Europy.

13[13]

Co pewien czas poprzez niemieckich podróżników dociera do mnie na pustyni echo trwającego w Niemczech sporu o wciąż obecną tam przeszłość. Ten „Historikerstreit"[14], jak się go nazywa, obraca się wokół pytania: Czy zagłada Żydów jest *einzigartig*, a więc jedyna w swoim rodzaju, czy też nie?

Ernst Nolte w jednej ze swoich prac określił „tak zwaną zagładę Żydów przez Trzecią Rzeszę" jako „reakcję lub zniekształconą kopię, a nie pierwotne, oryginalne przedsięwzięcie". Wzorcem była, jego zdaniem, likwidacja kułaków w Związku Radzieckim w latach dwudziestych XX wieku i stalinowska czystka lat trzydziestych. Te właśnie działania skopiował Hitler.

Na to zareagował Habermas i w ten sposób rozpoczął się spór.

Wydaje się, że teza, jakoby los kułaków stał się przyczyną zagłady Żydów, została zarzucona i większość utrzymuje, że wszelkie wyda-

rzenia historyczne są w tym sensie *einzigartig*, stanowią unikatowe zjawiska, niebędące wzajemnymi kopiami. Można je natomiast porównywać. Doszukiwać się podobieństw i różnic między zagładą Żydów a innymi masowymi mordami, począwszy od najczęściej wymienianej tureckiej masakry Ormian na początku XX wieku po zbrodnie Pol Pota.

Nikt jednak nie wspomina o wymordowaniu przez Niemców, w latach gdy Hitler był dzieckiem, ludu Hererów w południowo-zachodniej Afryce. Nikt też nie mówi o ludobójstwach popełnianych przez Francuzów, Brytyjczyków czy Amerykanów. Nikt nie wskazuje na widoczną w okresie dzieciństwa Hitlera cechę europejskiego pojmowania ludzkości. Było nią przekonanie, że „rasy podrzędne" już przez samą naturę skazane zostały na zagładę, a ułatwianie tego procesu jest tylko przejawem prawdziwego miłosierdzia „ras wyższych".

Wszyscy niemieccy historycy uczestniczący w debacie spoglądają, jak się wydaje, w jednym kierunku. Żaden z nich nie patrzy na Zachód. Hitler tymczasem tam właśnie kierował swój wzrok. To, co chciał stworzyć, szukając „przestrzeni życiowej" na Wschodzie, miało być kontynentalnym odpowiednikiem brytyjskiego imperium. U Brytyjczyków i wśród innych zachodnich społeczeństw znajdował wzory, których „zdeformowaną kopią" stało się unicestwienie Żydów.

placówka cywilizacji

Exterminating all the niggers

14[15]

22 czerwca 1897 roku, w tym samym roku, gdy w Niemczech pojawiło się pojęcie „przestrzeni życiowej”, brytyjska polityka ekspansji osiągnęła punkt kulminacyjny. Największe imperium w historii świata czciło swoje narodziny z niespotykaną arogancją.

Reprezentanci wszystkich podległych Brytyjczykom narodów i terytoriów, blisko jednej czwartej kuli ziemskiej i jej mieszkańców, zgromadzili się w Londynie, by uczcić sześćdziesiątą rocznicę wstąpienia na tron królowej Wiktorii.

W owym czasie ukazywało się pismo „Cosmopolis”, skierowane do wykształconej warstwy Europejczyków, z artykułami w językach niemieckim, francuskim i angielskim.

Przed wybraną i światłą europejską widownią porównywano w nim Wiktorię z Dariuszem, Aleksandrem Wielkim i Augustem. Żaden z tych starożytnych królów nie mógł się jednak pochwalić ekspansją na tak wielką skalę.

Jej imperium powiększyło się o trzydzieści i pół miliona kilometrów kwadratowych i o sto pięćdziesiąt milionów poddanych. Przerastało ono Chiny, które z czterystoma milionami mieszkańców uważane były dotychczas za najludniejsze państwo na ziemi.

Pozostałe mocarstwa europejskie, twierdzono, nie zdawały sobie sprawy z potęgi militarnej Imperium Brytyjskiego. Brytyjczycy w większym stopniu niż jakikolwiek inny naród odznaczali się instynktem walki i żołnierskim duchem. Jeśli chodzi o flotę, Imperium nie tylko miało przewagę, ale bezapelacyjnie panowało na morzach.

Brytyjczycy nie upajali się sukcesami niemającymi bez wątpienia odpowiedników w historii, lecz pełni pokory łączyli je ze szczególną łaską, jaką obdarzał ich wszechmogący Bóg.

Jak również, rzecz jasna, z osobą samej królowej. Siła jej charakteru nie dała się być może zmierzyć z naukową precyzją, lecz wpływ królewskiego autorytetu był niewątpliwie ogromny. Jak donosił zagraniczny kronikarz:

> Dzisiejsza ceremonia świadczy o triumfie, jakiego jeszcze nigdy nie świętowano: silniejsze poczucie tożsamości narodowej, ożywiony handel, więcej uprawianej ziemi, mniej bestialstwa, więcej pokoju i wolności. To nie przesada, to prosta statystyka...
> Naród świadomie i z pełnym zrozumieniem wyraził aprobatę dla swej wielkiej potęgi, kolonialnych sukcesów, autentycznej jedności i dla wielkiego, obejmującego dużą część świata, terytorium. I cieszył się z tego.
> Okrzyki hurra oznaczały: Nigdy nie byliśmy tak silni. Niech cały świat wie, że nie zamierzamy być słabsi także w przyszłości!

Tak brzmiał rok 1897. Niemieccy i francuscy wydawcy pisma przyłączali się do wiwatującego chóru. Wszystkie spojrzenia kierowały się w tę samą stronę. Dlatego opowiadanie otwierające numer jubileuszowy musiało wywołać wyjątkowo silny wstrząs.

15[16]

Mówi ono o dwóch Europejczykach, Kayertsie i Carlierze, zesłanych przez cynicznego dyrektora spółki na małą placówkę handlową u brzegu wielkiej rzeki.

Ich jedyną lekturą jest pożółkła gazeta, gdzie w pompatycznych słowach sławiono „naszą ekspansję kolonialną". Podobnie w jubileuszowym numerze „Cosmopolis" przedstawiano kolonie – jako święte dzieło w służbie Cywilizacji. Artykuł w pożółkłej gazecie wysławiał przymioty pionierów niosących światło, wiarę i handel w „ciemnych zakątkach" ziemi.

Początkowo dwaj kompani dają wiarę wielkim słowom. Stopniowo jednak odkrywają, że to tylko dźwięki, *sounds*. A dźwięki wyrwa-

ne z kontekstu społecznego, w którym powstały, pozbawione są jakiejkolwiek treści. Dopóki policjant stoi na rogu ulicy, dopóki w sklepiku można kupić coś do jedzenia i jesteś wydany na osąd opinii publicznej – tak długo twoje dźwięki niosą z sobą poczucie przyzwoitości. Społeczeństwo jest warunkiem posiadania sumienia.

Wkrótce obaj są gotowi do podjęcia się handlu niewolnikami i masowych mordów. Kiedy kończy się prowiant, wybucha między nimi kłótnia o kawałek cukru. Kayerts ucieka, sądząc, że jego towarzysz ściga go z pistoletem. Gdy więc niespodziewanie wpadają na siebie, Kayerts strzela. Jest głęboko przekonany, że czyni to w obronie własnej. Dopiero po chwili dociera do niego, że w panice zabił bezbronnego człowieka.

Jakie to ma jednak znaczenie – pojęcia „cnota" i „zbrodnia" to przecież tylko dźwięki. Tysiące ludzi umiera każdego dnia, myśli Kayerts, siedząc przy zwłokach. Może nawet i setki tysięcy – kto wie? Jeden więcej lub mniej nie powinien mieć większego znaczenia, przynajmniej dla istoty myślącej.

A on, Kayerts jest przecież istotą myślącą. Do tej pory, podobnie jak reszta ludzkości, dreptał w kółko i wierzył w masę nonsensów. Dziś wreszcie, po raz pierwszy, naprawdę myśli. Teraz już wie. Teraz wyciąga wnioski z tego, co wie.

Kiedy nadszedł poranek, przez mgłę przebił się nieludzki, wibrujący dźwięk. Parowiec spółki, na którego powrót obaj mężczyźni czekali od miesięcy, dobił do brzegu!

Dyrektor wielkiej firmy Cywilizacja schodzi na ląd i dostrzega ciało Kayertsa, który powiesił się na nagrobnym krzyżu swojego towarzysza. Choć wisi w pozycji na baczność, przynajmniej tak to wygląda, w śmiertelnym odruchu pokazuje język dyrektorowi.

16[17]

I nie tylko dyrektorowi. Kayerts pokazuje czarny opuchnięty język sławiącym jubileusz artykułom towarzyszącym opowiadaniu, całej ideologii triumfującego imperializmu.

Naturalną reakcją na opublikowane po raz pierwszy w „Cosmopolis" opowiadanie Josepha Conrada *Placówka postępu* było traktowanie tego tekstu jako komentarza do obchodzonego jubileuszu. W istocie jednak napisał je rok wcześniej, w czerwcu 1896, w czasie podróży poślubnej Conrada po Bretanii. Był to zresztą jeden z pierwszych jego utworów.

Materiał do niego Conrad zaczerpnął z pobytu w Kongu. Płynął w górę rzeki na jednym z parowców należących do Kompanii. Widział te małe stacje handlowe i słuchał opowieści współpasażerów. Jeden z nich nazywał się właśnie Keyerts.

Całe sześć lat Conrad trzymał materiał z tej podróży. Dlaczego został przywołany akurat teraz? Poważną debatę na temat Konga rozpoczęto w roku 1903. Co więc spowodowało, że w lipcu 1896 roku Conrad nie tylko przerwał podróż poślubną, ale także pracę nad nową powieścią, by zamiast niej napisać inną, o Kongu?

17

Przeprowadziłem się. Wynajmuję tani pokój w byle jakim hotelu Badżuda, naprzeciwko wejścia na targ. Stołuję się u Ben Haszem Mulaya w „Restauracji Przyjaciół". O zmierzchu przesiaduję na ruchliwej ulicy pod iglastymi drzewami, piję kawę z mlekiem i obserwuję przechodniów.

Sto lat temu targ w Ajn Salih był pełnym życia miejscem spotkań na Saharze. Niewolników z południa wymieniano na transportowane z północy zboże, daktyle i towary przemysłowe. Niewolników nie trzeba było trzymać w zamknięciu – ucieczka z Ajn Salih oznaczała pewną śmierć na pustyni. Tych nielicznych podejmujących mimo wszystko próby ucieczki bardzo łatwo chwytano i karano. Miażdżono im jądra, przecinano ścięgna i zostawiano na pastwę losu.

Na tym niegdyś słynnym targowisku dziś można znaleźć trochę nędznych importowanych jarzyn, zwiędniętych już w momencie dostarczenia ich na bazar. Materiały tekstylne produkowane w kraju planowej gospodarki krzyczą wściekłymi, jadowitymi barwami.

Księgarnia wyspecjalizowała się w drugich tomach klasycznych arcydzieł, takich jak *Don Kichot* i dzieło Madame de Staël o Niemczech. Tomy pierwsze zostały przekazane do jakiejś innej oazy, najprawdopodobniej na podstawie rozdzielnictwa politycznego – nie byłoby przecież sprawiedliwe pozwolić, by zarówno tom pierwszy, jak i drugi poszukiwanych książek trafił do jednej oazy.

Jedyna naprawdę interesująca rzecz, jaką można znaleźć na tym targowisku, to skamieniałe drewno, resztki wielkich drzew umarłych miliony lat temu i pogrzebanych w piasku. Kwas krzemowy przeistoczył drewno w kamień, który uwolniwszy się z wędrującego dalej piasku, trafił właśnie tu.

Zbieranie skamieniałych kawałków drewna większych od ludzkiej pięści jest surowo zakazane. Ale nawet w tej zaciśniętej pięści jest wystarczająco dużo miejsca dla zielonych lasów Sahary. Mój kawałek leży na stole. Daje złudzenie żywego drzewa, pełnego zapachu mokrych od deszczu liści i szumu gęstej korony.

18

Kiedy byłem mały, ojciec, po powrocie z pracy najpierw szedł do babci i z nią się witał.

To nie podobało się matce. Za każdym razem czuła się zawiedziona.

Czy miłość między matką a synem nie była mocniejsza i prawdziwsza od tej, jaka łączy męża i żonę? Ojciec był przecież ukochanym synem babci, którego nosiła pod sercem, kiedy zmarł jej mąż. Synem, którego urodziła jako samotna matka. Mój ojciec, który nigdy nie widział własnego ojca, na nią właśnie przelał całą miłość.

Matka miała tego świadomość. Wyczuwałem to i ja. Babcię lubiłem najbardziej. W jej bezradności starego człowieka rozpoznawałem swoją własną bezradność dziecka.

Babcia pachniała babcią. Ta sama mocna słodko-kwaśna woń wydobywała się z jej pokoju i jej ciała. Matka nie mogła tego znieść,

szczególnie przy stole jadalnym. Babcia zdawała sobie z tego sprawę. Jadała w kuchni.

Od czasu do czasu matka dokonywała najazdu na pokój babci, by po raz kolejny spróbować usunąć źródło tego zapachu, co skazane było na niepowodzenie, ponieważ ów zapach pochodził od samej babci. Za każdym razem jednak matka usuwała „całą masę śmieci nagromadzonych przez babcię" i wyrzucała je, by pozbyć się znienawidzonego odoru.

Nawet ojciec nie był w stanie obronić babci. Ona naprawdę nieładnie pachniała. Nie mógł temu zaprzeczyć. Tak jak nie mógł zaprzeczyć, że zapach świadczył o brudzie, a brud należy usunąć. Logika wywodu była nie do podważenia. Jedyne, co ojciec mógł zrobić, to odroczyć lub łagodzić naloty, w czasie których babcia, płacząc, błagała o litość. Reszta należała do mnie.

Babcia była naszą krawcową i w zawiniątku pod łóżkiem przechowywała całą stertę ścinków i niepotrzebnych skrawków różnych materiałów zwanych szmatkami. Kiedy byłem bardzo mały, uwielbiałem bawić się tymi rozbudzającymi fantazję gałgankami. Z pasiastego kawałka koszuli nocnej ojca robiłem mężczyznę, a z fragmentu jedwabnej różowej bluzki matki – kobietę. Pomagała mi w tym babcia. Wspólnie wyczarowywaliśmy ludzi i zwierzęta.

Rozumiałem więc dobrze rozpacz babci, kiedy „ten chlew" miał zostać zlikwidowany. Próby matki, by zachować czystość, były dla mnie bezdusznym gwałtem takiego samego rodzaju, na jaki i ja byłem narażony. I dlatego grzebałem w śmieciach w poszukiwaniu przedmiotów należących do babci i ukrywałem je między swoimi rzeczami tak długo, aż niebezpieczeństwo minęło.

W taki oto sposób uratowałem między innymi starą pożółkłą książkę *W cieniu palm*.

19

W domu mojego dzieciństwa książki ustawiano w niezmiennym porządku. Te w miękkiej oprawie stały po lewej stronie regału, opra-

wione w płótno pośrodku, a te w półskórku po prawej.

Książki ustawiano w ten sposób z myślą o przybyszach z zewnątrz. Gość – tak nazywano każdego, kto nie należał do rodziny – stojąc w drzwiach, widział jedynie małą część regału, mógł więc przypuszczać, że wszystkie książki oprawione są w skórę ze złotym paskiem na grzbiecie. Po wejściu w głąb pokoju wciąż jeszcze mógł sądzić, że księgozbiór składa się z tomów oprawnych co najmniej w płótno. Dopiero kiedy stawał w miejscu pod żyrandolem, był w stanie dostrzec książki w miękkich okładkach stojące po lewej stronie regału.

Wśród oprawionych w skórę tkwiła książka *Trzy lata w Kongu* (1887). Były to wspomnienia trzech szwedzkich oficerów ze służby u króla Leopolda.

Jeden z doświadczonych podróżników po Afryce dał taką oto radę porucznikowi o nazwisku Pagels: najlepszym towarzyszem jest pejcz wykonany ze skóry hipopotama, „który po każdym uderzeniu zostawia na ciele krwawe znaki runiczne”.

Dla europejskiego ucha brzmi to może okrutnie, ocenił Pagels, ale on wiedział z doświadczenia, że to prawda. Szczególnie istotne jest, by sprawiać wrażenie obojętnego i niewzruszonego w trakcie wymierzania chłosty.

> Jeśli jesteś zmuszony nakazać wykonanie kary cielesnej, żaden mięsień na twarzy nie ma prawa ujawnić twoich emocji.

Porucznik Gleerup w swoim sprawozdaniu opowiada o tym, jak chłostał tragarzy, dopóki nie uległ atakowi wysokiej gorączki. Jak dopiero co wychłostani czule się nim opiekowali, jak rozpościerali nad nim białe szaty i doglądali go tak, jak dogląda się małego dziecka. Jak leżał z głową na kolanach jednego z nich, podczas gdy inny biegł w dół głębokiej doliny, by przynieść dla niego wodę. I oto wkrótce udało mu się stanąć na nogi. Świst pejcza mógł rozbrzmiewać na nowo.

Ale tak zachowywali się nieliczni czarni. Do „dzikusa” na ogół stosowało się miarę całkiem odmienną.

Pagels próbował, bez powodzenia, odkryć w nim choć jedną dobrą cechę.

> Gdybym leżał umierający i jedna szklanka wody mogłaby uratować mi życie, to żaden z dzikusów nie przyniósłby mi jej, jeślibym nie mógł zapłacić mu za ten ambaras.

Przyzwoitość, miłość, przyjaźń – tego brakuje dzikusowi, stwierdził Pagels. On szanuje jedynie czystą siłę. Przyjaźń traktuje jak głupotę. Toteż nie wolno nigdy okazywać dzikusowi przyjaźni.

Wolne Państwo Kongo musi wykonać gigantyczną pracę, by to wielkie przedsięwzięcie określane mianem cywilizacji zwieńczone zostało zwycięstwem, mówił Pagels. Dziękował Najwyższemu za błogosławieństwo nad szlachetnym, przyjaznym człowiekowi, wielkodusznym księciem, suwerenem ziemi kongijskiej, Jego Królewską Mością Leopoldem II, który tym staraniom przewodził.

Raporty trzech oficerów przedstawiono Szwedzkiemu Towarzystwu Antropologicznemu i Geograficznemu 30 września 1886 roku w sali bankietowej Grand Hotelu w obecności Króla, Następcy Tronu, a także książąt Gotlandii, Vestergötland i Nerike.

Nikt nie oponował.

Przeciwnie. Przewodniczący Towarzystwa, profesor i baron von Düben, wyjaśnił:

> Dumą napawa nas świadomość, że ci panowie podróżujący po Kongu, z wielkim wysiłkiem i w trudzie, starali się cały czas w tym niegościnnym kraju sławić imię Szwecji.

Taką prawdę przekazywał oprawny w skórę tom najbardziej widoczny na regale. Ale wśród nieoprawionych książek, w samym rogu, stała inna prawda, prawda pachnąca Babcią.

20

W Szwecji rodzice mieli prawo wymierzać karę chłosty swoim dzieciom aż do roku 1966. W wielu krajach europejskich takie prawo

nadal obowiązuje. Jeszcze dziś we Francji w sklepie z artykułami żelaznymi można kupić specjalną, przeznaczoną do karcenia żony i dzieci, skórzaną dyscyplinę zwaną *martinet*, składającą się z dziewięciu solidnych skórzanych rzemieni. Stąd szwedzka nazwa „kot o dziewięciu ogonach".

W domu moich rodziców używane były rózgi brzozowe. Niekiedy, w wyjątkowych okolicznościach, matka zabierała mnie do lasu po świeże witki. W tych momentach jej twarz wyglądała dokładnie tak, jak mówił Pagels. Ani jeden mięsień nie zdradzał jej uczuć.

Unikałem wszelkich spojrzeń. Wpatrywałem się w swoje czarne kalosze. Dochodziliśmy do Starego Stadionu, gdzie na skraju lasu rosły wierzby. Matka ścinała jedną gałązkę po drugiej i wypróbowywała je, wykonując kilka mocnych, świszczących smagnięć w powietrzu. Następnie oddawała je mnie. Niosłem je całą drogę do domu, przepełniony jedną, jedyną myślą: Oby nikt nas nie zobaczył!

Wstyd był najgorszą karą.

I oczekiwanie.

Cały dzień minął w wyczekiwaniu na powrót ojca do domu. Kiedy przyszedł, nie miał o niczym pojęcia. Widziałem to po jego twarzy, która była normalna, jak co dzień. Matka zatrzymała go, kiedy miał właśnie wejść do babci. Opowiedziała mu o tym, co okropnego się wydarzyło.

Zostałem wysłany do łóżka. Leżałem tam i czekałem, gdy oni tymczasem rozmawiali. Wiedziałem, co o mnie mówią.

W końcu weszli do pokoju. Twarze obojga były zimne, puste i wrogie. Matka trzymała giętkie gałązki. Ojciec spytał, czy to prawda. Czy rzeczywiście zachowałem się tak brzydko przy rozbieraniu choinki? Używałem przekleństw? Obraziłem Boga i nadużyłem Jego imienia?

– Tak – wydusiłem.

A w głębi duszy przeżywałem na nowo wielki, niebywały zachwyt dziewczyn. Czułem w sobie tamten żar i pychę, kiedy w czasie zabawy siedziałem otoczony pełnymi podziwu kolegami i wypowiadałem wszystkie te zakazane słowa. Wciąż jeszcze brzmiały we mnie, kiedy ojciec chwycił jedną z witek i zaczął bić. „Ten cholerny gówniany

Bóg, cholerny zasrany Bóg, ta cholerna przeklęta cipa, która wypaplała... cholera, cholera, cholera...”

Ojciec nie chodził, jak matka, cały dzień podminowany. Zaczął beznamiętnie, robił wrażenie, jakby z dużą niechęcią zabierał się do wymierzenia tej, jak nazywał to Pagels, „kary cielesnej”.

Gdy obrywałem cięgi, nie widziałem jego twarzy. A i on nie widział mojej. Rozpoznawałem jednak po tym, jak oddychał, że coś działo się z nim, kiedy przekraczał próg przemocy.

Wyobraziłem sobie, że wstydził się, zadając mi ból. A wstyd przechodził we wściekłość, co sprawiało, że razy były mocniejsze, niż zamierzał. Być może jednak opacznie odczytywałem mój własny wstyd.

Jednego byłem pewien: ludzie wpadają w amok, kiedy zaczynają stosować przemoc. Przemoc, którą noszą w sobie, przeobraża ich i sprawia – nawet kiedy już jest po wszystkim – że stają się kimś nie do poznania.

21

W cieniu palm (1907), książkę, którą uratowałem od unicestwienia, napisał misjonarz Edward Wilhelm Sjöblom. Przybył do Konga 31 lipca 1892 roku. Dwudziestego sierpnia ujrzał pierwszego nieboszczyka.

Czytając jego dziennik, towarzyszymy mu w podróży parowcem przez Kongo w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na placówkę misyjną. Już pierwszego dnia na pokładzie Sjöblom był świadkiem chłosty pejczem ze skóry hipopotama, którą tak ciepło rekomendował porucznik Pagels. Wszyscy biali na pokładzie podzielali wspólną opinię: „Jedynie bicz może ucywilizować czarnego”.

Misja katolicka przyjęła trzystu chłopców wziętych do niewoli w wojnie państwa z tubylcami. Zamierzano przekazać ich władzom, by uczynić z nich żołnierzy. Z powodu akcji łapania jednego z nich parowiec opóźnił rejs. Chłopiec został przywiązany blisko maszynowni, tam, gdzie temperatura jest najwyższa. Sjöblom notuje:

> Kapitan co rusz demonstrował przed chłopcem pejcz, każąc mu czekać cały dzień, zanim dał mu go posmakować. […]
> W końcu jednak nadeszła godzina bólu. Usiłowałem liczyć uderzenia i myślę, że było ich około sześćdziesięciu, nie wyłączając kopnięć w głowę i plecy. Kapitan uśmiechał się z zadowoleniem, widząc, jak cienki przyodziewek przesiąka krwią. Chłopiec leżał w męczarniach na pokładzie, wił się niczym robak, zbierając nowe kopniaki od przechodzących mimo kapitana lub jednego z agentów handlowych… A ja musiałem milcząco się temu wszystkiemu przyglądać. […]
> Przy obiedzie mówili o swoich wyczynach w kwestii traktowania czarnych. Wspomnieli kogoś im podobnego, kto bez litości tak długo biczował trzech spośród swoich ludzi, aż zakończyło się to ich śmiercią. Zaliczano to do czynów bohaterskich. Jeden z rozmówców powiedział o tubylcach:
> – Najlepszy z nich nie jest godzien umrzeć jak świnia.

22

Babcia nigdy tej książki nie dostała z powrotem. Zachowałem ją tam, gdzie stała, dobrze ukrytą w rogu, między broszurami.

23

Jak zareagowałby Pagels, gdyby wrócił i mógł zobaczyć to, czego świadkiem był Sjöblom?

Być może na to pytanie odpowiada E.J. Glave w swoim dzienniku. To nie jest opinia dobrotliwego misjonarza. Glave od samego początku zgadzał się z poglądem, że tubylców należy traktować „z największą surowością", a ich wioski atakować, „jeśli nie chcą pracować dla dobra kraju".

> Przymuszanie ich do pracy to nie jest żadne przestępstwo, ale wręcz dobrodziejstwo dla nich. Metody, których się używa, są surowe, lecz sama perswazja nie wystarcza, by wyedukować krajowca. Trzeba wobec niego stosować przemoc.

Takie było początkowe stanowisko Glave'a. Jest doświadczonym kongijskim weteranem, jednym z pierwszych w służbie Stanleya. Okrucieństwo jednak, którego stał się świadkiem po powrocie do

Konga w styczniu 1895 roku, wywołało w nim uczucie odrazy. W końcu jego lojalnością zachwiało kilka scen tortur podobnych do tych, których świadkiem był Sjöblom.

> Pejcz ze skóry hipopotama, zwłaszcza nowy, skręcony jak korkociąg, z kantami jak ostre noże, stanowi broń przerażającą, krew leje się już po zaledwie kilku uderzeniach. Nie powinno się nigdy przekraczać liczby dwudziestu pięciu razów, jeśli przestępstwo nie było zbyt ciężkie.
> Jeżeli nawet wmawiamy sobie, że Afrykanie są gruboskórni, to aby przetrzymać straszną karę stu uderzeń pejczem, konieczna jest niezwykła, żelazna konstrukcja. Ofiara traci najczęściej przytomność po dwudziestu pięciu, trzydziestu razach. Przy pierwszym ciosie wydaje przeraźliwe wycie, by wkrótce zamilknąć i stać się jedynie pojękującą, drżącą cielesną powłoką, dopóki operacja się nie skończy...
> Wystarczająco okrutne jest wymierzanie kary chłosty mężczyznom, ale jeszcze gorzej gdy poddane jej są kobiety i dzieci. Drobni chłopcy w wieku od dziesięciu do dwunastu lat, których pan i władca jest człowiekiem porywczym, traktowani są często niezwykle surowo... Sam widziałem w Kasongo dwóch ciężko okaleczonych malców...
> Jestem przekonany, że człowiek narażony na sto razów jest bliski śmierci i złamany na całe życie.

24

Podobnie jak dla Sjöbloma, dla Glave'a był to punkt zwrotny. Po tej notatce staje się on coraz bardziej krytyczny wobec reżimu.

Z początkiem marca 1895 roku dociera do stacji Equator, gdzie Sjöblom jest misjonarzem. Tę właśnie placówkę od podstaw tworzył Glave.

„Dawniej tubylcy traktowani byli przyzwoicie" – pisze –„teraz wysyłane są we wszystkich kierunkach ekspedycje, by przymuszać ich do pracy przy produkcji gumy i transportowaniu jej do stacji. Państwo prowadzi tę znienawidzoną politykę wyłącznie z chęci zysku.

Tysiące ludzi zabito albo zniszczono im chaty. W czasie kiedy my, biali, nie mieliśmy jeszcze całej władzy, nie było to konieczne. Dziś przymusowy handel powoduje wyludnienie kraju".

Glave płynie, podobnie jak Sjöblom, z ładunkiem nieletnich chłopców wziętych do niewoli, by przekazać ich państwu na wychowanie:

> Opuściłem stację Equator o godzinie jedenastej po załadunku statku małymi niewolnikami w liczbie stu. W większości są to chłopcy w wieku siedmiu do ośmiu lat, a także kilka dziewczynek. Wszyscy wykradzeni krajowcom. [...]
> I mówi się o filantropii i cywilizacji! Naprawdę nie wiem, gdzie się je widzi. [...]
> Wielu z tych niewolników, zwanych *„libérés”*, w drodze w dół rzeki umiera z braku odzienia, snu i opieki lekarskiej. Większość z tej setki dzieciaków jest całkiem goła, nic nie chroni ich w czasie zimnych nocy. Ich jedynym przestępstwem jest to, że ich ojcowie i bracia walczyli o odrobinę niezależności.

Kiedy jednak Glave po zakończeniu podróży znajdzie się z powrotem wśród Belgów i swych rodaków, jego krytyka słabnie pod presją otoczenia. Ostateczna opinia jest łagodniejsza:

> Nie powinniśmy za szybko ani za surowo oceniać Wolnego Państwa Kongo. Belgowie otworzyli ten kraj, wprowadzili w nim coś na kształt administracji i zastąpili Arabów w rządzeniu tubylcami. Ale stosowane przez nich metody działania należałoby zmienić, to prawda.

Wystawił więc taką samą cenzurkę jak Dyrektor Kurtzowi w *Jądrze ciemności* – jego metody postępowania były niezdrowe i należało z nich zrezygnować.

25

Sjöblom dzięki misji nawiązuje bliższe kontakty z tubylcami niż Glave. Dzień za dniem odnotowuje nowe przykłady samowolnych mordów.

1 lutego 1895 roku wygłaszane przez niego kazanie zostaje brutalnie przerwane przez żołnierza, który oskarża jakiegoś starego mężczyznę o zebranie niedostatecznej ilości kauczuku. Sjöblom prosi żołnierza, by poczekał, aż skończy się nabożeństwo. Ten jednak

odciąga starca zaledwie kilka kroków na bok, przystawia mu lufę do skroni… i strzela.

> Mały, mniej więcej dziewięcioletni chłopiec dostaje rozkaz od żołnierza, by odciął zabitemu prawą dłoń, tak by on następnego dnia mógł przedstawić i przekazać ją komisarzowi wraz z kilkoma innymi podobnie zdobytymi dłońmi jako symbol zwycięstwa cywilizacji. […]
> O, gdyby ten cywilizowany świat wiedział, ile setek, a nawet tysięcy ludzi jest mordowanych, jak równane są z ziemią wioski, a pozostawieni przy życiu tubylcy zmuszani do strasznego bytu niewolników…

26[18]

Szkocki chirurg J.B. Dunlop w 1887 roku wpadł na pomysł, by dziecinny rower swojego małego synka wyposażyć w nadmuchiwaną gumową dętkę. Rowerową oponę opatentowano w 1888 roku. W ciągu następnych lat popyt na kauczuk wzrósł wielokrotnie. To tłumaczyło okrucieństwa kongijskiego reżimu opisane w dziennikach Sjöbloma i Glave'a.

Szlachetny, przyjazny ludziom Leopold II wydał 29 września 1891 roku dekret przekazujący monopol na „handel" kauczukiem i kością słoniową swoim reprezentantom w Kongu. Równocześnie na tubylców nałożono obowiązek pracy i transportu, co w praktyce sprawiło, że cały ten handel stał się zbędny.

Przedstawiciele Leopolda zmuszali do pracy, rekwirowali kauczuk i kość słoniową, nie płacąc krajowcom ani grosza. Tym, którzy odmawiali posłuszeństwa, rewanżowano się spalonymi wioskami, mordowaniem ich dzieci i obcinaniem dłoni.

Metody te spowodowały początkowo błyskawiczny wzrost rentowności. Zyski wykorzystano między innymi do budowy niektórych z tych szkaradnych pomników, szpecących jeszcze dziś Brukselę: Arcade du Cinquantenaire, Palais de Laeken, Château d'Ardennes. Mało kto dziś pamięta, ile odciętych dłoni kosztowały.

W połowie lat dziewięćdziesiątych XIX stulecia mroczna tajemnica gumy nie była jeszcze znana. Glave mógłby o niej opowiedzieć, lecz zmarł w Matadi w maju 1895 roku. Jedynie Sjöblom oraz kilku

współpracowników z misji mieli świadomość, co się tam działo, i właśnie oni przeciwstawiali się terrorowi.

Nadaremnie informowali władze o aktach okrucieństwa. Nie widząc innego wyjścia, postanowili zwrócić się do światowej opinii publicznej.

Sjöblom opublikował kilka ostrych i rzeczowych artykułów w „Weckoposten", gazecie wydawanej przez szwedzkich baptystów. Niektóre z tekstów napisał po angielsku i wysłał do The Congo Balolo Mission w Londynie. Efektem była drobna, prawie niezauważalna notatka w miesięczniku Stowarzyszenia Misyjnego „Regions Beyond":

> Poważne zamieszki wśród tubylców, których przyczyną stał się przymusowy handel kauczukiem, doprowadziły do przelewu krwi w wielu rejonach... W związku ze skargami na urzędników Wolnego Państwa w Equatorville rozpoczęto dochodzenie. Lecz samo dochodzenie nie wystarczy. Domagamy się uzdrowienia stanu rzeczy. Wątpliwe jest jednak, by było to możliwe bez przedstawienia faktów opinii publicznej.

27[19]

Notatka skierowana była wyraźnie do osób umiejących czytać między wierszami.

Umiejętność tę posiadł Charles Dilke. W przeszłości był podsekretarzem stanu i członkiem zarządu Aborigines Protection Society. Zainspirowany tą krótką notą w „Regions Beyond", zareagował na sytuację w Kongu, pisząc ostry artykuł pod tytułem *Civilization in Africa*.

Artykuł stanowił pierwszy sygnał świadczący o tym, że raporty misjonarzy nie pozostały niezauważone wśród odpowiedzialnych kręgów Wielkiej Brytanii. By dotrzeć do opinii europejskiej, zamieszczono go w numerze debiutującego czasopisma „Cosmopolis". Ukazał się w lipcu 1896 roku. W tym samym miesiącu Conrad napisał *Placówkę postępu,* którą wysłał do tej samej redakcji.

Minęło dziesięć lat, pisze Dilke, od konferencji w Berlinie, na której powołano do życia Wolne Państwo Kongo. Deklaracje wygłasza-

ne w Brukseli i Berlinie przybrały realny kształt rozgrywającego się w sercu Afryki rabunku kości słoniowej, palenia wiosek, chłosty i karabinowych salw.

W opowiadaniu Conrada dumne słowa z pożółkłej gazety też zamieniają się w praktyce w rabunek kości słoniowej, handel niewolnikami i mordy.

Zniszczono, kontynuuje Dilke, tradycyjne formy rządzenia, lecz nie potrafiono stworzyć nowych. Odległości w Afryce są tak ogromne, klimat i samotność tak trudne do zniesienia dla Europejczyków, że niczego dobrego po ich rządach nie można się spodziewać.

Właśnie odległości, klimat i samotność powodują załamanie obu Europejczyków z opowiadania Conrada. Przede wszystkim samotność. Niesie ona bowiem wewnętrzną pustkę, pisze Conrad.

Co mianowicie?

> Sprowadziła je raczej mętna świadomość, że znikło z nich samych coś nieuchwytnego – coś, co pracowało dla ich bezpieczeństwa i wstrzymywało dzicz od wtargnięcia w ich serca. Obrazy domu, pamięć o ludziach im podobnych, o ludziach, którzy czuli i myśleli, jak oni zwykli byli czuć i myśleć – cała ta przeszłość cofnęła się gdzieś daleko i zmętniała w blasku słońca nieprzesłoniętego nigdy chmurami.

Samotność wymazywała w nich samych poczucie wspólnoty. Pozostawał strach, nieufność i przemoc.

Podatki nie pozwalały na utrzymanie w Afryce równie wysoko kwalifikowanej administracji, jaka działała w Indiach, pisze Dilke. Nawet demokratyczna władza zmuszona jest czasem oddać ster rządów w ręce zwykłych awanturników. A co jeszcze gorsze, Królewska Kompania Nigeryjska i państwo kongijskie administrują ogromną liczbą ludności na olbrzymim terytorium, przy całkowitym braku kontroli opinii publicznej.

Dwaj Conradowscy oszuści zdobywali kość słoniową przez handel niewolnikami. „Kto mu doniesie, jeżeli będziemy trzymać język za zębami? Nikogo tu nie ma”.

Otóż to, mówi narrator. Nikt ich nie widział „I pozostawieni sam na sam ze swoją słabością” ludzie zdolni są do wszystkiego.

Artykuł Dilkego przypomina, na co człowiek w takich sytuacjach może się poważyć. Wskazuje na wytępienie Indian w USA, Hotentotów w Afryce Południowej, mieszkańców wysp na Morzu Południowym i Aborygenów w Australii. Podobna akcja tępienia tubylców odbywa się obecnie w Wolnym Państwie Kongijskim.

Ten sam motyw przewija się w opowiadaniu Conrada. To Carlier mówi o konieczności „wytępienia wszystkich Murzynów" po to, by w kraju można było wreszcie żyć.

Artykuł Dilkego zainspirował Conrada do napisania noweli, a ta z kolei, dwa lata później, posłużyła jako szkic do *Jądra ciemności*.

I tak *„exterminating all the niggers"* Carliera można uznać za prototyp *„exterminate all the brutes"* Kurtza.

28

W maju 1897 roku Sjöblom przybył do Londynu i wystąpił, choć bardzo już chory, na spotkaniu zorganizowanym przez Aborigines Protection Society. Przewodniczył Dilke.

Pełną skupienia powagą i rzeczowym, drobiazgowym, a nawet pedantycznym sposobem przekazu zrobił wrażenie niezwykle wiarygodnego. Jego świadectwu masowych mordów w Kongu nadano szeroki rozgłos.

Dyskusja, jaka wybuchła w prasie, zmusiła Leopolda II do bezpośredniej ingerencji. W czerwcu i lipcu 1897 roku odbył on podróże do Londynu i Sztokholmu, by osobiście przekonać Wiktorię i Oskara II[20] o bezzasadności oskarżeń Sjöbloma.

Reakcją na wizytę Leopolda były obszerne krytyczne artykuły o Kongu zamieszczone w najważniejszych gazetach szwedzkich. Bardziej znaczący sukces jego misja odniosła w Londynie, gdzie przygotowania do jubileuszowych obchodów powstania Imperium osiągnęły właśnie moment kulminacyjny – Wiktoria miała więc co innego na głowie niż kilka koszy odciętych w Kongu rąk.

Wielkie mocarstwa nie zamierzały wtrącać się w ludobójczą akcję Leopolda. Miały własne trupy w szafach. Reakcja Wielkiej Brytanii

nastąpiła dopiero dziesięć lat później, gdy zorganizowany ruch pod nazwą The Congo Reform Movement postawił rząd w sytuacji, w której nie mógł on już dłużej pozostawać bierny.

Nie pomógł więc fakt opublikowania dziennika Glave'a z całą jego przerażającą zawartością przez „The Century Magazine" we wrześniu 1897 roku. Nie pomogły też nowe oświadczenia Sjöbloma na ten temat. Debata w sprawie Konga z wiosny 1897 roku została zapomniana. Obchody rocznicowe wyparły ją całkowicie z pamięci.

W 1898 roku o Kongu pisano niemal wyłącznie pozytywnie, nawiązując głównie do otwarcia linii kolei żelaznej na trasie Matadi–Leopoldville. W pismach ilustrowanych ukazało się o niej wiele ogromnych reportaży. Ani jednym słowem nie wspomniano, ile istnień ludzkich ona kosztowała.

29[21]

Tak było do czasu wystąpienia Leonarda Courtneya na dorocznym zebraniu Royal Statistical Society 13 grudnia 1898 roku. Temat przemówienia przewodniczącego Towarzystwa brzmiał: *An Experiment in Commercial Expansion*.

Osoba prywatna, Leopold II, uczyniony został przez wielkie mocarstwa władcą jedenastu milionów, a może i dwudziestu ośmiu milionów krajowców żyjących na terytorium większym od całej Europy – to był ten tytułowy eksperyment.

Opierając się na licznych belgijskich źródłach, Courtney wykazał, jak silnie zrośnięte są z sobą w Kongu administracja i komercyjna działalność. Na podstawie dziennika Glave'a przedstawił rozmiar przemocy, który ten właśnie system zapoczątkował.

Tak pisał Glave ze Stanley Falls (nazywanej w *Jądrze ciemności* „stacją krajową"):

> Arabowie pozostający w służbie państwa muszą dostarczać kość słoniową i kauczuk. Wolno im stosować wszelkie dostępne środki, by osiągnąć cel. Są to te same metody, z jakich korzystano za czasów Tippu Tipsa. Napadają na wioski, biorą ludzi w niewolę i nie puszczają wolno, dopóki ci nie dostarczą im kości

słoniowej. Państwo nie zniosło niewolnictwa, lecz wprowadziło swój monopol, przepędzając arabskich konkurentów.
Żołnierze państwowej armii nieustannie rabują i zdarza się, że znękani tubylcy buntują się, zabijając i zjadając swoich prześladowców. Posterunek w Lomami stracił niedawno dwóch ludzi, którzy zostali zamordowani i zjedzeni przez krajowców. Wysłano tam Arabów, by ich ukarać, wiele kobiet i dzieci wzięto do niewoli, a dwadzieścia jeden głów przewieziono z powrotem do Fallen. Kapitan Rom użył ich jako dekoracji kwietników przed swoim domem.

Courtney w referacie opublikowanym w „Saturday Reviev" tak oto przedstawił świadectwo Glave'a:

Belgowie zastąpili niewolnictwo systemem pracy przymusowej, który jest w równej mierze karygodny. Niektórzy z nich zdolni są do wyjątkowo barbarzyńskich czynów, czego Anglicy, co oburzające, są w pełni świadomi. Mr Glave wymienia niejakiego kapitana Roma, który udekorował swoje rabaty głowami dwudziestu jeden tubylców zabitych w czasie karnej ekspedycji. Tak wygląda belgijski model wprowadzenia w Kongu w szybkim tempie cywilizacji.

Być może Conrad czytał już wcześniej tekst Glave'a, kiedy opublikowano go we wrześniu 1897 roku. Jeśli tak było, to został mu teraz przypomniany.

A może pierwszy natrafił na te informacje w dzienniku Glave'a? Tego nie wiemy. Pewne jest tylko to, że w sobotę 17 grudnia 1898 roku mógł przeczytać w swoim ulubionym tygodniku „Saturday Reviev" o tym, jak kapitan Rom przyozdobił ogród.

W niedzielę, 18 grudnia, rozpoczął pracę nad *Jądrem ciemności*, powieścią, w której Marlow kieruje lornetkę na dom Kurtza i widzi te głowy – czarne, wysuszone, zapadnięte, z zamkniętymi oczami. Świadectwo hasła, które głosi właściciel domu: „Wytępić całe to bydło".

do Ksar Murabtin

30

Ajn Salih tak naprawdę nazywa się Ain Salah, co oznacza „słone źródło”. Lub dosłownie „słone oko” – a okiem pustyni jest źródło.

Jeszcze i dziś woda czerpana na dużych głębokościach jest słona i mętna, o przeciętnej zawartości dwa i pół grama soli na litr. Niekiedy bywa zupełnie nieprzejrzysta.

Ilość opadów wynosi czternaście milimetrów rocznie. Oznacza to, że deszcz pada raz na pięć lub dziesięć lat. Za to burze piaskowe są zjawiskiem zwyczajnym, szczególnie wiosną. Statystycznie rzecz biorąc, wichury szaleją przez pięćdziesiąt pięć dni w roku.

Lata są upalne. Termometry mogą wskazywać do pięćdziesięciu sześciu stopni w cieniu. Zimy charakteryzują się przede wszystkim ostrą różnicą między słońcem a cieniem. Kamień leżący w cieniu jest za zimny, by na nim usiąść, w słońcu zaś zbyt gorący.

Promienie słoneczne tną jak ostry nóż. Kiedy mam przejść z jednego zacienionego miejsca do innego, wstrzymuję oddech i zasłaniam ręką twarz.

Godziny przed zachodem słońca i po nim to najprzyjemniejsze pory dnia. Słońce przestaje wreszcie oślepiać, a w ciele, przedmiotach i powietrzu trwa jeszcze miłe ciepło.

31[22]

Ajn Salih jest rzadkim w Afryce przykładem kunsztu budowy foggary.

Mówi się, że źródłem słowa „foggara” są dwa wyrazy: „wydobywać” i „biedny”. Terminem tym określa się rodzaj podziemnych akweduktów, które w języku perskim zwane są „kanater”. Według

arabskich kronikarzy, sztukę ich budowy przyniósł do Afryki Północnej w pierwszym tysiącleciu naszej ery niejaki Malik El-Mansur. Jego potomkowie zamieszkują w El-Mansur w regionie Tuat, a zwą siebie Barmaka. Są specjalistami w swojej dziedzinie.

Foggary na Saharze ciągną się często od trzech do dziesięciu kilometrów. W sumie jest ich tu ponad trzy tysiące kilometrów. Można bez przeszkód iść podziemnymi galeriami, które czasami są wysokie na osiem do dziesięciu metrów. Studnie mogą osiągać czterdzieści metrów głębokości. Cały ten system to efekt pracy niewolników. Za każdym razem kiedy znoszono niewolnictwo, w podziemnych tunelach trwało ono nadal, choć pod inną nazwą.

Praca przy budowie foggary jest pewnym rodzajem górnictwa, choć zamiast żyły kruszcu ma się do czynienia z żyłą wodną. Pracuje się górniczym kilofem o krótkim trzonku. Otwór szybu na powierzchni ziemi ma wymiary kwadratu metr na metr. Schodząc w dół do pokładów piaskowca, otwór zwęża się do sześćdziesięciu centymetrów, co pozwala operować wyłącznie niewielkim kilofem.

Pomocnik wynosi urobek, usypując go wokół otworu, przez co foggara na powierzchni przypomina szereg kretowisk.

Gdy studnia osiągnie pokład piaskowca z żyłą wodną, zaczyna się budowa tunelu. W jego ciemnym wnętrzu kopiący łatwo traci orientację. To tu właśnie jego umiejętności poddawane są najcięższej próbie.

Na zewnątrz wygląda to tak, jakby wykopane korytarze biegły rzędami równo jak po sznurku. Ich podziemny bieg jest jednak zawiły. Bywa, że drążąc tunel, natrafia się na inny korytarz poprowadzony już z sąsiedniego szybu. Kopiąc, trzeba równocześnie zachowywać na całej długości korytarza odpowiedni jego spadek, pozwalający na nieprzerwany ciek wody.

Kiedy Francuzi zdobyli Ajn Salih – w noc sylwestrową na przełomie XIX i XX wieku – system foggar zaczął już wysychać. Zastąpiono go studniami głębinowymi. Ale nawadnianie odbywa się nadal, dla zredukowania parowania, jedynie nocą. Każdy użytkownik ma swoją gwiazdę, której pojawienie się na niebie stanowi sygnał, że nadeszła jego kolej korzystania z wody.

Czekający na swoją gwiazdę spędzają przy studniach całe noce. Nazywają siebie Dziećmi Gwiazd.

32

Jedna z czterech dzielnic Ajn Salih to Ksar Murabtin. Niewiele jest tu do zobaczenia – ziemia, domy, niebo, wszystko w tych samych przykurzonych kolorach. Tylko cmentarz z tajemniczymi białkowanymi marabutami[23] jaśnieje na tle monochromatycznych zapylonych barw. Śmierć jest jedyną uroczystą chwilą w życiu.

Dzieci siedzą rządkiem na kamieniach, z tabliczkami łupkowymi na kolanach, i sylabizują strofy Koranu. Jakiś mężczyzna mija je, kopiąc przed sobą puste naczynie, dzieci wiodą za nim oczami. Ktoś inny zasnął w pyle, leży w słońcu z ramionami wyciągniętymi w geście uścisku. Nawet nie drgnie na dźwięk toczonego tuż przed nim pustego, grzechoczącego naczynia.

Rolę miejscowej siłowni spełnia jedno wielkie pomieszczenie o bardzo wysokim sklepieniu. W samym rogu znajdują się ciemna szatnia i kręcone schody prowadzące na galerię. Tu, mając widok na całą salę, można się rozgrzać, skacząc na skakance, podciągnąć się na drążku czy ćwiczyć w inny sposób.

Wszystko jest znajome, choć trochę prymitywne. Lustra są małe i jest ich jak na lekarstwo. Ławki drewniane i niestabilne. Urządzenia do rozciągania zamiast stalowych linek wyposażone są w zwykłe sznury. Po to, by dobrze funkcjonować, muszą być na tyle solidne, aby tarcie w ruchu powrotnym do pozycji wyjściowej nie wymagało pracy mięśni. Reszta jak zwykle – zapach spoconych ciał, odgłos metalu, okrzyki i postękiwania.

Schodzę do sali i na szczęście od razu mogę przejąć wąską czarną sztangę z ruchomymi ciężarkami. Nie można ich zablokować, dlatego nakładam je z wielką ostrożnością, by nie zsunęły się podczas wyciskania.

Wykonuję trzy razy po dziesięć pchnięć za plecami, krótszym chwytem, trzy razy po dziesięć do brody i trzy razy po dziesięć ćwi-

czeń na bicepsy. Następnie porzucam sztangę dla kilku hantli, które właśnie są wolne. Stoję i czekam chwilę z nimi w każdej dłoni, rozglądam się dookoła, szukając wolnej ławeczki. Jeden z mężczyzn zaprasza mnie na swoją, by „ćwiczyć na zmianę". Wykonujemy obaj trzy razy po dziesięć motylkowych skrętów, tyle że on hantlami dwa razy cięższymi.

Leżąc na ławce i wyciskając, mam nad twarzą czarne stalowe rury statywu tworzące rodzaj koszyka. Dziesięcioletni chłopak zajęty jest właśnie nakładaniem ciężarków na sztangę. Pomagam mu i zaczynamy ćwiczyć na zmianę: on trzy razy po dziesięć, a ja trzy razy po dwadzieścia. Po pewnym czasie chłopiec ma już dosyć.

Wysoki Arab z białą blizną na lewym policzku proponuje podwoić obciążenie. Teraz ja ćwiczę trzy razy po dziesięć, a on trzy razy po dwadzieścia. I znowu podwaja, a ja mimo to nie narzekam.

Przez jakiś czas kontynuujemy. Jedna z maszyn do rozciągania ma trochę cieńsze linki, co powoduje wyraźny opór w obu kierunkach. Wykonuję na niej trzy razy po piętnaście ćwiczeń nad karkiem. Maszyny do wiosłowania nie ma. Te do ćwiczeń nóg sprawiają wrażenie chwiejnych i ryzykownych, więc rezygnuję. I tak jest co robić.

Marzenia i wizje, w których się pogrążałem, rozpoczynając treningi, teraz nachodziły mnie już rzadko. Marzę w łóżku, a nie na siłowni. Moje myśli za to stały się bardziej klarowne. Może nie wnoszą nic nowego. Ale to, co już wiem, staje się dla mnie coraz bardziej zrozumiałe.

33

– Seven!

Kompletnie wypompowany i dość obolały siedzę na jednej z niskich ławek przed Chez Brahim. Popijam ze szklanki herbatę parzoną ze świeżej zielonej mięty.

Trening kruszy twardą skorupę świadomości, otwiera pory własnego „ja". Niezwykle przyjemnie jest usiąść po nim i obserwować

tych, którzy przechodzą obok.

– Seven! Seven!

Ajn Salih ma dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców, w większości czarnych. Wielu z nich spotykam tak często, że zaczęliśmy się sobie kłaniać. Mimo to wpadłem w zdumienie, kiedy zorientowałem się, że „Seven" to przecież ja.

Imię wydobywa mnie z anonimowości, z jakiegoś snu. Rozglądam się nieufnie dookoła – i dostrzegam wesołego człowieka z Turynu, którego poznałem w Algierze, a który zawodowo pokonuje trasę Turyn–Kamerun wiele razy w ciągu roku i Saharę traktuje jako godną ubolewania przeszkodę w ruchu drogowym.

Wysmarował właśnie wazeliną przód swego mercedesa i chce teraz, bym pomógł mu we wkropleniu przezroczystego płynu do jego, skierowanych ku górze, gałek ocznych. Obydwa te zabiegi mają za zadanie ochronić wrażliwe powierzchnie przed niszczącym działaniem piasku. Jutro wczesnym rankiem rusza dalej na południe. Jedzie dopóki jest jasno, a śpi w samochodzie.

– Mogę ci towarzyszyć?

– Nie – mówi. – Twój komputer i torba są za ciężkie. Jeśli chce się jechać do Tamanrasset samochodem osobowym, nie należy być zbytnio obciążonym.

Prawdę mówiąc, taka odpowiedź bardzo mi odpowiada. Praca nad foggarą na twardym dysku komputera jest bardziej kusząca niż kontynuowanie podróży w rzeczywistej przestrzeni.

Do tej chwili dowiodłem, że „wytępić całe to bydło" ma związek z przerwaną kongijską debatą z lat 1896–1897, a w szczególności z wypowiedziami Dilkego i Glave'a.

Sformułowanie to ma też i inny kontekst – czasowy. Gdy Joseph Conrad w grudniu 1898 roku zasiadł do pisania o tym, jak bezrobotny kapitan Marlow szuka w Afryce pracy jako szyper, opierał się na własnych doświadczeniach z jesieni 1889 roku. Wtedy to Józef Konrad Korzeniowski, lat trzydzieści jeden, bezrobotny kapitan żeglugi wielkiej, starał się o zatrudnienie jako szyper na rzece Kongo.

Przyszło mi na myśl, że aby zrozumieć *Jądro ciemności*, wystarczy dostrzec istnienie związku między grudniem 1889 i grudniem 1898 roku.

Toteż następnego ranka siedzę ponownie przy komputerze, z frotowym ręcznikiem rozścielonym na krześle, ubrany jedynie w cienki chiński podkoszulek i krótkie chińskie spodenki, gotowy do dalszej pracy.

II

bogowie oręża

with the might as of a deity

34[24]

Powrót Stanleya jesienią 1889 roku po trzyletniej ekspedycji w głąb Afryki, stał się znaczącym wydarzeniem światowym. Stanley uratował Emina Paszę[25] z rąk derwiszów.

Derwisze to islamski ruch skutecznie stawiający opór Anglikom w Sudanie. Mahdyści, jak zwano ich również, zdobyli w styczniu 1885 roku Chartum. Odsiecz dotarła o dwa dni za późno, by uratować generała Gordona. Była to najbardziej upokarzająca klęska Imperium Brytyjskiego w Afryce.

Tymczasem pod koniec roku 1886 do Zanzibaru dotarł kurier z wiadomością, że jeden z gubernatorów prowincji podległych Gordonowi, Emin Pasza, jeszcze nie skapitulował, i aby utrzymać tę najgłębiej położoną część Sudanu, żąda przysłania posiłków.

Rząd wahał się, natomiast kilka wielkich spółek potraktowało prośbę Paszy jako okazję do zorganizowania ekspedycji, której głównym celem miało być przekształcenie prowincji Emina w kierowaną przez spółki kolonię brytyjską.

O objęcie dowództwa poproszono Stanleya. Kolejny wyczyn człowieka, który wcześniej uratował Livingstone'a, miał ukoronować jego karierę. *Dr Emin, I presume*.

Stanley uważał, podobnie jak Huckleberry Finn ratujący Jima (w książce, która właśnie wtedy po raz pierwszy znalazła się na księgarskich półkach), że dotarcie prostą drogą do Emina, by dostarczyć mu potrzebnej broni i amunicji, to rozwiązanie zbyt banalne.

Ekspedycję postanowił poprowadzić więc z Zanzibaru wokół całej Afryki do ujścia Konga, minąć parujące wodospady i dotrzeć aż do górnej, żeglownej części rzeki. Stamtąd będzie mógł – przynajmniej miał taką nadzieję – przetransportować setki ton sprzętu wojskowego z Konga do Sudanu. Najpierw statkami króla Leopolda, a następnie z pomocą łowcy niewolników Tippu Tipa i jego tragarzy, poprzez Ituri, budzący strach „las śmierci", gdzie jeszcze nie stanęła noga białego człowieka.

Nie było, naturalnie, żadnych statków. Nie było żadnych tragarzy. Stanley musiał pozostawić większą część ekspedycji w Kongu i sam, z małą forpocztą, podążyć dalej.

Był przysadzistym, muskularnym lumpenproletariuszem, okaleczonym latami i doświadczeniem. Na swego zastępcę wybrał dystyngowanego młodego arystokratę, majora Bartellota, o skórze gładkiej jak jedwab i urodzie tenora operetkowego, za to bez żadnego doświadczenia w Afryce. Dlaczego?

Stanley nienawidził angielskiej arystokracji i postanowił się z nią rozprawić. Być może po powrocie miał nadzieję ujrzeć jej przedstawiciela złamanego dżunglą, tracącego doskonałe maniery, wyniosłą pewność siebie, samokontrolę i tym samym skierować całą uwagę na własne przymioty jako człowieka i przywódcy.

I rzeczywiście, Bartellot kompletnie się załamał. Pozostawiony na czele głównych sił, próbował bezskutecznie zachować dyscyplinę przez okrutne codzienne kary chłosty. Jego rasizm rozkwitał, a on sam stawał się coraz bardziej samotny, znienawidzony, aż w końcu został zamordowany.

36

W tym czasie Stanley w duszącym skwarze posuwa się dalej. Wilgoć kapie z drzew, pot przenika ubrania. Doskwiera głód, dręczy biegunka, ropieją rany, szczury obgryzają stopy śpiących.

Mieszkańcy lasu się boją. Nie chcą handlować i pełnić roli przewodników. Stanley nie ma wyjścia, jedyne, co mu pozostaje, to przemoc. By zdobyć jedzenie dla ekspedycji, morduje bezbronnych ludzi idących na targ. Strzela do dzieci, próbując odebrać im czółna.

Może i było to konieczne, aby utorować sobie drogę. Ale czy naprawdę trzeba było nią iść? Wszyscy odradzali mu wybór takiej właśnie trasy. Lecz żądza sławy zmuszała go, by czynić za wszelką cenę rzeczy niemożliwe. A to z kolei wymagało zabijania – by zdobyć dwa krokodyle jaja i kilka kiści bananów.

Shackleton, badacz bieguna południowego, wolał raczej zapomnieć o dumie niż złożyć życie w ofierze. Nie uważał wcale, by odwrót był poniżej jego godności, i zawrócił. Stanley szedł dalej, pozostawiając za sobą stosy trupów.

Do najbardziej odrażających scen należy ta, w której Stanley wiesza młodego tragarza za „dezercję". Tragarze zatrudnili się do marszu przez tereny suchej sawanny wschodniej Afryki. Stanley zaś poprowadził ich do przesyconej wilgocią tropikalnej puszczy, gdzie połowa z nich już zmarła. „To przecież tylko chłopiec, jest głodny i daleko od domu" – błagają go inni. Ale Stanley jest niewzruszony. – „Jeśli okażemy teraz najmniejszą oznakę słabości, to te diabły stracą rozum i rzucą się na nas".

Może i miał rację. Ale przecież to on sam, świadomie, doprowadził do sytuacji, w której mord staje się jedynym rozwiązaniem.

Wyniszczeni, wygłodzeni, śmierdzący, z wysoką gorączką i wrzodami, potykając się o własne nogi, docierają w końcu nad brzeg Jeziora Alberta. Mała garstka tych, którzy przeżyli.

Jest tam Emin na swoim parowcu. Przyjmuje ich. Wystrojony w paradny lśniąco biały mundur. Jest zdrowy, spokojny i wypoczęty. Wziął z sobą bandaże, koce, mydło, tytoń i prowiant dla swych wybawców. Kto więc przybył na odsiecz i komu?

37

Przez pięć lat mahdyści pozostawiali w spokoju odległą prowincję Emina. Jednak pogłoska o ekspedycji Stanleya sprowokowała ich do reakcji. Stanley wraca do Konga, by zabrać główne siły. Mahdyści zdobywają błyskawicznie całą prowincję bez jej stolicy, której jeszcze bronią ludzie Emina.

Wkrótce pozostaje jedynie nadzieja na powrót Stanleya i na to, by powstrzymał katastrofę, którą sam spowodował. Dzień za dniem wszyscy czekają niecierpliwie na przybycie głównych oddziałów obładowanych karabinami maszynowymi, bronią ręczną i amunicją.

Stanley zjawia się na czele małej gromadki szkieletów wstrząsanych gorączką i sam ledwo powłóczy nogami. Broń i amunicję potracili, nie są w stanie bronić samych siebie, nie mówiąc już o zwycięstwie nad dziesięcioma tysiącami ryczących derwiszów.

Emin mimo to postanawia zostać. Błaga Stanleya, by pozwolił mu wrócić do swojej prowincji i podjąć próbę jej obrony.

Na to jednak Stanley pozwolić nie może. W ten sposób bowiem jego własne niepowodzenie stałoby się zbyt jaskrawe. Nie był przecież w stanie dać nic, czego potrzebował Emin. Sytuację tylko pogorszył.

Doprowadzając Emina do wybrzeża, nawet przy użyciu przemocy, Stanley miał nadzieję, że będzie mógł sam zadecydować, jaka wiadomość zostanie przesłana za pośrednictwem kabli w świat. „Emin uratowany!” Emin to trofeum, dzięki któremu jego klęska mogłaby zmienić się w medialne zwycięstwo.

Podstęp się udał. To jedyne, co w całej ekspedycji udało się Stanleyowi naprawdę: dał pospólstwu powód do świętowania.

W chwili triumfu nikomu nie było w głowie sprawdzanie szczegółów. Stanley ponownie dokonał tego, czego nikt dokonać nie zdołał! W świadomości społecznej istniała wyłącznie jego prawda. I tak zwycięstwo, przynajmniej w tym momencie, stało się rzeczywistością – niezależnie od tego, ile kosztowało i jakie było jego faktyczne znaczenie.

38

Kiedy w listopadzie 1889 roku bezrobotny kapitan żeglugi wielkiej Korzeniowski, znany nam pod nazwiskiem Conrad, przybył do Brukseli na rozmowę z Albertem Thysem, dyrektorem Société Belge du Haut-Congo, miasto przeżywało właśnie Stanleyowską gorączkę. Wiedziano, że posuwał się w kierunku wybrzeża, ale jeszcze tam nie dotarł.

Gdy czwartego grudnia Stanley triumfalnie sprowadził Emina do Bagamoyo, Conrad był już z powrotem w Londynie. Prasa tygodniami grzmiała od hołdów składanych wielkiemu bohaterowi cywilizacji.

W styczniu 1890 roku Stanley zatrzymał się w Kairze, gdzie spisał swoją wersję historii ekspedycji. Conrad po raz pierwszy od szesnastu lat wybrał się do Polski i spędził dwa miesiące w Kazimierówce, miejscu swojego dzieciństwa.

Stanley w tym czasie zdążył zakończyć prace nad bestselerowym *In Darkest Africa* i powrócić do Europy.

Dwudziestego kwietnia przyjechał do Brukseli, gdzie spotkał się z owacyjnym przyjęciem. Podczas bankietu powitalnego u króla Leopolda cztery rogi sali udekorowano kwiatowymi piramidami, z których sterczały kły czterystu słoni. Uroczystości trwały pięć dni.

Conrad właśnie wracał z Polski do domu. Dotarł do Brukseli dwudziestego dziewiątego, kiedy bankiet na cześć Stanleya był jeszcze na ustach wszystkich. Spotkał się z Albertem Thysem, dostał pracę i rozkaz natychmiastowej podróży do Konga. Pojechał do Londynu, by przygotować swoją kongijską wyprawę, podczas gdy składanie hołdów Stanleyowi osiągnęło kulminację.

Dwudziestego szóstego kwietnia Stanley wylądował w Dover. Specjalnym pociągiem został przewieziony do Londynu, gdzie oczekiwały go tłumy. Trzeciego maja przemawiał w St James's Hall do dziesięciu tysięcy zebranych, wśród których była też rodzina królewska. Nadano mu honorowe doktoraty Oksfordu i Cambridge. Potem odbierał hołdy w różnych miejscach całego kraju.

Nie wszystkie informacje o tych wydarzeniach zdążyły dotrzeć do Conrada. Szóstego maja, gdy Stanleya przyjmowała na audiencji królowa Wiktoria, on wrócił do Brukseli i dziesiątego maja wszedł na pokład statku płynącego do Afryki.

39

Do jakiej Afryki? Sytuacja mówi sama za siebie. To do Afryki Stanleya zmierzał Conrad.

Stanley był szesnaście lat starszy. Podobnie jak Conrad, dorastał bez matki. Tak jak on, został adoptowany przez życzliwego mu ojczyma. Conrad miał czternaście lat, kiedy Stanley odnalazł Livingstone'a i stał się sławny na całym świecie. W wieku piętnastu lat Conrad uciekł na morze, dokładnie tak samo jak Stanley. I tak jak on zmienił nazwisko, ojczyznę i tożsamość.

A dziś Conrad, mając wciąż w uszach okrzyki podziwu, był w drodze do Konga Stanleya – nie zdawał sobie sprawy, jak mroczna prawda kryje się za jego legendą.

40

28 czerwca 1890 roku (tego samego dnia, w którym Conrad opuścił Matadi przy ujściu rzeki Kongo, by piechotą podążyć do Stanleyville, najbardziej wysuniętego punktu w górnym biegu rzeki) opublikowano *In Darkest Africa* Stanleya.

Książka spotkała się z ogromnym zainteresowaniem i sprzedano ją w stu pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy. Wzbudziła jednak nie tylko pochlebne opinie.

Ojciec Bartellota opublikował dzienniki syna, by wziąć go w obronę przed Stanleyem. Jesienią wszyscy europejscy uczestnicy ekspedycji opublikowali swoje wersje wydarzeń. W listopadzie i grudniu 1890 roku, w czasie gdy Conrad leżał śmiertelnie chory w jednej

z afrykańskich wiosek, w prasie brytyjskiej pojawiały się praktycznie każdego dnia artykuły za Stanleyem lub przeciw niemu.

Podczas ośmiu miesięcy w Afryce Conrad przekonał się, w jak jaskrawy sposób rzeczywistość odbiega od frazesów zasłyszanych przed podróżą w przemówieniach pochwalnych. Kiedy na początku 1891 roku, chory i pozbawiony złudzeń wrócił do Londynu, nawet tamtejsza opinia publiczna zaczynała stopniowo zmieniać front.

Dyskusja toczyła się przez cały rok 1891. Z najmocniejszą, ale rzeczową krytyką wystąpił Fox Bourne w *The Other Side of the Emin Pascha Expedition* (1891). Gdy wszystko zostało już powiedziane, nad sprawą Stanleya i jego ekspedycji zaległo pełne zażenowania milczenie.

41

A największa cisza panowała wokół Emina.

Stanley już w Afryce odkrył ku swemu przerażeniu, że uratowany przez niego człowiek, dla którego poświęcił życie tak wielu ludzi, okazał się nie żadnym arystokratycznym paszą, lecz upartym Żydem ze Śląska.

Stanley mógł go zmusić do towarzyszenia sobie, ale nie do tego, by występował publicznie. Emin w drodze powrotnej wyrażał swój protest całkowitym milczeniem. W czasie bankietu powitalnego w Bagamoyo niepostrzeżenie odszedł od stołu, po czym został znaleziony na ulicy, pod balkonem, z głową roztrzaskaną o bruk. Zawieziono go do szpitala, podczas gdy pochód triumfalny Stanleya kroczył dalej.

Kiedy więc w kwietniu 1890 roku w Londynie i Brukseli składano hołdy Stanleyowi jako wybawcy Emina, ten leżał zapomniany w szpitalu w Bagamoyo. Pewnej nocy wymknął się z niego i na wpół ślepy i głuchy rozpoczął wędrówkę powrotną do „swojej" prowincji.

W październiku 1892 roku stanleyowska gorączka w Europie definitywnie dobiegła końca. Wówczas też Emin powrócił do siebie. Znaleźli go tam derwisze i poderżnęli mu gardło.

Kilka lat wcześniej „ocalenie” Emina wywołało w Europie histeryczną wrzawę. Na jego śmierć nikt nie zwrócił uwagi.

42

Po następnych sześciu latach, w październiku 1898 roku, ukazała się książka Georga Schweitzera *Emin Pascha. Eine Darstellung seines Lebens und Wirkens*. Po raz pierwszy opowiedziano w niej historię Emina z jego perspektywy.

W październiku i listopadzie książka była reklamowana i szczegółowo recenzowana. W grudniu Conrad siadł do pisania *Jądra ciemności*.

Tak jak Stanley wędrował w górę Konga, by uratować Emina, Marlow w powieści Conrada kieruje się w górę rzeki, aby ocalić Kurtza.

Ale Kurtz nie chce być uratowany. Znika w ciemności i czołgając się, próbuje powrócić do „swego” ludu. To samo zrobił Emin.

Kurtz nie jest jednak portretem Emina. Przeciwnie. Wszystko, co sympatyczne u Emina, w powieści Conrada znajdujemy u Marlowa, wybawcy. Potwór natomiast to uratowany Kurtz, obdarzony cechami Stanleya.

Stanley również miał „narzeczoną”, Dolly, którą okłamywał w taki sposób, w jaki ona sama chciała. Podobnie jak cały biały świat słyszała takie łgarstwa, jakich pragnęła. A świat otrzymuje je nadal.

Kiedy Marlow pod koniec powieści Conrada karmi kłamstwem swoją narzeczoną, nie tylko powtarza, co zrobił Stanley, ale czyni dokładnie to samo, czym zajmowała się brytyjska opinia publiczna w czasie, gdy Conrad pisał *Jądro ciemności*. Po prostu kłamała.

43[26]

Historia uwielbia się powtarzać. Jesienią 1898 roku Stanley pojawił się ponownie, tyle że pod nazwiskiem Kitchener.

Generał Horatio Herbert Kitchener, zwany „The Sirdar", dokonał czegoś, czego Stanley dokonać nie zdołał – rozgromił derwiszy i „wybawił Sudan".

27 października 1898 roku przybył do Dover. Podobnie jak Stanleya, witały go tłumy. Tak samo jak Stanleya, przewieziono go specjalnym pociągiem do Londynu, gdzie został przyjęty na audiencji przez królową Wiktorię. Podczas powitalnego lunchu podkreślił fakt, że zwycięstwo nad derwiszami otworzyło dolinę Nilu i rzekę na całej jej długości *„to the civilizing influences of commercial enterprise"*[27]

Dokładnie to samo powiedział Stanley o rzece Kongo.

Szaleństwo świętowania trwało kolejnych pięć tygodni. W Cambridge, gdzie Stanley dostał doktorat honoris causa, dwudziestego czwartego listopada Kitchener otrzymał swój. Kilku protestujących intelektualistów wrzucono w ubraniach do rzeki w tym samym czasie, gdy na cześć Sirdara odpalono fajerwerki. Celem dalszej podróży był Edynburg, gdzie dwudziestego ósmego listopada wręczono mu doktorat honoris causa i gdzie następnie przyjął, jak w całym kraju, wyrazy hołdu.

Wierniejszą kopię powrotu Stanleya trudno sobie wyobrazić. W tym samym numerze pisma, w którym anonsowano i recenzowano książkę opartą na dziennikach Emina Paszy, książkę, która pokazała, jak bezsensowne było to poprzednie szaleństwo – w tym samym numerze zatem brzmiały znów owacje tłumów, gromkie okrzyki „hura!" i odbijające się echem puste frazesy.

Nikt nie kwestionował zwycięstwa pod Omdurmanem. Nikt też nie próbował się dowiedzieć, jak to możliwe, że zginęło jedenaście tysięcy Sudańczyków, podczas gdy Brytyjczycy stracili jedynie czterdziestu ośmiu ludzi. Nikt nie zadał sobie pytania, dlaczego przeżyło bardzo niewielu – czy wręcz żaden – spośród szesnastu tysięcy sudańskich rannych.

Jednak w Pent Farm, w Kent, polski pisarz emigrant, znany jako Joseph Conrad, przerwał prace nad powieścią i rozpoczął kolejną, o Kurtzu i jego „wytępić całe to bydło”.

44

Wychodzę na słońce, a kiedy robię wdech, wpada mi do ust powietrze gorące jak jedzenie, które jako mały chłopiec często połykałem, nie mając cierpliwości, by doczekać momentu, aż przestanie parować. Brałem duży kęs, którego nie dało się utrzymać w ustach, i trzeba było ochłodzić go równie sporym łykiem zimnego mleka.

Gdzie tu znaleźć zimne mleko, którego domaga się każdy oddech?

45[28]

W bitwie pod Omdurmanem unicestwiono całe siły zbrojne Sudanu. Stało się to zanim armia sudańska chociaż raz miała wroga w zasięgu strzału.

Sztuka zabijania na odległość już dawno stała się specjalnością europejską. Wyścig zbrojeń między morskimi krajami Europy doprowadził w XVII wieku do powstania flot, które potrafiły niszczyć cele strategiczne daleko od kraju macierzystego. Ich armaty druzgotały twierdze dotychczas nie do zdobycia. Wobec bezbronnych wiosek były jeszcze skuteczniejsze.

Europa, ta przedindustrialna, nie miała wiele do zaoferowania reszcie świata. Najważniejszym towarem eksportowym była przemoc. W owym czasie byliśmy traktowani w świecie jako koczowniczy lud wojowników, podobny Mongołom i Tatarom. Oni władali z końskiego siodła, my z okrętowego pokładu.

Nasze armaty napotykały niewielki opór wśród bardziej cywilizowanych ludów. Marathowie w Indiach nie posiadali okrętów zdolnych oprzeć się ogniowi artyleryjskiemu lub też unieść ciężkie działa. Zamiast więc budować własną flotę, zdecydowali się skorzystać

z wojskowych usług państw europejskich – dzięki czemu mogły one wkrótce zająć miejsce Marathów i przejąć panowanie nad Indiami.

Chińczycy wynaleźli proch w X wieku, a pierwsze działo odlali w XIII wieku. W swojej części świata czuli się tak pewnie, że aż do połowy XVI stulecia nie brali udziału w morskim wyścigu zbrojeń.

W taki oto sposób zapóźniona i pozbawiona surowców biedna szesnastowieczna Europa zyskała monopol na oceaniczne okręty, wyposażone w działa zdolne nieść śmierć i zniszczenie na odległość. Europejczycy stali się bogami dział zabijających znacznie wcześniej, nim mogła dosięgnąć ich broń przeciwnika.

Trzysta lat później ci bogowie podbili jedną trzecią świata. Ich imperium opierało się przede wszystkim na sile okrętowych dział.

46[29]

A jednak jeszcze na początku XIX wieku duża część zaludnionych obszarów świata pozostawała poza ich zasięgiem.

Dlatego wynalazek Roberta Fultona, jakim był statek parowy, pokonujący prąd rzeki Hudson, miał ogromne znaczenie militarne. Wkrótce na rzekach Europy pojawiły się setki parowców. A w połowie XIX wieku parowce rozpoczęły transport europejskich dział w głąb Azji i Afryki. I tak zapoczątkowano nową epokę w historii imperializmu.

A co za tym idzie także w historii rasizmu. Zbyt wielu Europejczyków utożsamiało przewagę militarną z przewagą intelektualną, a nawet biologiczną.

Nemezis to imię greckiej bogini zemsty karzącej pychę i zarozumiałość. Tak też nazwano, mimo głębokiej historycznej ironii, pierwszy statek parowy holujący w roku 1842 brytyjskie okręty wojenne w górę Żółtej Rzeki i Wielkiego Kanału, w kierunku Pekinu.

Wkrótce parowce przestały pełnić funkcję holowników floty i zostały wyposażone we własną artylerię. Kanonierka stała się symbolem imperializmu na wszystkich wielkich rzekach – Nilu, Nigrze

i Kongu – dając Europejczykom możliwość orężnego panowania na rozległych, dawniej nieosiągalnych terytoriach.

Statek parowy przedstawiano jako niosący światło i sprawiedliwość. Jeśli twórca maszyny parowej mógłby z nieba obserwować sukcesy swego wynalazku, pisał Macgregor Laird w *Narrative of an Expedition Into the Interior of Africa by the River Niger* (1837), to z pewnością nic bardziej by go nie ucieszyło niż widok setek parowców „niosących sprawiedliwość i pokój między ludźmi do mrocznych miejsc na ziemi, dziś przepełnionych okrucieństwem".

Tyle oficjalna retoryka. Pod Omdurmanem okazało się, że kanonierka ma również zdolność łatwego i bezpiecznego zabijania i że w swojej boskiej niedosiężności może unicestwiać przeciwnika.

47

Ręczna broń palna Trzeciego Świata aż do połowy XIX wieku mogła mierzyć się z europejską. Najbardziej rozpowszechniona była ładowana przez lufę, niegwintowana flinta skałkowa, wytwarzana nawet w lokalnych kuźniach afrykańskich wiosek.

Stanowiła przerażający oręż dla ludzi, którzy po raz pierwszy słyszeli jej huk. Strzelała jednak tylko na odległość stu metrów. Ponadto co najmniej minutę trwało jej ładowanie po każdym strzale. Nawet przy dobrej pogodzie zdarzały się trzy niewypały na dziesięć ładunków, a podczas deszczu w ogóle przestawała działać.

Doświadczony łucznik wciąż strzelał szybciej, pewniej i dalej. Nie potrafił jedynie przebijać pancerza zbroi.

Wojny kolonialne stały się więc w pierwszej połowie XIX wieku długotrwałe i kosztowne. Mimo że Francuzi w Algierii dysponowali stutysięczną armią, posuwali się naprzód powoli, ponieważ broń piechoty obu stron była porównywalna.

Jednakże po wprowadzeniu zamka kapiszonowego broń odmawiała posłuszeństwa już tylko pięć razy na tysiąc ładowań. A przy lufie gwintowanej pewność trafienia niepomiernie wzrosła.

W 1853 roku Brytyjczycy zaczęli zastępować dawne flinty karabinami Enfield, skutecznymi na odległość pięciuset metrów, z których strzelać dawało się szybciej, pocisk bowiem osadzony był w papierowej gilzie. Podobną broń wprowadzili też Francuzi. Obu karabinów po raz pierwszy użyto w koloniach.

Wciąż jednak broń ta była zbyt powolna i trudna w obsłudze. Karabiny wyrzucały z siebie kłęby dymu, demaskując miejsce, z którego strzelano. Delikatne papierowe gilzy nasiąkały wilgocią. Żołnierz nadal musiał ładować broń w pozycji stojącej.

Prusy zastąpiły karabiny ładowane od lufy karabinami Dreysego ładowanymi od tyłu. Wypróbowano je po raz pierwszy w 1866 roku podczas wojny Prus z Austrią o hegemonię w Niemczech. W bitwie pod Sadową Prusacy, leżąc na ziemi, oddawali nimi siedem strzałów w czasie, jakiego Austriacy potrzebowali, aby na stojąco załadować i wypalić jeden raz. Rezultat był wiadomy.

W państwach europejskich rozpoczął się wyścig, by jak najszybciej zastąpić dotychczasowe odprzodowe kapiszonowce bronią ładowaną od tyłu. Brytyjczycy, udoskonalając nabój, zastąpili papierową gilzę mosiężną łuską, która chroniła proch w transporcie, zapobiegała ulatnianiu się gazów w czasie strzału i pozwalała na trzykrotne zwiększenie, w porównaniu z karabinem Dreysego, zasięgu pocisku.

W 1869 roku Brytyjczycy porzucili enfielda i przeszli na martini-henry, pierwszą naprawdę dobrą broń nowej generacji: szybką, skuteczną, niewrażliwą na wilgoć i wstrząsy. Za nimi podążyli Francuzi z grasem oraz Prusacy z mauzerem.

Tak oto Europejczycy osiągnęli przewagę nad potencjalnymi przeciwnikami z innych kontynentów. Bogowie oręża podbili kolejną trzecią część świata.

48[30]

Nowa broń pozwalała pojedynczemu Europejczykowi podróżującemu po Afryce na bezkarne i nieograniczone stosowanie przemocy. Karl Peters, twórca Niemieckiej Spółki Wschodnioafrykańskiej, opo-

wiada w książce *Nowe światło nad mroczną Afryką* (1891) o tym, w jaki sposób wymusił uległość na plemieniu Vagogo.

Syn wodza przybył do obozu Petersa i stanął „całkiem bezceremonialnie" przed wejściem do namiotu. „Na moje polecenie, żeby sobie poszedł, wyszczerzył tylko zęby i nieporuszony pozostał na miejscu".

Peters nakazuje więc wychłostać go pejczem ze skóry hipopotama. Wycie chłostanego sprowadza wojowników Vagogo, którzy zbiegają się, by go uwolnić. Peters strzela w tłum i zabija jednego z nich.

Po półgodzinie przez posłańca wódz prosi o zawarcie pokoju.

– Wódz otrzyma swój pokój, ale pokój wiekuisty. Ja im pokażę, kim są Niemcy! – Są plądrowaniem wiosek, puszczaniem z dymem domów i niszczeniem wszystkiego, czego spalić się nie da!

Domy okazują się trudne do podpalenia, trzeba więc rozbijać je siekierami. W tym czasie Vagogo zbierają się i próbują chronić dobytek. Peters zwraca się do swoich ludzi:

– Teraz pokażę wam, co to za dzicz stoi przed nami. Nawet jeśli pozostanę tu sam, potrafię zmusić Vagogo do ucieczki.

> Mówiąc to, ruszyłem im naprzeciw, krzycząc „hurra!" I już setki ich rozpierzchły się jak stado owiec.
>
> Wspominam to nie w tym celu, aby przedstawiać nasze postępowanie jako bohaterstwo, a wyłącznie po to, by pokazać, jaki jest lud afrykański i jak przesadne są wyobrażenia w Europie o ich wojowniczości i środkach potrzebnych do ich poskromienia.
>
> O godzinie trzeciej pomaszerowałem bardziej na południe ku następnym wioskom. Wszędzie ten sam spektakl! Po krótkim oporze Vagogo rzucają się do ucieczki, domy stoją w ogniu, a siekiery niszczą to wszystko, czego ogień nie zdołał pochłonąć. I tak do godziny wpół do piątej spalonych zostało dwanaście wiosek... Intensywna strzelanina rozgrzała moją broń tak bardzo, że z trudem mogłem ją utrzymać.

Zanim Peters opuści wioski, krzyczy do Vagogo, że teraz chyba znają go już trochę lepiej. Zamierza pozostać na miejscu dopóty, dopóki któryś z tubylców jest przy życiu, istnieją jakieś niespalone wioski i krowy do zabrania.

Wódz prosi więc o podanie warunków pokoju.

– Wasz wódz twierdzi, że nie chcę zawrzeć z nim pokoju. Vagogo to kłamcy i muszą zostać starci z powierzchni ziemi. Jeśli jednak wódz zgodzi się zostać niewolnikiem Niemców, to istnieje możliwość, że i on, i jego lud pozostaną przy życiu.

O świcie wódz wysyła trzydzieści sześć wołów i inne dary. „Teraz mogę pozwolić na układ, na mocy którego przyjmie on zwierzchnictwo niemieckie".

Podboje stały się dzięki nowej broni niebywale opłacalne. Koszty w dużej mierze sprowadzały się do kul potrzebnych do mordowania.

Karl Peters został mianowany niemieckim komisarzem terytoriów, które ujarzmiał. Wiosną 1897 roku postawiono go przed sądem w Berlinie i skazano (po sensacyjnym procesie, wzbudzającym ogromne zainteresowanie także prasy brytyjskiej) za morderstwo czarnej kochanki. Tak naprawdę ukarano go nie za zabójstwo, ale za intymny związek. Niezliczone mordy dokonane przez Petersa w czasie podboju kolonii we wschodniej Afryce potraktowano jako coś całkowicie naturalnego. Toteż pozostały bezkarne.

49

Nowa generacja uzbrojenia, broń powtarzalna, czekała już za progiem. W roku 1885 Francuz Vieille odkrył proch nitrocelulozowy zwany bezdymnym, dzięki któremu strzelający żołnierze mogli pozostawać niewidoczni. Innymi jego zaletami była większa moc i mniejsza wrażliwość na wilgoć. Broń dziewiętnastomilimetrowego kalibru udało się zmniejszyć do kalibru osiem milimetrów, co niezwykle podniosło jej skuteczność.

Wraz z odkryciem bezdymnego prochu pojawił się karabin maszynowy. Hiram S. Maxim stworzył broń lekką w transporcie, wystrzeliwującą jedenaście pocisków na minutę. W tę maszynową broń bardzo szybko zostały wyposażone kolonialne oddziały brytyjskie. Użyto jej przeciwko Aszanti w 1874 roku i w Egipcie w 1884 roku.

Równocześnie stal, dzięki wytopowi zwanym procesem Bessemera, a także innym nowym metodom, stała się bardzo tania, co po-

zwoliło na użycie jej do masowej produkcji broni. Kopie tej broni nie mogły już powstawać w wiejskich kuźniach Afryki i Azji, ponieważ nie miały one dostępu do niezbędnego materiału: do wytapianej przemysłowo stali.

Pod koniec 1890 roku karabinowa rewolucja dobiegła kresu. Wszyscy żołnierze piechoty w Europie mogli już strzelać z pozycji leżącej, utrudniającej wykrycie, o każdej pogodzie, oddając piętnaście strzałów w ciągu tyluż sekund i do celu odległego o kilometr.

Nowe łuski były szczególnie przydatne w tropikalnym klimacie. Pociski natomiast nie zawsze wywierały na „dzikich" wrażenie, jakiego się spodziewano. Kontynuowali oni natarcie nawet wówczas, gdy trafiono ich cztery–pięć razy.

Rozwiązaniem stał się pocisk dum-dum, nazwany tak od fabryki w Dum Dum pod Kalkutą, a opatentowany w 1897 roku. Ołowiany wierzchołek pozbawiony płaszcza, płasko spiłowany, rozcięty wzdłuż lub wydrążony powoduje powstawanie rozległych, bolesnych i trudno gojących się ran. W świecie „cywilizowanym" używanie tych kul zostało zakazane. Wykorzystywano je w polowaniach na dużą zwierzynę i w wojnach kolonialnych.

Pod Omdurmanem, w 1898 roku, po raz pierwszy wypróbowano cały europejski arsenał – kanonierki, broń maszynową, karabiny powtarzalne i pociski dum-dum – przeciwko przeważającemu liczebnie i niezwykle zdeterminowanemu wrogowi.

Jeden z najbardziej wesołych kronikarzy wojennych, Winston Churchill, późniejszy laureat literackiej nagrody Nobla, znalazł się tam jako korespondent „The Morning Post". Opisał tę bitwę w autobiografii *Moja młodość* (1930).

50[31]

„Coś takiego jak bitwa pod Omdurmanem już nigdy się nie wydarzy" – pisze Churchill. – „Było to ostatnie ogniwo w długim łańcuchu widowiskowych konfliktów, których splendor i majestat przydawał wojnie tyle blasku".

Dzięki statkom parowym i nowo zbudowanej linii kolei żelaznej Europejczycy byli także i na pustyni dobrze zaopatrzeni we wszelkiego rodzaju prowiant:

> Moc butelek o zachęcającym wyglądzie tudzież duże talerze z wołowiną w konserwie i piklami. Ten miły sercu obraz, który wyskoczył jak zaczarowany na pustyni tuż przed bitwą, napełnił mnie wdzięcznością znacznie przerastającą to, co normalnie odczuwa się podczas modlitwy dziękczynnej.
> Cała moja uwaga skupiła się na wołowinie i chłodnym napoju. Wszyscy byli pełni animuszu i w najlepszych nastrojach. Przypominało to lunch przed wyścigami w Derby.
> – Czy rzeczywiście będzie bitwa?
> – Za godzinę lub dwie – odpowiedział generał.

Churchill uznał tę chwilę za wspaniałe przeżycie i z determinacją przystąpił do posiłku. „Naturalnie, że zwyciężymy. Naturalnie, że ich rozgromimy".

Tego dnia jednak do bitwy nie doszło. Wszyscy za to skoncentrowali się na przygotowaniach do obiadu. Podpłynęła jedna z kanonierek, a jej oficerowie, „ubrani w lśniące białe mundury", wyrzucili w kierunku brzegu dużą butelkę szampana. Churchill wszedł po kolana do wody, by wyłowić kosztowny dar, który triumfalnie zaniósł do messy.

> Tamta wojna obfitowała w nieprzewidziane i fascynujące atrakcje. Nie to co pierwsza wojna światowa. Nikt się nie spodziewał, że zostanie zabity. [...]
> Atoli gros ludzi, którzy brali udział w wojenkach imperium brytyjskiego, w tej beztroskiej i odeszłej w przeszłość epoce, traktowało to tylko jako element hazardu we wspaniałej grze.

51[32]

Brytyjczycy jednak często tracili możliwość uprawiania tego porywającego sportu. Ich przeciwnik zbyt szybko orientował się, że walka z nowoczesną bronią jest nieopłacalna. Poddawali się, zanim Brytyjczycy zdążyli poczuć przyjemność w ich unicestwianiu.

Lord Garnet Wolsley, dowodzący Brytyjczykami w pierwszej wojnie o Aszanti w latach 1874–1876, napotkał opór i uważał to za dobrą zabawę.

> Jak intensywną i ekscytującą przyjemność przynosi atak na wroga, a nawet chwile tuż przed nim, przekonać się można tylko poprzez własne doświadczenie... Wszystkie inne doznania to zaledwie brzęczenie dzwonka do drzwi w porównaniu z potężnym grzmotem Big Bena.

Druga wojna o Aszanti, w roku 1896, nie dała szansy na tego rodzaju przeżycia. Po zaledwie dwóch dniach marszu ze stolicy Kumasi dowódca awangardy i przyszły przywódca skautów Baden-Powell zmuszony był przyjąć przedstawiciela tubylców, proponującego bezwarunkową kapitulację.

Zawiedziony Baden-Powell nie miał okazji do oddania choćby jednego strzału. Aby wzmóc u krajowców uczucie wrogości, Brytyjczycy posunęli się do brutalnej prowokacji. Aresztowano króla Aszantów wraz z całą rodziną. Króla i jego matkę zmuszono do czołgania się w kierunku brytyjskich oficerów, którzy siedząc na skrzyniach z sucharami, przyjmowali dowody ich pokory.

W *Jądrze ciemności* Arlekin opowiada o tym, jak wodzowie tubylców zbliżają się do swego bóstwa Kurtza, posuwając się na klęczkach. Marlow reaguje na to gwałtownie i cofa się, krzycząc, że nie chce słyszeć o takich ceremoniach. Obraz czołgających się wodzów jest dla niego trudniejszy do zniesienia niż widok głów pomordowanych ludzi, suszących się na palach wokół domu Kurtza.

Reakcja ta stanie się bardziej zrozumiała po obejrzeniu scen z ceremonii, która odbyła się dwa lata wcześniej w Kumasi. Ryciny te, publikowane w dużej liczbie przez prasę ilustrowaną, są dowodem rasizmu i arogancji niecofającej się przed skrajnym upokorzeniem przeciwnika.

Tym razem więc Brytyjczycy nie znaleźli okazji do użycia broni. Zmartwieni wrócili na brzeg morza. „Naprawdę doceniam tę małą wycieczkę” – pisał Baden-Powell do swej matki – „chociaż nie do-

szło do żadnej walki, co oznacza, że nie dostaniemy, niestety, orderów”.

52[33]

Czasami jednak prowokacje się udawały.

Przez całe lata brytyjscy konsulowie, rezydujący przy ujściu rzeki Benin, sugerowali konieczność podbicia Królestwa Beninu. Wymagały tego racje handlowe, a koszty ekspedycji mogłyby się zwrócić przez zrabowanie królewskich zapasów kości słoniowej. Brytyjskie MSZ uważało jednak tę operację za zbyt drogą.

Tę samą propozycję ponowiono w 1896 roku. Przedstawił ją ówczesny konsul Phillips. Prowiant i amunicję przygotowano do akcji zaplanowanej na luty–marzec 1897 roku. Siódmego stycznia nadeszła odpowiedź z MSZ-etu. Była jak zwykle negatywna.

Porucznik Phillips jednak, nie czekając na oficjalną decyzję, drugiego stycznia wyruszył wraz z grupą dziewięciu białych i dwustoma afrykańskimi tragarzami z kurtuazyjną wizytą do króla Beninu.

Już tego samego wieczoru spotkał posłańca, który przekazał mu prośbę o przesunięcie wizyty o miesiąc z powodu udziału króla w przygotowaniach do ceremonii otwarcia dorocznych uroczystości religijnych.

Phillips maszerował dalej.

Następnego dnia przybyli kolejni wysłannicy z Beninu, prosząc usilnie, by biali zawrócili. Phillips, chcąc poniżyć króla, wysłał mu swoją oficerską laseczkę, tak zwaną trzcinkę, i szedł dalej.

Dzień później, czwartego stycznia, ośmiu białych i ich tragarzy zabito w zastawionej na nich pułapce.

Wiadomość o „The Benin Disaster” dotarła do Londynu jedenastego stycznia. Rozjuszona prasa domagała się zemsty. Atak na Benin, na co nie otrzymał zgody, drobiazgowo zaplanowany przez porucznika Phillipsa jeszcze w listopadzie, realizowano teraz jako ekspedycję karną w zemście za jego śmierć.

Osiemnastego lutego, mimo silnego oporu, Brytyjczycy podbili miasto Benin. Stolicę splądrowano i doszczętnie spalono.

Ilu mieszkańców miasta zostało przez oddziały brytyjskie zabitych, nikt nigdy nie próbował tego zliczyć. Za to ilustrowane magazyny epatowały ludzkimi ofiarami króla Beninu – czaszki bielały na ziemi jak zawilce, stanowiąc dowód na to, że żaden z mieszkańców Beninu nigdy nie umarł śmiercią naturalną. Według książki kapitana R.H. Bacona *Benin – The City of Blood* (1897), wisieli rozkrzyżowani z rozpłatanymi brzuchami, stanowiąc powód dla cywilizacji do podbicia Beninu.

Pewne jest, że kiedy dwa lata później pierwsi czytelnicy *Jądra ciemności* Josepha Conrada czytali o tym, że Kurtz pozwala adorować się niczym Bóg i uczestniczy w „strasznych obrzędach", *unspeakable rites* – widzieli przed sobą obrazy z Beninu, przypominali sobie opisy odoru krwi jakim przesycone było powietrze, masowe groby, gdzie martwych i żywych wrzucano jak popadnie, a posągi bożków pokrywała krzepnąca krew.

Te „figurki bożków" zalicza się dziś do najwspanialszych dzieł sztuki. Obraz Beninu przedstawiany w prasie jako szczególnego rodzaju piekło ciemnych ras był na tyle sugestywny i szokujący, że Brytyjczycy nie docenili wartości artystycznej tych rzeźb. Sprzedawano je w Londynie jako osobliwości tylko po to, by pokryć koszt karnej ekspedycji. Muzea niemieckie wykupiły je za bardzo niską cenę.

53[34]

Co czuł król Beninu ścigany jak dzikie zwierzę w lasach, podczas gdy jego stolica stała w płomieniach? Co czuł król Aszantów, kiedy na kolanach czołgał się do skrzyń z sucharami, by ucałować sztylpy brytyjskich władców?

Nikt ich nie pytał. Nikt też nie słuchał tych, których ujarzmiła broń bogów. Tylko czasami słyszymy ich głosy.

Pod koniec lat osiemdziesiątych XIX stulecia British South Africa Company wdarła się od południa na terytorium państwa Matabele w dzisiejszym Zimbabwe. W roku 1894 lud Matabele został pokonany. Należące do niego pastwiska spółka oddała białym kupcom i awanturnikom. Zredukowała liczbę bydła w stadzie z dwustu tysięcy do czternastu tysięcy i zakazała posiadania broni. Białe patrole śmierci sprawowały władzę przez sądy polowe i przymusową rekrutację siły roboczej. Każdego protestującego natychmiast rozstrzeliwano.

W 1896 roku wybuchło powstanie. Spółka wezwała oddziały brytyjskie. Wśród nich znalazł się Baden-Powell, zadowolony, że wreszcie można *have a go* na wroga, „który nie jest przecież w stanie wyrządzić jakiejkolwiek krzywdy wyszkolonym żołnierzom".

Już w pierwszej bitwie zabija wraz ze swoim oddziałem dwustu tubylców za cenę życia zaledwie jednego Europejczyka.

Jakże łatwo i przyjemnie było zabijać.

W tym wypadku jednak cena i tak była za wysoka. Armia walczyła tu na żądanie i za pieniądze spółki. Już po kilku miesiącach walk spółka znalazła się na krawędzi bankructwa. 21 sierpnia 1896 roku wobec życzenia właścicieli, by nastał pokój, Cecil Rhodes i reszta białych przywódców po raz pierwszy zmuszeni byli wysłuchać czarnych.

54[35]

„Pewnego razu odwiedziłem Bulawayo" – opowiadał Somabulano. – „Przybyłem, by złożyć wyrazy szacunku burmistrzowi. Towarzyszyli mi moi urzędnicy i służba. Jestem wodzem i jestem przyzwyczajony do podróżowania z własną świtą i doradcami. Dotarłem do Bulawayo wczesnym rankiem, zanim słońce zdążyło osuszyć ziemię z rosy. Zatrzymałem się przed gmachem sądu i wysłałem do burmistrza posłańca z wiadomością, że zamierzam złożyć mu wizytę. Czekałem aż do wieczora, kiedy cienie stają się już bardzo długie. I wte-

dy ponownie wysłałem wiadomość do burmistrza, że w żadnym wypadku nie chciałbym być niegrzeczny i go ponaglać; mogę czekać do czasu, aż będzie miał ochotę się ze mną widzieć; moi ludzie jednak są głodni; a kiedy odwiedzali mnie biali, miałem w zwyczaju zabić dla nich coś i ich ugościć. Burmistrz w odpowiedzi poinformował mnie, że miasto pełne jest bezpańskich psów; a pies zawsze ciągnie do psa; możemy więc zabić ich tyle, ile mamy ochotę, i zjeść, jeśli tylko zdołamy je wyłapać…"

Czarnego wolno było zastrzelić bezkarnie nie ponosząc żadnego ryzyka, dokładnie tak samo jak strzela się do psa. A więc czarni to psy – taka była logika.

Spowiednik lorda Greya, ojciec Bihler, był przeświadczony, że czarnych należy wytępić. „Jedyny ratunek dla przyszłości rasy to unicestwienie całego ludu, zarówno mężczyzn, jak i kobiet powyżej czternastego roku życia!" – powtarza jego słowa Grey w liście do swojej żony z 23 stycznia 1897 roku.

On sam nie akceptował tak pesymistycznego wniosku. Filozofia unicestwienia była jednak w tym czasie popularna i tego rodzaju twierdzenia formułowano raz za razem w prasie białych.

Przywódcy afrykańscy zdawali więc sobie sprawę, że ryzyko wytępienia ich narodu naprawdę istnieje. Problem takiej groźby poruszył Somabulano w swoim wystąpieniu podczas negocjacji warunków pokoju:

> Przybyliście, zwyciężyliście. Silniejszy zagarnia kraj. Zaakceptowaliśmy wasze przywództwo. Żyliśmy jako wasi poddani. Ale nie jak psy! Jeśli mielibyśmy być psami, to lepiej byłoby umrzeć! Nigdy ludu Amandabele w psy zmienić nie zdołacie. Możecie nas unicestwić, ale Dzieci Gwiazd nigdy psami nie będą.

55

Pod Omdurmanem rozgromiono największy i militarnie najsilniejszy z afrykańskich ruchów oporu. Bitwę tę najwierniej – bo natychmiast po wydarzeniach – opisał Churchill w książce *The River War* (1899). Oto co wydarzyło się 2 września rano 1898 roku.

Już, już wywieszali nad wzgórzem Surgham białe flagi. Po minucie mogły być widoczne dla obsługi baterii. Czy mieli świadomość, co ich czeka? Szli naprzód w ciasnym szyku, w odległości dwóch i pół tysiąca metrów od polowych baterii i kanonierek. Wystarczyło znać dzielący ich dystans. Problem był czysto techniczny.
Uwaga wszystkich kierowała się na te koszmarne i już nieuniknione sceny. Jeszcze tylko kilka sekund i nastąpi moment zgładzenia tych dzielnych ludzi. Przechodzili właśnie przez koronę grzbietu wzgórza, by ruszyć dokładnie w sam środek naszej armii. Ich białe chorągwie górowały nad tłumem. Kiedy ujrzeli obóz wroga, rozpoczęli z wielkim hukiem ostrzał z karabinów i przyspieszyli tempo marszu. Jeszcze przez moment białe proporce sunęły naprzód w równym szyku. Chwilę po tym cały oddział stanął w ogniu… […]
Z miejsca trafiło w nich około dwudziestu granatów. Niektóre wybuchały w powietrzu, inne trafiały w sam środek twarzy. Jeszcze inne padały na ziemię, rozrywały się tam, ciskając piaskiem i odłamkami prosto w ich szeregi. Białe flagi opadały we wszystkie strony. Podnosiły się jednak błyskawicznie, chwytane przez kolejnych wojowników, gotowych umrzeć za świętą sprawę mahdin i w obronie naśladowców prawdziwego proroka. Był to przerażający widok. Choć nie wyrządzili nam żadnej szkody, my nieuczciwie wykorzystaliśmy naszą przewagę, aby ich okrutnie wystrzelać, i to w sytuacji, gdy oni odpowiedzieć nie byli w stanie.

To ostatnie zdanie dowodzi, że anachroniczne pojęcie honoru i fair play, anachroniczny podziw dla męstwa, choćby bezskutecznego, nie zniknęły jeszcze całkowicie ze sposobu myślenia. Nie zastąpiło ich jeszcze nowoczesne przekonanie, że przewaga techniczna daje prawo do unicestwiania przeciwnika nawet wówczas, gdy jest bezbronny.

56

„Bezładny szereg wojowników maszerujących naprzód z rozpaczliwą odwagą i w bezlitosnym deszczu ognia zbliżył się już na odległość siedmiuset metrów od naszych pozycji” – kontynuuje Churchill.

Białe flagi chwiały się i padały, białe sylwetki osuwały się na ziemię, dziesiątki za dziesiątkami…
Piechota strzelała spokojnie i równomiernie, bez pośpiechu i bez emocji. Wróg był jeszcze tak daleko. Żołnierze spełniali przecież swój obowiązek. Najlepiej

jak potrafili. Ta mechaniczna strzelanina stawała się coraz bardziej monotonna...
Karabiny rozgrzewały się – stawały się tak gorące, że trzeba było zastępować je bronią z kompanijnej rezerwy. W osłonach ciężkiej broni kończyła się woda... Puste łuski padały ze szczękiem na ziemię, tworząc wciąż rosnący stos wokół każdego żołnierza.
A tam na całej równinie grad pocisków wdzierał się w drżące ciała, miażdżąc i rozłupując kości, krew tryskała ze straszliwych ran, odważni ludzie przedzierali się poprzez to piekło świszczącego metalu, eksplodujących granatów i wirującego dymu – szli, pozbawieni nadziei, i ginęli.

Próba zrozumienia przez Churchilla sytuacji nieprzyjaciela dotyczyła – o tym dobrze jest sobie przypomnieć po zwycięstwie generała Schwarzkopfa w Iraku – nie wroga, który w dzikim szale ucieka z pola walki. Dotyczyło to atakowanego i dziś przeciwnika, który niepowstrzymany okazałby się wkrótce po prostu silniejszy. Kalif wystawił armię złożoną z piętnastu tysięcy ludzi. Plan tego frontalnego ataku, zdaniem Churchilla, był mądry i przemyślany, poza jednym rozstrzygającym elementem: opierał się na zgubnym lekceważeniu efektywności współczesnej broni.

Wielka armia derwiszów, która wraz ze wschodem słońca, pełna nadziei i męstwa, ruszyła naprzód, została zmuszona teraz do chaotycznej ucieczki. Ścigana przez egipską kawalerię halabardzistów, pozostawiła na polu bitwy ponad dziewięć tysięcy zabitych i jeszcze większą liczbę rannych.
Tak zakończyła się bitwa pod Omdurmanem – najbardziej spektakularne ze wszystkich zwycięstw techniki nad barbarzyńcami. W ciągu pięciu godzin bez szczególnego wysiłku, z minimalnym ryzykiem i nieznacznymi stratami po stronie zwycięzcy, pokonana została i zmuszona do ucieczki ta najsilniejsza i najlepiej uzbrojona armia spośród dzikich wojsk stających w szranki z europejskim mocarstwem.

57[36]

Przez kilka tygodni października 1898 roku miało się wrażenie, że zwycięstwo pod Omdurmanem może doprowadzić do wielkiej wojny w Europie. Francuzi przywarowali w swojej niewielkiej placówce w Faszodzie, na południu od Omdurmanu, i domagali się uczestnic-

twa w rozdziale łupów zdobytych przez Kitchenera. Dzień za dniem patriotyczna prasa obu państw wytaczała działa najcięższego kalibru, podczas gdy Europa zsuwała się w przepaść.

W czasie galowego obiadu w Londynie, czwartego listopada, kiedy Kitchener przyjmował symbol zwycięstwa – monstrualny i niegustowny złoty miecz – nadeszła wiadomość, że Francuzi dali ostatecznie za wygraną. Kryzys wokół Faszody został zażegnany. Wielka Brytania pozostała niekwestionowanym mocarstwem, a wielki poeta imperializmu Rudyard Kipling napisał:

Take up the white man's burden
Send forth the best ye breed
Go bind your sons to exile
To serve your captives need.[37]

58[38]

Dokładnie w tym samym czasie kiedy Kipling napisał *Brzemię białego człowieka*, Joseph Conrad ukończył *Jądro ciemności*. Czołowy literacki manifest ideologii imperializmu ujrzał światło dzienne równocześnie z dziełem, które było wyrazem poglądów biegunowo przeciwnych. A inspirację dla obu autorów stanowiła ta sama bitwa pod Omdurmanem.

Już w *Wyrzutku* (1896) Conrad potrafił wczuć się i opisać przeżycia tych, których ostrzeliwały działa floty. Cała ziemia w Babalatchi jest śliska od krwi, domy stoją w ogniu, kobiety krzyczą, dzieci płaczą, konający z trudem łapią oddech. Umierają pozbawieni pomocy, „zostali powaleni, nim jeszcze ujrzeli wroga". Ich męstwo nic nie znaczy wobec niewidocznego i niedosięgłego przeciwnika.

Tę właśnie nieuchwytność agresora pamięta jeszcze długo córka wodza, jedna z pozostałych przy życiu bohaterek książki: *First they came, the invisible whites, and dealt death from afar…*[39]

Niewielu pisarzy Zachodu potrafiło zdobyć się na podobne zrozumienie opisywanej bezsilnej wściekłości wobec przygniatającej siły

zadającej śmierć bez potrzeby zjawienia się na brzegu. Siły, która zwycięża, nie będąc nawet obecna na miejscu zdarzeń.

Powieść leżała jeszcze na księgarskich ladach, gdy toczyła się bitwa pod Omdurmanem. A w *Jądrze ciemności*, napisanym w czasie powszechnego patriotycznego uniesienia po powrocie do kraju Kitchenera, Conrad otwiera szufladę z narzędziami, jakimi posługuje się ideologia imperializmu. Bierze pod lupę jedno po drugim to, co Headrick[40] nazywa *the tools of imperialism*.

Kanonierki bombardujące cały kontynent. Budowę kolei żelaznej ułatwiającej jego rabunek. Parowiec rzeczny dostarczający na pokładzie Europejczyków i ich broń do jądra kontynentu.

„Błyskawice Zeusa" niesione w orszaku za noszami z leżącym na nich Kurtzem: dwie strzelby, dwa karabiny, jeden dużego kalibru oraz lekki, samoczynny. Winchester i karabin typu Martini-Henry, bluzgające ołowiem w broniących się na brzegu Afrykanów.

– Dobrze byłoby zgotować im wspaniałą rzeź w buszu. Dobry pomysł, co? – słyszy Marlow rozmowy białych.

„Przychodzimy do nich wyposażeni w boską potęgę" – pisze Kurtz w sprawozdaniu do Międzynarodowego Towarzystwa Tępienia Dzikich Obyczajów. Miał na myśli broń. To ona zapewniała boską moc.

W wierszu Kiplinga posłannictwo imperializmu jest pilnym i moralnym obowiązkiem. Taki też pogląd wyraża Kurtz, zasłaniając się mglistą retoryką Kiplinga. Tylko w jednej notatce zacina się jego krasomówczy wywód. Ujawnia w niej, do czego naprawdę sprowadza się, i dla Kurtza, i dla Kitchenera, to posłannictwo zarówno w placówce handlowej, jak i pod Omdurmanem. Do tego, by „Wytępić całe to bydło".

do Tam

59

Na trasie długości sześciuset sześćdziesięciu kilometrów między Ajn Salih i Tamanrasset kursują przebudowane ciężarowe mercedesy w kolorze pomarańczowoczerwonym, tak by widoczne były w piaszczystej mgle. Kabina dla pasażerów przypomina dzwon nurkowy z małymi judaszami zamiast okien. Wewnątrz panuje potworny upał i ścisk, o jakiejkolwiek amortyzacji nie ma mowy – trzeba mieć ją w sobie, w swoim własnym ciele.

Boję się jak zwykle. Kiedy jednak nie da się już dłużej odsuwać wyjazdu, kiedy stoję o świcie ze swoim ciężkim bagażem, przyczajony do skoku – znów rozpiera mnie radość, że jestem tam, gdzie jestem.

Sahara rozpościera się pode mną jak strażacka płachta ratunkowa. Wystarczy tylko skoczyć.

Dzień wstaje pośród białych wydm, uformowanych w apetyczne stożki jak mocno ubita śmietana. Starty piaskiem znak drogowy z wymazaną do połowy informacją. Kiedy droga zmienia kierunek, zmienia się też barwa piasku – białe wydmy nabierają barwy popiołu, ochry, czerwieni, brązu, a nawet czerni, jeśli światło pada z innej strony.

A potem wyłaniają się pierwsze góry, czarne jak sadza, niebieskoliliowe, wypalone. Są mocno zwietrzałe, otoczone przez własne rumowiska, podobne do stert szlaki wyrzuconej z ogromnego paleniska. Pojedyncze tamaryszki, w większości suche i zwiędłe. Kierowca staje i zbiera gałęzie na ognisko.

Autobus zatrzymuje się na nocny postój w Arrak, gdzie jest hotel i mała kawiarenka, zwana dumnie restauracją. Śpimy po dwóch w słomianych chatach, na materacach leżących bezpośrednio na piasku. W świetle latarki czytam *Wehikuł czasu* H.G. Wellsa.

Conrad również go czytał. I widzę, jak wiele się od Wellsa nauczył.

60

Gdy patrzę na mapę, wydaje mi się, że droga z Arrak będzie już o wiele lepsza. Okazuje się jednak tak samo monotonna i rozjeżdżona przez jednośladowe oraz dwu- i czterokołowe pojazdy. Drogą jest tu cokolwiek, co wskazuje kierunek. Wjeżdża się wprost w pustynię koleiną, szeroką na kilometr, wypatrując w tej plątaninie śladów odcinków najbardziej przejezdnych.

Od czasu do czasu pojawiają się na horyzoncie i powoli przybliżają pióropusze kurzu wzniecane przez inne pojazdy. Późnym popołudniem mieszają się z obłokami pyłu rozwiewanymi wieczornym wiatrem. We mgle zachodzącego słońca widać zarysy pojedynczych szczytów górskich i krzewów tamaryszku.

Skały są zwietrzałe i spracowane. Często dostrzega się w nich formy anatomiczne, jakby wysypane kręgi ze stosu pacierzowego góry. Bliżej Tamanrasset, w samym masywie gór Hoggar, szczyty są wyższe, bo materiał skalny jest znacznie twardszy – ale nawet tu krajobraz świadczy przede wszystkim o przeraźliwej mocy erozji. Człowiek jedzie, kilometr za kilometrem, przez pustynię okruchów pozostałych po świecie, który został już nieodwracalnie roztrzaskany.

Gdy spojrzałem w lusterko, odbicie własnej twarzy mną wstrząsnęło. Bo nawet ja poddany zostałem siłom niszczenia, działaniu słońca i wiatru, upału i chłodu. Temu wszystkiemu, co sprawia, że góry rozpadają się i zmieniają w rumowiska.

61

Tamanrasset jest stolicą Południa. Kosmopolityczne miasto, utrzymujące bliski kontakt z sąsiednimi państwami Nigrem i Mali poprzez tranzyt, napływ uciekinierów i szmuglowanych towarów.

Europejskie ekspedycje pustynne i turyści czarterowi – wszyscy wcześniej czy później znajdą się w Tamanrasset i wszyscy też pogubią się w korytarzach hotelu Tahat.

Architekt tego budynku miał wyjątkową słabość do symetrii. Hotel ma szesnaście dokładnie takich samych punktów, z których rozchodzą się promieniście w cztery strony świata dokładnie takie same korytarze.

Na informację z recepcji, że jest do mnie telefon ze Szwecji, puszczam się pędem przez ten labirynt jak nadpobudliwy szczur, by wyłonić się wreszcie we właściwym punkcie, z trudem łapiąc oddech. W słuchawce słyszę swoje własne dyszenie, które spotęgowane dociera do przekaźników radiowych w Ouargla, Algierze i Paryżu. Ten potężny pogłos wymazuje głos mojej córki, który powoli zanika i staje się słabszy od szeptu. W końcu, pokonany swoim echem, muszę dać za wygraną.

Jedna ze sprzątaczek przynosi z sobą małe, jeszcze nawet nieraczkujące dziecko, które kładzie na kamiennej posadzce w pomieszczeniu gospodarczym, i udaje się do pracy. Dziecko krzyczy nieprzerwanie od ósmej rano do późnego popołudnia, kiedy wyczerpane, wydaje z siebie już tylko żałosne kwilenie.

Gdyby dorosły człowiek leżał i krzyczał tak boleśnie, tak udręczony – czy długo trzeba by czekać na czyjąś reakcję? Ale dziecko – dziecko przecież krzyczy, wiadomo. Wszyscy uważają to za rzecz całkowicie naturalną.

62

Pustkę czuje się plecami.

Przód z pewnością przywdziewa maskę. Twarz może przecież spotkać się z sobą w lustrze. Za to kark jest całkowicie opuszczony.

Żołądek można wziąć w ramiona i zwinąć się w kłębek. Ale plecy pozostaną wciąż samotne.

To właśnie dlatego nimfy leśne i duszki przedstawiane są z wyżłobionymi plecami – nikt nigdy nie może przytulić się do nich od tyłu.

Tam bowiem dłuto samotności dokonuje swego dzieła.

Nie idzie się na spotkanie z samotnością. Ona nadchodzi cicho z tyłu, i tak nas dopada.

63

Conrad stracił matkę w wieku siedmiu lat, a ojca cztery lata później. Wyemigrował z Polski do Francji, a z Francji do Anglii. Służył na szesnastu różnych statkach. Za każdym razem gdy zmieniał kraj czy statek, musiał szukać nowych przyjaciół albo godzić się z samotnością.

Teraz samotność marynarza zastąpił samotnością pisarza. Jego żona zajmowała się domem. Oddźwięku i potwierdzenia szukał u przyjaciół.

Jeden z najstarszych angielskich przyjaciół Conrada nazywał się Hope i mieszkał w małej wiosce o nazwie Stanford-le-Hope. Po ślubie Conrad wraz z żoną przeniósł się tam, by być bliżej przyjaciela.

Marlow opowiada historię Kurtza w małym gronie czterech bliskich mu osób. Za takim kręgiem przyjaznych ludzi Conrad tęsknił przez całe życie. Aż wreszcie, w 1898 roku, wydaje mu się, że ich znalazł.

Tuż przed rozpoczęciem pracy nad *Jądrem ciemności* opuścił Stanford-le-Hope, by przeprowadzić się do Pent Farm w hrabstwie Kent. W ten sposób znalazł się w kręgu już mieszkających tam blisko siebie pisarzy. Są oni wszyscy niewidzialnymi słuchaczami snutej przez Marlowa opowieści.

64

Aby zacząć pracować, musiałem uprzątnąć stół. Poważnym problemem okazał się pył, który zaatakował dyskietki. W Tamanrasset jest tak sucho jak w zimowo-wiosenne dni w Pekinie. Spalone suszą i wiatrami miasto tkwi w wiecznej mgle kurzu.

I tak jak wiatr pekiński niesie z sobą Gobi, tutejszy niesie Saharę – to zresztą jest wciąż ta sama pustynia, ciągnąca się przez Libię i Egipt, przez Bliski Wschód i Iran, Beludżystan i Afganistan aż po Sinkiang, by dalej przeistoczyć się w pustynię Gobi. Te miliony kilometrów kwadratowych pyłu chcą wyraźnie, za wszelką cenę, dostać się do Tamanrasset, by osiąść akurat na moich dyskietkach.

Gromady zwierząt i ludzi nieprzerwanie ciągną wysuszonym korytem rzeki, które jest dla tego miasta odpowiednikiem Hyde Parku. Znużone wielbłądy schylają nisko łby i rozdmuchują pył, sprawdzając, czy nie znajdą w nim czegoś, co dałoby się zjeść. Cierpliwe kozy żują papierowe odpadki.

Idą kobiety z ciężarami noszonymi nie jak w Ajn Salih na biodrze. Tu dźwiga się je na głowie. Chłopcy wałęsają się grupkami, wznosząc każdym stąpnięciem obłok kurzu. Jeśli park jest płucami miasta, to miejsce owo jest po prostu pylicą.

Tamanrasset ma swoją wizytówkę. Drogę, wręcz autostradę, po której można by przejść nad korytem rzeki nawet w wyglansowanych butach, gdyby się takie miało. Jest zarezerwowana dla wojska.

Przez ów wiadukt przechodzi oficer w drodze na pocztę. Towarzyszy mu czterech mężczyzn w białych sznurowanych butach, białych hełmach z paskiem pod brodę podciągniętym pod nos. Przed pocztą maszerują w miejscu, oficer zaś, mijając kolejkę oczekujących, komenderuje wydanie mu znaczka pocztowego. Liże go i przylepia. Potem sześć kroków naprzód i znów marsz w miejscu, gdy on wrzuca list do skrzynki. Następnie wszyscy maszerują dalej z tymi samymi uroczystymi, pełnymi zadowolenia minami jak pies, gdy zagrzebuje odrobiną ziemi to, co zrobił.

Wrzucam do skrzynki swój skromny list z nieco skromniejszą ceremonią.

65[41]

Salon fryzjerski w Tamanrasset reklamuje się zdjęciami Elvisa i jednego z graczy narodowej kadry piłki nożnej. Czekając na swoją ko-

lej, czytam Wellsa i słucham algierskiego radia.

Przede mną jest Algierczyk, który po chwili zostaje ostrzyżony jak owca: wielką garść skołtunionych włosów zdejmuje mu się z głowy za jednym pociągnięciem niczym czerep. Jest tam jeszcze młody elegancki kadet, o miłej powierzchowności, którego włosy za pomocą suszarki i brzytwy uformowane zostają na jeża.

Kiedy nadchodzi moja kolej, by usiąść na fotelu fryzjerskim, próbuję gestami dokładnie opisać, ile chcę ściąć. I właśnie tak mało włosów na mojej głowie zostaje.

Wracam powoli do hotelu, idąc zygzakiem od cienia do cienia. Wydaje mi się, że wiem, co mam robić dalej.

Jądro ciemności powstało nie tylko pod wpływem debaty o Kongu, powrotu Kitchenera i innych wydarzeń tamtego czasu. Rozgrywa się też w świecie literackim, w świecie słowa, w którym Kipling był rywalem, przeciwnym biegunem. Lecz wielu innych pisarzy odegrało tu znacznie większą rolę: Henry James, Stephen Crane i Ford Madox Ford. Przede wszystkim jednak H.G. Wells oraz R.B. Cunninghame Graham.

przyjaciele

Killing the brutes

66

Podróżujący w czasie bohater *Wehikułu czasu* Wellsa (1895) przenosi nas w świat przyszłości, w którym na rodzaj ludzki składają się dwa gatunki: promienne dzieci-kwiaty świata jasności i te ze świata podziemnego – nocne i mroczne istoty, morlokowie.

To jakby Dr Jekyll i Mr Hyde rozmnożyli się, tworząc dwa odmienne rodzaje, które niezależnie od siebie zaludniły przyszłość. Jakby świadomość i podświadomość rozeszły się i zbudowały, każda z nich, własny gatunek. Jakby ta „najciemniejsza w Anglii" klasa robotników została zmuszona do zejścia w podziemie, by tam stworzyć rasę nową. Jakby wreszcie ci „najciemniejsi w Afryce" mieszkańcy mieli żyć pod ziemią, w samym sercu imperium.

Ze wszystkich możliwych interpretacji kołaczących się w głowie czytelnika wątek afrykański pozwala snuć nić tej opowieści dalej – morlokowie okazują się kanibalami. To kanibale mają władzę. A piękny gatunek żyjący na powierzchni ziemi jest jedynie tucznym bydłem, które kanibale chwytają, zarzynają i zjadają.

Nienawiść i strach opanowuje Podróżnika w Czasie. Tęskni on za trupami morloków. Chciałby zejść prosto w ciemność i „zabić to bydło".

Zabijanie u Wellsa dokonuje się i z przerażeniem, i z lubieżną przyjemnością. Podróżujący w czasie bohater zasypia tam, gdzie siedzi, w ciemnościach, i budzi się, czując dotyk wstrętnych, oślizgłych morloków. Strząsa z siebie „te ludzkie szczury" i zaczyna walić na oślep. Odczuwa rozkosz, kiedy jego solidny żelazny pręt zagłębia się w soczyste mięso i roztrzaskuje kości...

Czołowym filozofem tamtej epoki był Herbert Spencer. W dzieciństwie otrzymał bardzo surowe wychowanie. Ponure metody pedagogiczne stanowiły tajemnicę jego oglądu świata. Na wszystkim, co żyje, można wymusić postęp wyłącznie przez kary. Natura jest ogromnym zakładem wychowawczym, gdzie niewiedzę i niekompetencję karze się biedą, chorobą i śmiercią.

Wehikuł czasu jest swego rodzaju eksperymentem opartym o Spencerowską naukę o rozwoju człowieka. Powieść demonstruje sposób, w jaki człowieczeństwo, jak to określa sam jej bohater, „popełnia samobójstwo", minimalizując ból, który jest przecież matką inteligencji i rozwoju.

Następna książka Wellsa, o której także wiemy, że Conrad ją czytał, nosiła tytuł *Wyspa doktora Moreau* (1896). Tu analizuje się możliwość odmienną: maksymalizowanie bólu, aby w ten sposób zmaksymalizować rozwój.

Doktor Moreau wykorzystuje całą swoją sprawność chirurga i próbuje ze zwierząt uczynić pewnego rodzaju ludzi. Poddaje zwierzęta torturom, by przez ból przyspieszyć ich ewolucję.

> Pogrążając kolejną żywą istotę w otchłani cierpienia, zawsze sobie powtarzam: tym razem wypalę z ciebie całą zwierzęcość, tym razem stworzę własnymi rękami racjonalną istotę ludzką. Cóż to w końcu znaczy dziesięć lat? Człowiek potrzebował stu tysięcy lat, by stać się człowiekiem.

Doktor Moreau stworzył sto dwadzieścia istot, z których połowa jest martwa. Prawdziwego człowieka jednak stworzyć mu się nie udało. Gdy tylko przestawał dręczyć istoty doświadczalne, zaczynał się proces powrotu ich cech czysto zwierzęcych. Cechy te najsilniej występują po zmroku, w ciemnościach. Pewnej nocy z łańcucha zrywa się puma i zabija swojego kata. Bestie buntują się i obejmują władzę na wyspie. Narrator obserwuje, jak z dnia na dzień istoty stają się coraz bardziej owłosione, ich czoła coraz niższe, a zamiast mowy wydają z siebie prymitywne pomruki.

Kiedy ratując się, wraca do cywilizacji, widzi tam dokładnie to samo zjawisko. Ludzie wydają mu się udręczonymi zwierzętami, które wkrótce ponownie staną na czterech łapach. Wybiera więc samotność pod gwiazdami. „To, co w człowieku jest zwierzęce, musi szukać pociechy i nadziei tam, na gwiezdnym niebie. I tak kończy się moja opowieść: w nadziei i samotności".

Wyspę doktora Moreau czytać można jak baśń o kolonializmie.

Podobnie jak kolonizator cywilizuje niższe, bardziej zwierzęce rasy za pomocą pejcza ze skóry hipopotama, tak doktor Moreau przy użyciu stalowego narzędzia tortur cywilizuje zwierzęta. Kolonizator próbuje stworzyć istotę nowego gatunku, ucywilizowanego dzikusa, tak jak doktor Moreau stara się powołać do życia uczłowieczone zwierzę. Instrumentem w obu przypadkach jest terror. Również Kurtz uczy wykreowane przez siebie istoty, by wielbiły go jak Boga.

68

W *Wyrzutku*, recenzowanym przez Wellsa w maju 1896 roku, krytyczne opinie tubylców o kolonialistach ilustruje Conrad wizerunkiem *the invisible whites*, niewidzialnych białych, którzy zabijają nawet wtedy, gdy nie są obecni. Być może to Conrad zainspirował Wellsa do napisania nowej baśni o kolonializmie, *Niewidzialnego człowieka* (1897).

To opowieść o naukowcu, który już po pierwszym aż nazbyt udanym eksperymencie naukowym stał się niewidzialny i teraz nie wie, jak powrócić do stanu naturalnego.

Początkowo jest zrozpaczony sytuacją, lecz wkrótce odkrywa, że da się ją wykorzystać. Ponieważ nikt go nie widzi, może bezkarnie dokonywać wszelkiego rodzaju akty przemocy. Nikt nie przeszkodzi mu w zabiciu każdego, kto przeciwstawi się jego imperium terroru. Niewidzialność czyni go okrutnym, nieludzkim.

„Ten człowiek jest szalony – rzekł Kemp. – Nieludzki. Jest samym czystym egoizmem"[43].

Czysty egoizm, *pure selfishness*, w takich samych słowach Conrad przekazał swemu wydawcy główną myśl zawartą w *Jądrze ciemności*.

Ci, którzy reprezentowali cywilizację w koloniach, byli „niewidzialni" nie tylko w tym sensie, że ich broń zabijała na odległość, ale także i z innego powodu: w ich ojczyźnie nikt nie wiedział, czym się zajmują. Odcięci od kraju ogromnymi odległościami, fatalną łącznością i dżunglą niemal nie do przebycia, sprawowali imperialną władzę poza jakimkolwiek osądem. Jak ją sprawowali tam, gdzie nie istniała żadna kontrola? Jak sami się zmieniali, gdy nikt ich nie widział?

Takie pytania postawił Charles Dilke w książce *Civilisation in Africa*, wydanej latem 1896 roku. Odpowiedzi na nie szukano też w roku 1897, w związku z artykułami Benjamina Kidda opublikowanymi w „Timesie", a także i w następnym, 1898 roku, kiedy wydano je w formie książki noszącej tytuł *Control of the Tropics*. Wells był jak zawsze aktualny.

Conrad podjął ten temat zaraz po zetknięciu się z publikacją Dilkego. Napisał wówczas *Placówkę postępu*, o dwóch awanturnikach, którzy czując, że nikt już nie obserwuje ich poczynań, stają się coraz bardziej nieludzcy. Podobnie kreatywnie zareagował, gdy znalazł ten sam problem opracowany przez Wellsa. Kurtz jest niewidzialnym człowiekiem Conrada.

Siedemnastego listopada poprosił, by Wells wysłał mu egzemplarz *Niewidzialnego człowieka*, jego bowiem gdzieś się zawieruszył, a był w trakcie lektury. W liście do Wellsa z czwartego grudnia chwalił ją z wielkim entuzjazmem. *Niewidzialny człowiek* to jedna z książek czytanych przez Conrada tuż przed rozpoczęciem pracy nad powieścią, którego bohaterem był Kurtz.

W święta Bożego Narodzenia napisał list do swojej młodej kuzynki Anieli Zagórskiej, zalecając jej lekturę *Niewidzialnego człowieka*, powieści, o której wciąż myślał podczas pracy nad *Jądrem ciemności*.

W liście do Zagórskiej rekomenduje także ostatnio wydaną książkę Wellsa, *Wojnę światów* (1898). Krytyka kolonializmu jest w niej jeszcze bardziej dosadna – być może dlatego, że książka pisana była w jubileuszowym 1897 roku, a więc w czasie, gdy brytyjski imperializm oddawał się orgii pełnego ignorancji samozadowolenia.

W powieści Wellsa Londyn zostaje zaatakowany przez rasę władców przybyłych z kosmosu. Marsjanie żyli w wiecznym chłodzie, toteż ich mózgi osiągnęły wyższy stopień rozwoju. Zdolni więc byli odkryć promienie niosące śmierć i skonstruować statek kosmiczny. Spowijają Londyn, kawałek po kawałku, chmurą czarnego gazu. Nieprzenikliwą, zniewalającą i pozbawiającą życia ciemnością.

Powieść roi się od słów-symboli, spełniających tę samą rolę w *Jądrze ciemności – darkness, blacknes, extermination, brutes, horror*.

Broń używana przez Marsjan zabija „jak niewidzialna ręka”. Mają oni taką samą przewagę nad Brytyjczykami, jaką Brytyjczycy nad narodami kolorowych. I tak jak Brytyjczycy roszczą sobie prawo do podbijania terytoriów należących do ras niższych, również Marsjanie uważają, że mają prawo odebrać Ziemię ludziom, traktowanym przez nich jako niższy gatunek zwierząt, poruszający się w pozycji pionowej.

> Zanim jednak surowo ich potępimy, przywołajmy z pamięci okrucieństwa i spustoszenia, jakie zostawia po sobie człowiek. Eksterminacji poddaliśmy wszak nie tylko niektóre gatunki zwierząt, takie jak bizon czy ptak dodo, ale również całe populacje niższych rasowo ludzi.

Człowieczeństwo Tasmańczyków nie było dla nich żadną ochroną. Zostali zmieceni z powierzchni ziemi w ciągu trwającej pięćdziesiąt lat, wyniszczającej wojny prowadzonej przez najeźdźców z Europy. Jakie więc mamy prawo skarżyć się, gdy ten sam rodzaj wojny prowadzą Marsjanie przeciwko nam?

W krótkim czasie wszyscy mieszkańcy Londynu i okolic zostają zgładzeni, poza kilkoma niedobitkami. Narrator spotyka na Putney Hill jednego z nich. Chce nadal żyć i stawiać opór, schodząc do ka-

nałów. Istnieje jednak ryzyko, że człowiek *will go savage*, zdegeneruje się do rodzaju wielkiego dzikiego szczura. Ekstremalna sytuacja zmusza do ekstremalnych rozwiązań:

> Dla głupich i słabych miejsca u nas nie będzie. Zapanuje prawdziwe życie, więc muszą umrzeć wszyscy bezużyteczni, uciążliwi i szkodliwi. Tak. Muszą umrzeć. I sami powinni chcieć śmierci. To w końcu nielojalne z ich strony, żyć dalej i psuć naszą rasę...

Kiedy napisano te słowa, mały Adolf Hitler miał osiem lat.

Zagadka malarii została rozwiązana w 1897 roku, kiedy Wells stworzył swoją powieść. Tak jak malaria stanowiła przez długi czas ochronę tubylców przed białymi zdobywcami, podobnie bakterie w powieści stały się ochroną człowieka przed Marsjanami. To bakterie uratowały ludzkość. Marsjanie podbili cały glob ziemski tylko po to, by paść ofiarą tych najmniejszych i całkowicie niewidzialnych jego mieszkańców.

Możemy w samozadowoleniu pójść tą samą drogą, ostrzega Wells. Fakt, że kiedyś osiągaliśmy sukcesy, nie znaczy, że przyszłość też należy do nas. „Całkowite panowanie dominujących gatunków, żyjących do tej pory, prowadziło – pozwolę sobie to powtórzyć – do ich całkowitego upadku".

70[45]

Wells dobrze wiedział, o czym mówi. Studiował biologię i paleontologię u Thomasa Huxleya. Jego popularnonaukowe artykuły świadczą o szczególnym zainteresowaniu właśnie procesem wymierania.

Treścią *On Extinction* (1893) jest „najposępniejszy rozdział" nauk biologicznych. Opisuje on zmagania z powolną i nieubłaganą zagładą.

W gablotach muzeów historii naturalnej leżą dowody istnienia zaginionych gatunków wyryte w kamieniach. Jednym z nich był *atlantosaurus*. Z powodu zmian klimatycznych, jakiejś choroby, a może

nieznanego wroga populacja ogromnych gadów zaczęła maleć, by wkrótce zniknąć całkowicie.

Potężne archiwum paleontologii pełne jest świadectw zanikania; całe pokolenia, rodziny, grupy i klasy zostały unicestwione, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu w żyjącej na świecie faunie.

Wiele muzealnych skamielin nosi etykietki „pochodzenie niewiadome". Są niepodobne do niczego, co dziś żyje. Dowodzi to niewiarygodnych mroków przeszłości, w których jedno nie ulega wątpliwości: fakt zagłady.

Procesy unicestwiania następują także i w dzisiejszym świecie. W ciągu ostatnich stu lat cywilizowani ludzie mrowią się na kuli ziemskiej i wypychają w otchłań jeden gatunek fauny za drugim. Dotyczy to nie tylko ptaka dodo, ale setek rodzajów i gatunków.

Wyjątkowo szybko i doszczętnie wyniszczono leśne bizony. Ten sam okrutny los czeka foki, wieloryby grenlandzkie i wiele innych zwierząt. Czy zdają sobie one sprawę z tego, co się dzieje? Te ostatnie już z pokonanych i ginących gatunków – czy czują w swoich sercach chłód samotności?

Ich sytuacja przekracza właściwie naszą zdolność pojmowania, pisze Wells. Ziemia promieniuje jeszcze ludzkim ciepłem, przyszłość wydaje się pełna ludzkiego życia. Najgorsze, co można sobie wyobrazić, to spustoszony glob, na którym ostatni człowiek zupełnie samotnie spogląda zagładzie w oczy.

71

Powietrze w dużym domu towarowym jest suche, coraz trudniej mi oddychać. Prowadzą mnie więc do POKOJU INHALACJI, gdzie powietrze, pełne wilgoci jak w szklarni, łagodnie i przyjemnie wpływa do płuc. Już po krótkiej chwili czuję się jak nowo narodzony. Ale gdy tylko wchodzę w suche powietrze sklepu, następuje nowy atak duszności. Wracam więc szybko tam, gdzie można swobodnie oddychać. Pomieszczenie jednak w ciągu kilku chwil uległo całkowitej

zmianie. Jest puste. Nie ma w nim ani jednego człowieka, ani jednego mebla, niczego.

– Chciałbym dostać się do pokoju inhalacji – mówię.

– Pomylił się pan – odpowiada głos z niewidzialnego głośnika. – Jest pan w POKOJU ANIHILACJI.

– Nie rozumiem.

– To wielka różnica – wyjaśnia rzeczowo głos. – Tu zostaje się anihilowanym.

– A to oznacza?

– To komora unicestwiająca. Tu gaśnie całe życie. Dochodzi swego kresu.

Słowa eksplodują we mnie w zwolnionym tempie. Ich znaczenia otwierają się jak spadochrony i powoli, poprzez świadomość, lądują w nagłym błysku zrozumienia: Już nie istnieję. To już koniec.

72

W kwietniu 1897 roku, w czasie gdy Wells pisał *Wojnę światów*, gazeta „The Social-Democrat" opublikowała historię stworzenia świata, charakteryzującą się tą samą krwawą ironią, tym samym wywrotowym pesymizmem. Materiał ten zatytułowano *Bloody Niggers*.

> Dlaczego Bóg stworzył człowieka? Z niedbalstwa czy ze złośliwości? Tego nie wiemy. W każdym razie on, człowiek, istnieje. Czarny, biały, czerwony i żółty.
> Dawno temu żyli i walczyli Asyryjczycy, Babilończycy i Egipcjanie, Bóg jednak cały czas pragnął czegoś innego, lepszego.
> Sprawił, że z mroków barbarzyństwa wyłonili się Grecy i Rzymianie, by utorować drogę dla rasy przeznaczonej do panowania nad całym rodzajem ludzkim, a mianowicie dla rasy brytyjskiej – ograniczonych wyspiarzy, chrzczonych we mgle, nadętych od sukcesów i bogactw.
> W Afryce, Australii i Ameryce, a także na tysiącach wysp mórz południowych żyją rasy niższe. Być może noszą różne nazwy i nieznacznie różnią się między sobą, ale tak naprawdę wszyscy są czarnuchami, „parszywymi czarnuchami". Po Finach, Baskach i jeszcze im podobnych też niczego dobrego spodziewać się nie można, oni są swego rodzaju europejskimi czarnuchami, „skazanymi na wyginięcie".

Czarnuch pozostanie czarnuchem, jakiegokolwiek byłby koloru, jego archetyp jednak znajduje się w Afryce. O, Afryko! Bóg musiał być w złym humorze, kiedy tworzył ten kontynent. Jak inaczej wytłumaczyć fakt zaludnienia tej ziemi populacją skazaną na to, by zastąpiły ją inne, przybywające ze świata rasy? Nie byłoby lepiej stworzyć białych czarnuchów, tak by wszyscy oni w swoim czasie mogli stać się Anglikami, niż brać na siebie trud ich wytępienia?
Czarnuchy nie mają żadnych armat, nie mają więc też żadnych praw. Ich kraj jest naszym krajem. Ich bydło i ziemia, ich nędzny sprzęt domowy i to wszystko, co posiadają, jest nasze – tak jak i ich kobiety są nasze. Do tego, by brać je jako konkubiny, garbować im skórę albo wymieniać, by zarazić je syfilisem, zrobić im dziecko, obrażać i dręczyć, „aż najbardziej podli z naszych łajdaków uczynią je nędzniejszymi od zwierząt".
Nasi biskupi wołają o pomstę do nieba, kiedy Ormianie hańbieni są przez Turków. Milczą jednak, gdy jeszcze większe przestępstwa popełniają ich rodacy. To obłudne brytyjskie serce bije dla wszystkich poza tymi, których własne Imperium topi we krwi. Bóg, który stworzył takich jak my – czy nie był przypadkiem szaleńcem?

73

Autorem tego gniewnego tekstu był szkocki arystokrata i socjalista R.B. Cunninghame Graham. Po latach awanturniczego życia w Ameryce Południowej powrócił do ojczyzny, rozpoczynając nową karierę jako polityk i pisarz.

Kilka miesięcy po ukazaniu się *Bloody Niggers* Graham przeczytał nowelę Conrada *Placówka postępu* i odnalazł bratnią duszę w krytyce imperializmu i odrazie do hipokryzji. Napisał do Conrada list, pierwszy z długiej korespondencji pełnej poważnych dyskusji, wyjątkowej w swej intensywności i świadczącej o zażyłości obu pisarzy. Graham stał się też najbliższym przyjacielem Conrada.

Obydwaj zawsze chwalić będą wzajemnie swoje opowiadania i artykuły, choć w jednym wypadku Conrad zareaguje gwałtowniej niż zwykle. W czerwcu 1898 roku, w czasie lektury opublikowanego już ponad rok wcześniej *Bloody Niggers*.

Jest dobry, pisze, bardzo dobry, ale... (tu przechodzi na francuski)... ale, drogi przyjacielu, rozmieniasz się na drobne, twoje myśli

krążą dookoła niczym rozproszeni jeźdźcy tam, gdzie powinni trzymać się razem w skutecznym i zwartym szyku bojowym.

„I dlaczego wygłaszać kazanie do już przekonanych?" – pyta Conrad i sam sobie natychmiast przerywa:

> Robię z siebie głupca. Honor, sprawiedliwość, współczucie i wolność to idee niemające swoich wyznawców. Istnieją ludzie, dla których nie mają one żadnego znaczenia, którzy ich nie rozumieją i nie czują, a jedynie odurzają się słowami, powtarzają słowa, wykrzykują je, wmawiają w siebie, że w nie wierzą – nie wierząc w nic poza korzyścią, osobistym zyskiem i własną satysfakcją.

Powraca tu refleksja Conrada z krytycznego tekstu z lata 1896 roku, w którym pisał, że wielkie słowa stały się jedynie dźwiękiem, *sounds*. Powraca wyostrzona skrajną rozpaczą.

> Słowa ulatują – i nic nie zostaje, rozumiesz? Absolutnie nic, naiwny człowieku! Nic, zero. Jedna chwila i nie zostaje nic – poza grudką brudu, zimną i martwą grudką brudu w czarnym kosmosie, wirującą wokół zgasłego słońca. Nic. Ani myśli, ani dźwięku ani duszy. Dosłownie nic.

74

Conrad nazywał Grahama *homme de foi*, człowiekiem wielkiej wiary.

On sam ani nie chciał, ani też nie mógł mieć nic wspólnego z socjalizmem Grahama (czy w ogóle z jakąkolwiek polityką). Był synem swojego ojca. Wiedział, dokąd może prowadzić polityka. Zabiła przecież jego matkę, złamała ojca, jego samego uczyniła sierotą i wygnała z kraju.

Graham, pewny swojej narodowej tożsamości, mógł sobie na nią pozwolić. Conrad, pisarz na wygnaniu, nie. Mógł podziwiać i kochać działalność polityczną ojca poprzez osobę Grahama. Równocześnie jednak nienawidził jej i nigdy mu nie wybaczył.

Kogo dziś możemy nazwać *homme de foi*? Ten gatunek chyba już wygasł. Problemy Grahama natomiast pozostały aktualne, całkowicie rozpoznawalne, tak jak i jego rozpacz. Odebrano nam tylko jego wiarę i nadzieję.

Nowo wydaną książkę podróżniczą Grahama *Magreb el-Aksa* Conrad zaczął czytać 1 grudnia 1898 roku. Do matki Grahama pisze już czwartego grudnia: „To jest książka stulecia". „Nic równie dobrego o temacie podróżniczym nie wyszło od czasu *Mekki* Bartona".

I do Grahama osobiście dziewiątego grudnia:

> Oryginalność dzieła robi na czytelniku wrażenie od pierwszej chwili. A potem przychodzi wszystko inne: biegłość, patos, humor, dowcip, gniew... To powinno przynieść także i sukces materialny. Ale kto wie? Może książka jest zbyt dobra.

Książka Grahama była jedną z ostatnich, jakie Conrad czytał przed osiemnastym grudnia, kiedy to siadł przy biurku i zaczął pisać *Jądro ciemności*.

Narrator w *Magreb el-Aksa* zwraca się do grupki mężczyzn leżących wokół ogniska z zapalonymi fajkami, którzy na odgłos rżenia koni zatrzymują w połowie drogi do ust blaszane kubki. On, narrator, jeździec na koniu, jest odpowiednikiem marynarza Marlowa z jego kręgiem żeglujących mężczyzn.

Przekazuje, jak sam mówi, tylko to, co widział, bez szastania wielkimi słowami, bez udawania, że spełnia jakąś nadzwyczajną moralną misję. Nie ma żadnej teorii na temat imperiów, losu anglosaskiej rasy, rozprzestrzeniania się wiary chrześcijańskiej ani też na temat ekspansji gospodarczej. Przyjął, podobnie jak Marlow na początku *Jądra ciemności*, postawę wyczekującą i zdystansowaną.

Jest w drodze do Tarudant. Początkowo podróżuje tak jak Marlow statkiem wzdłuż wybrzeży Afryki. Rozmyśla o „Wschodzie", *the East*, pojęciu, pod którym w tamtych czasach rozumiano prawie cały świat nieeuropejski.

> Tak jak ja to widzę, Europejczycy są przekleństwem Wschodu. Co mają do zaproponowania? Broń palną, proch, dżin, kiepskie ubrania, często brak uczciwości, tandetę, zastępującą rękodzielnictwo kobiet, nowe wymagania, nowe obyczaje i niezadowolenie z tego, co się ma... Takie dobrodziejstwa przynoszą z sobą Europejczycy.

Rządzące klasy Maroka „doskonale zdają sobie sprawę, że postulaty poprawy rządów, postępu i prawości stawiane słabszym narodom przez potęgi chrześcijańskie mają na celu ich aneksję". Niektóre tereny są już w cudzoziemskich rękach, „a Marokańczykom podoba się to dokładnie tak samo, jak podobałoby się nam mieć Rosjan na wyspie Wight" – pisze Graham.

Nawet takie nieśmiałe próby spojrzenia na Europę z punktu widzenia zagrożonych i atakowanych narodów były w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku wyjątkowe i wręcz prowokacyjne. Nadały też pisarstwu Grahama szczególny charakter. To taki sam sposób narracji, jaki przyjął Conrad w *Placówce postępu* i jaki także reprezentuje Marlow na pierwszych stronach *Jądra ciemności.*

Czytając opowieść Grahama o człowieku Zachodu wdzierającym się coraz głębiej w nieznaną i niebezpieczną Afrykę, Conrad odbierał nie tylko to, co było w książce. W przeżyciach autora widział swoje własne.

W tekście przyjaciela ujrzał własną opowieść, którą mógłby napisać, o tej samej treści i w tym samym duchu, skierowaną do przyjaciela jako tajemniczego adresata. Kiedy obsypał Grahama pochwałami za tę dosyć nieskomplikowaną historię, liczył na identyczne pochwały od Grahama za swoją powieść, której jeszcze nie było, którą jednak on widział już między wierszami powieści Grahama oczyma wyobraźni.

76[47]

Krytykę europejskich wpływów, zawartą w książce *Wschód*, Graham sformułował jeszcze wyraźniej już wcześniej, jesienią, w opowiadaniu *Higginson's Dream*, którego korektę we wrześniu 1898 roku wykonał dla przyjaciela Conrad.

„Jest fantastyczne" – pisał Conrad do matki Grahama szesnastego października – „nawet za dobre, gdy myślę o swojej własnej pracy, czuję się jednak niezwykle zaszczycony, słysząc, że znalazła Pani

pewne podobieństwa. Z punktem widzenia naturalnie zgadzam się w zupełności".

Jaki punkt widzenia?

Podczas ostatnich walk o Teneryfę, o których mowa w opowiadaniu *Higginson's Dream*, Guancze zostali zaatakowani przez dziwną chorobę, w której wyniku zmarło więcej ludzi, niż zginęło na polu bitwy. Cały kraj zasnuty był trupami. Alfonso de Lugo na swojej drodze natknął się na kobietę, która spytała:

– Dokąd zmierzasz, chrześcijaninie? Skąd to wahanie? Zdobywaj tę ziemię. Wszyscy Guancze są już przecież martwi.

Chorobę nazwano „modorra". Ale w istocie rzeczy już sama obecność białego człowieka ze strzelbą i Biblią, z dżinem, bawełną i sercem pełnym dobroczynności wystarczyła, by wytępić naród, którego on pragnie wydźwignąć z barbarzyństwa.

Jakkolwiek więc byśmy postępowali, nasza obecność i tak staje się przekleństwem dla wszystkich narodów broniących źródeł swego człowieczeństwa. Nasze zwyczaje nieuchronnie niosą z sobą śmierć tak zwanym słabszym rasom, rasom zmuszanym przez nas do tego, by jednym skokiem pokonały dystans, na którego pokonanie my mieliśmy całe tysiąclecie, pisze Graham.

Warto zauważyć, że Graham, w przeciwieństwie do większości intelektualistów tamtych czasów, używa sformułowania *the so-called inferior races*. Według niego wymieranie narodu kolorowych wynikało nie z jakiejś biologicznej podrzędności, lecz było skutkiem czegoś, co dziś nazwalibyśmy szokiem kulturowym, spowodowanym żądaniem natychmiastowego przystosowania się do szczególnej odmiany kultury zachodniej (dżin, Biblia i broń palna).

Z tym to właśnie punktem widzenia Conrad zgadzał się całkowicie.

77[48]

Jesienią 1898 roku Conrad pracował nad *Ocaleniem.* To nieudane dziecko ujrzało światło dzienne dopiero wiele lat później.

Głównym bohaterem *Ocalenia* jest szlachetnie urodzony imperialista. Poświęca wszystko, by pomóc malajskiemu przyjacielowi, który kiedyś uratował mu życie. Treścią książki jest więc sytuacja całkowicie odmienna od tej, o której opowiada *Jądro ciemności*. Powieść ta przysporzyła Conradowi bezgranicznych męczarni i wiele razy sprowadzała go na skraj samobójstwa.

Poza wszystkim innym jest też powieścią bardzo niedobrą. A zajmuję się nią tylko z jednego powodu, mianowicie dla fragmentu, gdzie Mr Travers „z niejaką impulsywnością" wyrzuca z siebie te słowa:

> A jeśli ta niższa rasa zaginie, będzie to czystym zyskiem, krokiem do udoskonalenia społeczności, które jest celem postępu.

Słowa te znalazły się w trzecim rozdziale. Oznacza to, że Conrad musiał je pisać mniej więcej w czasie wykonywania korekty utworu *Higginson's Dream*. Obydwa teksty nawiązują do tego samego, najwyraźniej popularnego poglądu, według którego te „niższe" rasy trzeba poświęcić na rzecz „postępu".

Warto zwrócić uwagę na fakt, że w powieści zdanie to wygłasza pan Travers, nieznośny cymbał; i że jego słowa są natychmiast, na wszystkich lądach i morzach, pod każdą szerokością geograficzną, kojarzone z „ostatecznym nadejściem ciemności".

78

Higginsonowi dobrze się wiodło. Był w tym czasie już zamożnym człowiekiem, mieszkał w Noumea, głównej osadzie na Nowej Kaledonii – grupie wysp, które, jak zwykle podkreślał, wydźwignął z barbarzyństwa.

Higginson spędził młodość na wyspach. Kochał się z miejscowymi kobietami, polował z miejscowymi młodzieńcami, uczył się ich języka, żył ich życiem i wydawało mu się, że lepszego losu nie znajdzie.

Zmęczony swoim bogactwem, marzył teraz często o powrocie do małej zatoki niedaleko Noumei, gdzie w młodości miał przyjaciela

o imieniu Tean.

Pewnego dnia, kiedy szampan wydaje mu się zwietrzały, a dziewka wyjątkowo wulgarna, udaje się tam naprawdę. Miejsce okazuje się dziwnie zmienione. Wygląda na opuszczone. Na jego wołanie odpowiada jedynie echo. Higginson przedziera się przez zarośla, znajduje szałas i człowieka wykopującego z ziemi bulwy, któremu zadaje pytanie:

– *Where black man?*

Mężczyzna odkłada motykę i odpowiada:

– *All dead.*

– *Where Chief?*

– *Chief, he dead.*

Te słowa czytał Conrad – nie tylko czytał, ale robił także ich korektę – w noweli swego najlepszego przyjaciela parę miesięcy przed użyciem przez siebie tych samych słów. Słów, które pewnego dnia staną się mottem do książki T.S. Elliota *Próżni ludzie* (1925).

– *Mistah Kurtz, he dead.*

79

W chacie odnajduje swego przyjaciela. Tean jest umierający. Wywiązuje się dziwna rozmowa, w której Tean próbuje za pomocą metafor – ptak, myszka, deszcz – wyjaśnić, co się z nim dzieje. A Higginson odpowiada tak, jak gdyby metafory dotyczyły świata realnego, gdzie człowiek strzela do ptaka i szczuje kota na mysz.

– To już się na nic nie zda – mówi Tean. – Umieram, John, czarny człowiek wszyscy umierać, czarna kobieta nie mieć dzieci, plemię tylko pięćdziesiąt dom zamiast pięćset. My wszyscy umrzeć, tak jak dym zniknąć gdzieś w chmurze. Czarny człowiek z biały człowiek nie umieć żyć.

Znalazłszy się w tym miejscu swego opowiadania, Higginson zwykle zaczynał znieważać bogów, przeklinać postęp i pomstować na cywilizację (dokładnie jak robił to Graham w *Bloody Niggers*), wyrzucając z siebie potok słów w połowie po francusku, w połowie po

angielsku (dokładnie jak Conrad, gdy czytał *Bloody Niggers*) – by potem ze wstydem uświadomić sobie, że przecież on sam poprowadził tę drogę, założył tę kopalnię, zbudował ten pomost. On i nikt inny wprowadził na tę wyspę cywilizację…

Higginson podobnie jak Kurtz jest kosmopolitą, „w połowie Francuz, w połowie Anglik". Jest więc, krótko mówiąc, Europejczykiem. Również jak Kurtz reprezentuje Postęp zakładający z góry zagładę narodu oraz Cywilizację, której przesłanie brzmi: *„Exterminate all the brutes"*.

III

do Arlit

80

Jak dostać się dalej? Końcowym przystankiem autobusu z Tamanrasset na południe jest granica Algierii. Autobusy sąsiedniego państwa, Nigru, mają swój pierwszy przystanek w Arlit – mieście położonym dwieście osiemdziesiąt kilometrów od granicy. Jedynym sposobem przebycia tych dwustu osiemdziesięciu kilometrów jest autostop. By nie narażać się więc na długie czekanie na granicy, najlepiej szukać środka transportu już w Tamanrasset.

Kupuję miejsce na ciężarówce wiozącej do Nairobi grupę australijskiej młodzieży. Wyjeżdżamy o świcie. Policja daje stempel na wyjazd, służba celna swojego stempla odmawia.

Pojawia się sugestia, by odbyć całą ceremonię odprawy w In Gezzam, dokąd jednak nikt jechać nie zamierza. Chcąc udowodnić rację swojego istnienia, urząd celny w Tamanrasset mnoży problemy, a to z kolei prowadzi do tworzenia się długich kolejek oczekujących na odprawę.

O godzinie dwunastej celnicy przerywają pracę, by się posilić, a my czekamy dalej. Słońce praży. Jego ostry blask pulsuje w głowie. Im dłużej celnicy się posilają, tym bardziej wydłuża się kolejka pojazdów. Muchy bzyczą, irytacja rośnie.

Celnicy wracają o wpół do trzeciej i bez jakiegokolwiek uzasadnienia przepuszczają za jednym zamachem całą kolejkę. Proszę bardzo! Na co czekacie?

Przed nami czterysta kilometrów bezdrożnej pustyni. Zanim zrobi się ciemno, uda nam się przejechać zaledwie sto dwadzieścia z nich.

Wieczór jest spokojny, bezwietrzny, bezksiężycowy, a niebo pełne gwiazd.

„Wieczór to dla podróżujących królewska rekompensata za męczarnie dnia” – pisze Nachtigal w dwunastym tomie serii przezna-

czonej dla młodzieży, publikowanej przez sztokholmskie wydawnictwo Norstedt & Synowie.

> Kiedy wiatr ucicha, niebo staje się bezchmurne i błękitne, ozdobione gwiazdami iskrzącymi się blaskiem spotykanym w krajach północnych jedynie w czasie mroźnej i bezchmurnej nocy zimowej.

Kiedyś o tym czytałem. Teraz to wiem. To gwiazdy unoszą niebo. Kosmos jest największą z pustyń.

81

Kiedy wyczołgujemy się bladym świtem ze śpiworów, okazuje się, że jesteśmy na jakiejś rzadko uczęszczanej trasie, na której nie ma świeżych śladów kół. Może i stanowi to zaletę, bo piasek nie jest rozjeżdżony. Ale może też okazać się fatalne w skutkach, jeśli w miejscu tak oddalonym od jakiegokolwiek ruchu nastąpi awaria silnika.

No i oczywiście psuje nam się prądnica, musimy kontynuować podróż na akumulatorze bez możliwości jego doładowania.

Kupki białych kamieni sprawiają wrażenie ptasich odchodów rozrzuconych na ciemnym piasku. Łamie to podstawową regułę obowiązującą na pustyni: tym lżej, im jaśniej, a im ciemniej, tym ciężej.

O godzinie jedenastej spotykamy Tuarega w landroverze, który ostrzega nas przed dalszą jazdą. Przed nami wydmy nie do przebrnięcia dla naszego ciężkiego pojazdu. Zmieniamy więc kierunek i w porze obiadowej jesteśmy z powrotem na tej rozległej, bardziej rozjeżdżonej „wielkiej drodze".

Przed ruszeniem dalej między osławione ogromne wydmy posilamy się pod kilkoma mizernymi tamaryszkami.

Na pustyni pełno jest samochodowych wraków. Pozostaną tu po wieczne czasy, ponieważ brak wilgoci powoduje, że nie przeżre ich rdza. Ale prawdziwym cmentarzem tych aut są Lwie Wydmy. Dla wielu próba przedarcia się przez pustynię w zwykłych samochodach osobowych jest swoistym sportem i często kończy się właśnie tutaj.

Piasek niesiony wiatrem zdziera lakier, a w końcu i samą blachę. Zdarza się też, że szkielet samochodu zostaje pogrzebany pod wędrującymi piaskami, w których już wcześniej zniknęły wielbłądzie kości.

Jedziemy przez ten krajobraz przy dźwiękach wciąż przerywanych pór roku Vivaldiego, nagranych na jednej taśmie z angielskimi podrzędnymi komikami – z rodzaju tych, co to ku uciesze publiczności opowiadają, że mieli nieszczęśliwe dzieciństwo i nigdy nie dostali na posiłek ciepłego jedzenia, z wyjątkiem momentów, kiedy jakiś bogaty skurczybyk puścił bąka.

Ich głównym zajęciem jest świntuszenie i puszczanie bąków. Kiedy odchrząknąwszy, kończą swoje, pozostaje na stole sterta paskudztwa. Komicy analni łączą w sobie rzadki gatunek charakteryzujący się pogardliwym stosunkiem do kobiet, strachem przed nimi i antyintelektualizmem:

– Mój szwagier to taki entelektualny skurczybyk, no wiesz, w noc poślubną leżał i czytał, i nie ruszył siostry, chyba że chciał zwilżyć palce, żeby przewrócić stronę...

Ale nawet wśród tej mojej bandy znaleźli się ludzie czytający, którzy gdy tylko usadowili się wygodnie na platformie, wyciągali książkę i nie odrywali od niej oczu do chwili, kiedy trzeba było znów zejść z ciężarówki. Głęboko zatopieni w lekturze, przejeżdżają przez pustynię, nie poświęcając jej choćby jednego spojrzenia.

Są i pilni obserwatorzy, sadowiący się jak najwyżej, by dobrze widzieć. Stale informują o przelatujących nieznanych ptakach drapieżnych, ciężarówkach, dziwnie uformowanej górze lub o jadących na oklep Tuaregach.

Tancerze podkręcają muzykę najgłośniej, jak się tylko da, podskokami i kołysaniem wprawiają w ruch ciężarówkę jadącą po piaszczystych wybojach. Fotografowie trzymają aparaty w ciągłym pogotowiu i doświadczają pustyni wyłącznie przez obiektyw.

Popołudnie jest zwyczajne, nie dzieje się nic szczególnego. Rozbijamy obóz pod Gara-Ekar, skupiskiem dziwnych form górskich, prawdopodobnie pochodzenia wulkanicznego, przypominających rauki – wolno stojące strome skały wapienne na Gotlandii. Pełne głębokich bruzd i pęknięć, są porowate jak gąbki do mycia, ale rów-

nocześnie twarde jak metal. Najwyraźniej dużo bardziej wytrzymałe niż wszystko, co kiedyś znajdowało się wokół nich. I co już zniknęło na zawsze.

82

Przejście graniczne In Gezzam ma złą opinię. Opowiada się o nim niezliczone historie, jak to bezwzględni policjanci i celnicy próbują co rusz znaleźć kolejny pretekst, by odesłać ludzi z powrotem, do Tamanrasset albo jeszcze chętniej do Algieru. Mówi się też o tym, że trzeba stać i czekać w słonecznej spiekocie od godziny dziesiątej, kiedy glina idzie na lunch, do godziny wpół do piątej, kiedy ten sam glina wraca po sjeście.

Jesteśmy zatem przygotowani na najgorsze. Mam na sobie ciemny garnitur, czystą białą koszulę i krawat, a jako jedyny mówiący po francusku, dostaję zadanie znalezienia stosownego tematu do rozmowy.

To na pewno nie jest zabawne, zagaduję, siedzieć tu, w In Gezzam, w całkowitej izolacji, być narażonym na upał, kurz i ryzyko infekcji przywleczonej z obozów dla uciekinierów. Dostawać tylko 31,5-procentowy dodatek do pensji, wiedząc, że ci, co pracują w centralnie położonym Ajn Salih, tysiąc sto kilometrów bliżej Algieru, mają dodatek 35-procentowy – i to tylko dlatego, że znajdują się w większej odległości od Tamanrasset, stolicy prowincji. Ta niesprawiedliwość w wysokości pensji, podkreślam, woła o pomstę do nieba.

Żadnych problemów z cłem czy policją potem już nie mieliśmy. Wręcz pracowali po godzinach, by odprawić nas przed lunchem.

Tuż za placówką graniczną rozpościerają się trudne do przebycia wydmy. Z kolei za nimi monotonia wielkiej płaszczyzny piasku powoduje powstawanie fantastycznych miraży. Wydaje się, jakby człowiek podróżował po rozległym archipelagu, gdzie świeża woda lśni i nęci w promieniach słońca.

Po kilku godzinach jazdy na horyzoncie pojawiają się duże drzewa. To Assamaka.

Na pustyni człowiek tęskni za drzewami, nie tylko dla cienia, który dają, ale też i dlatego, że sięgają w przestworza. Nad płaskim terenem niebo wisi nisko. Drzewa unoszą niebo w górę, ponieważ są tak wysokie, a ciągle mają jeszcze do niego daleko. Drzewa tworzą przestrzeń. A więc także i kosmos.

Policjant na granicy siedzi w glinianej lepiance zagraconej zatrzymanymi przedmiotami jak w sklepie ze starzyzną: ma starte, wyświecone opony, wybrakowane odbiorniki radiowe, zakurzone szmaty, pożółkłe druki, popękane kubki, połowę abażuru i jedną pałkę policyjną. W samym środku tego bałaganu znajduje się łóżko, na którym sypia, stół, przy którym pracuje, i tranzystor, którego słucha.

Jego praca polega na kontrolowaniu, czy wjeżdżający posiadają równowartość trzech tysięcy franków francuskich lub ważny bilet lotniczy na powrotną podróż do domu.

Oznajmianie ludziom, że są zbyt biedni, by wjechać do jednego z najbiedniejszych krajów na ziemi, to subtelne zadanie. Sprowadza się bowiem w gruncie rzeczy do oceny ich możliwości finansowych, a to jest dla wielu równie trudne jak publiczne dyskutowanie o ich możliwościach seksualnych.

Policjant wykonuje to delikatne zadanie z humorem, ze znajomością rzeczy, szybko i po przyjacielsku, choć nie ma liczydła i każdą walutę na franki przeliczać musi w pamięci. Przy tak dużej grupie zabiera to naturalnie dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie jesteśmy odprawieni, słońce dotyka już horyzontu

O rzut kamieniem znajduje się bar, pierwszy od samego wyjazdu z Tamanrasset. Nigerskie piwo, jak się okazuje, kosztuje mniej więcej połowę tego, co algierskie. Butelka jest dwa razy większa, a dostęp do piwa wydaje się nieograniczony. Ktoś zamawia dwa piwa dla każdego z całej bandy. I tak zaczyna się zabawa z chóralnym

śpiewem i recytacjami, zbiorowym rechotem, bijatykami, pijackim wyciem i rytmicznym klaskaniem w dłonie.

Po zamknięciu baru o północy osiemnastka wrzeszczących, pijanych szaleńców rusza do swojej ciężarówki. Jadą, trzymając w każdej ręce butelkę. Z krzykiem i śmiechem wjeżdżają prosto w mrok. Kilometr, dwa kilometry, może trzy. Zatrzymują pojazd gdzieś w piasku, by kontynuować zabawę – gonimy się w ciemnościach, turlamy, chlejemy, bijemy się, pieprzymy, chichoczemy, czkamy i rzygamy aż do późnej nocy, kiedy każdy zasypia w piasku tam, gdzie go właśnie zmorzył sen.

84

Budzę się smagany płótnem namiotu niby rzemieniem. Wiatr wyrwał szpikulec z podłoża. Jest godzina czwarta. Wszystko pokrył piasek: śpiwór, notes, torbę podróżną i moje ciało. Powieki jak papier ścierny trą o gałki oczne. Powietrze jest za ciężkie, aby nim oddychać.

Ogarnia mnie strach. Boję się, że gdy zasnę, zasypie mnie. Nie mam odwagi dłużej tkwić w śpiworze. Wyłażę więc z niego i próbuję wyjrzeć na zewnątrz. Namiot, nadęty jak balon, lada moment uniesie się z ziemi. Naszej ciężarówki nie widać. Wszystko zniknęło. W tym piaskowym smogu światło latarki jest bezsilne.

Ubieram się i otulam śpiworem jak kocem. Mijają godziny. Piasek szeleści, uderzając o płótno namiotu. Przez głowę przelatują jakieś głupawe sentencje. Wszystko dobre, spokój lepszy. Nie lękaj się, mały pętaku. Posłuchaj szumu palmy, z której spada twój daktyl.

Momentami wydaje mi się, że wiatr ucicha, a po chwili, że się wzmaga. Świt niczego nie zmienia, powietrze jest wciąż tak samo nieprzenikliwe. Czuję się, jakbym był wmurowany w to powietrze. Cicho podpełza strach.

Wodą z butelki wypłukuję piasek z ust i moczę w niej palce, by przetrzeć wnętrze nosa i ułatwić sobie oddychanie.

Ale ze mnie szczęściarz! Jeszcze trochę wody zostało! Ale już się kończy! O, gdyby tak mieć całą szklankę wody mineralnej!

Jest dziewiąta. Próbuję sobie przypomnieć, gdzie dokładnie stał nasz, niewidoczny teraz, pojazd. Każdy, kto czytał o burzach piaskowych, wie doskonale, że najniebezpieczniej jest tuż przy ziemi. Ciężki piasek wpada w poślizg tuż nad nią i sunie niczym latający dywan. Lżejsze ziarna piasku odbijają się i pędzą naprzód. Tak naprawdę w powietrzu unosi się jedynie pył.

A kiedy wiatr rozwiewa pył, piasek nadal przesuwa się nad powierzchnią jak nisko płynąca chmura z wyraźnie zarysowanym konturem górnej krawędzi. Często widać, jak z chmury piasku wyłaniają się, zupełnie jak z kąpieli, głowy i ramiona ludzi, wspomina Bagnold[49]. Jeśli na ziemi leżą żwir lub kamienie, chmura może sięgać i dwóch metrów. Jeżeli jednak jest to tylko sypki piasek, jak tutaj, chmura jest znacznie niższa.

Czyli jedynym ratunkiem może być nasza wysoka ciężarówka. Jeśli dobrze pamiętam, nie powinna znajdować się dalej niż w odległości dziesięciu metrów. No, góra dwudziestu. Tam, na platformie samochodu, mógłbym chyba trzymać głowę ponad piaskiem i burzą i złapać znowu oddech. Reszta grupy pewnie już tam dotarła. Wszyscy święci oraz pozostali w liczbie trzydziestu jeden. Powinienem i ja tam się doczołgać!

A co będzie, jeśli jej nie znajdę? I nie trafię z powrotem? Wszystkie autorytety twierdzą, że nie wolno zmieniać miejsca w czasie burzy piaskowej. Należy pozostać tam, gdzie się jest. Zostaję więc. Pif! Paf! Hrabina von Friesen rzuciła się wpław. Ale ja zostaję. Wszędzie dobrze, ale... Zostaję. Boże, mój Boże, czemu ze mną igrasz?

Nagle, kiedy widzę domek letni Andersa Perssona, przepływający przy dźwiękach *Sonaty fortepianowej C-dur* Schuberta, dociera do mnie, że oto nadeszła moja ostatnia godzina. I że tu przyjdzie mi umrzeć.

Umrzeć z powodu przedawkowania heroiny w męskiej toalecie w centrum Sztokholmu, czy też umrzeć z przedawkowania romantycznej pustyni z burzą piaskową na Saharze – pierwsze jest równie

cholernie głupie, co drugie. Hej, nazywam się Krishna i jestem hare[50]! Czy Darwin mógłby żyć w dzisiejszym świecie?

85

L'homme est entré sans bruit, mówi Teilhard de Chardin o narodzinach historii.

Człowiek wkroczył niepostrzeżenie. Nie zameldował swego nadejścia. Pojawił się bez wielkiego szumu. Wylądował bezgłośnie.

Jak też przemierzał swój szlak? Czy równie bezgłośnie?

Jedwab, aksamit, szmata, traf. Czy wołanie tutaj coś pomoże?

Pozostało tylko czekać, aż to się skończy.

86

Śmierci nie uwzględniono w mojej edukacji.

Podczas dwunastu lat w szkole i piętnastu na różnych uniwersytetach nie uczono mnie sztuki umierania. Obawiam się, że o śmierci nawet nie wspomniano.

Już po wszystkim. Dotarliśmy do Arlit, wyspałem się, wziąłem prysznic i napełniłem wszelkie możliwe zbiorniki w ciele kubłami wody – nawet teraz, kiedy strach wypuścił mnie ze swych objęć, myślę o tym, jakie to dziwne, że nigdy o śmierci nie wspominano.

Owszem, zdarzyło się jeden jedyny raz. Na gościnnym wykładzie norweskiego filozofa Tönnessena. Powiedział on wtedy:

> Urodzić się, to jak skok ze szczytu wieżowca.
> Życie jest nieprzerwanym biegiem ku śmierci.
> Śmierć to jedyne, co jest w życiu pewne.
> Śmierć to jedyne, czym powinniśmy się przejmować.

Myślenie o czymś innym jest tylko pretekstem, by nie myśleć o śmierci.

Społeczeństwo, sztuka, kultura, cała cywilizacja ludzka to tylko pretekst, wielkie zespołowe oszustwo wobec samych siebie. Pozwala zapomnieć o tym, że cały czas spadamy, a każda chwila przybliża nas do śmierci.

Niektórzy z nas dotrą tam za kilka sekund, inni za kilka dni, jeszcze inni za kilka lat – to obojętne, czas jest obojętny, rozstrzygające jest to, że wszystkich nas czeka jeden koniec.

– Jaki wniosek zatem? – pytam. – Co zrobić z tymi siedmioma sekundami czy siedmioma dziesiątkami lat, które pozostały?

Tönnessen proponował, jeśli dobrze pamiętam, całkowitą bierność. Nie róbmy niczego, bo i tak nie możemy uniknąć tego, co nieuchronne, śmierci. Śmierci, która wszystko, co zdarza się w drodze ku niej, czyni bezsensownym.

Z tym wnioskiem zgodzić się nie mogłem.

Sądziłem, że błąd tkwi w metaforach używanych przez Tönnessena. Jeśli właśnie człowiek skoczył z wieżowca i pozostało mu tylko siedem sekund – OK, to rzeczywiście nie ma wielkiego sensu, aby cokolwiek zaczynać.

Życie jednak nie jest skokiem z wieżowca. I nie siedem sekund, lecz siedem dekad człowiek ma do przeżycia. To wystarczy, by zdążyć sporo doświadczyć i zrealizować.

Krótkie życie nie powinno nas paraliżować, przeciwnie – chronić przed powierzchownością i chaosem naszej egzystencji.

Zadaniem śmierci jest zmuszenie człowieka do czegoś istotnego.

Tak myślałem wtedy, jeszcze przed ukończeniem trzydziestki, mając wciąż daleko do spotkania z grabarzem. To mi się nawet jeszcze nie śniło.

Teraz widzę, jak pędzi w moim kierunku, i czuję, jak spadam na łeb na szyję.

Dostrzegam też braki w swojej edukacji. Dlaczego nigdy nie miałem okazji, by nauczyć się umierać?

odkrycie Cuviera

the less intellectual races being exterminated

87[51]

27 stycznia 1796 roku młody i ambitny dwudziestosześcioletni Georges Cuvier, przybyły właśnie do Paryża, wygłaszał swój pierwszy wykład w nowo otwartym Institut de France.

Couvier był żywiołowym i wręcz porywającym mówcą. Miał wielką szansę, by wyrobić sobie nazwisko w świecie naukowym i, co nie mniej istotne, wśród elity towarzyskiej Paryża, gromadzącej się chętnie na wykładach – jeśli były wystarczająco sensacyjne.

Couvier był sensacją. Mówił o mamutach i mastodontach. Szczątki tych olbrzymich zwierząt podobnych do słoni znaleziono właśnie na Syberii i w Ameryce Północnej. Cuvier dowodził, że nie należały one do tego samego gatunku, do którego należą słonie hinduskie czy afrykańskie, ale stanowiły odmienny gatunek zwierząt, obecnie całkiem już wymarły.

88[52]

Obecnie wymarłe – te dwa słowa powodują, że włos na głowie się jeży.

Wiek XVIII wciąż jeszcze żywił wiarę w uniwersum jako twór doskonały, do którego już nic dodać nie można. Może jeszcze ważniejsza dla ludzkości była wiara w to, że niczego też nie można z niego usunąć. Wszystkie istoty raz stworzone przez Boga wciąż pozostawały jego dziełem i nie mogły, ot tak sobie, znikać.

Jak więc uzasadniano wykopaliska gigantycznych kości i osobliwych, przypominających postaci zwierząt, kamieni, wprawiających człowieka w osłupienie już w czasach antycznych? Najdłużej naukowcy odsuwali od siebie wzbudzający uczucie trwogi pogląd, że mogą to być szczątki wymarłych gatunków. „Jeśli w łańcuchu Natury jedno z ogniw pęknie" – pisał w 1799 roku wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, Thomas Jefferson – „to zaczyna rozpadać się reszta ogniw, jedno po drugim, aż cały porządek rzeczy, kawałek po kawałku, zostaje zburzony".

Takie właśnie uczucie lęku obudził Cuvier, rzucając swego rodzaju wyzwanie.

89[53]

Koncepcja głosząca, że możliwe jest istnienie gatunków, które całkiem wymarły, wzbudzała tak silny opór, że zaakceptowanie jej zajęło ponad sto lat.

Lansowanie tego poglądu zainicjował, bardzo ostrożnie, Fontenelle w roku 1700, napomykając, że być może istniały *espèces perdues*, gatunki, które zostały „zgubione". Jakby natura idąc, upuściła je.

Pół wieku później Buffon pisał w swojej *Théorie de la terre* o *espèce disparue*, gatunku „zaginionym", który być może zabłądził i nigdy już drogi powrotnej nie znalazł.

Cuvier mówił nie o tym, że natura jest niedbała, lecz o zbrodni, o hekatombie. Jego wymarłe gatunki nie zostały zgubione ani nie zaginęły. To były *êtres détruits*, istoty, które unicestwiono, które poniosły śmierć, zostały zamordowane, nie pojedynczo, lecz masowo, w potężnych, wiele razy powtarzanych kataklizmach. Cuvier nazwał je na dodatek „rewolucjami naszego globu". To musiało zrobić wrażenie na audytorium, które przecież dopiero co przeżyło rewolucję francuską.

Tego dnia, w języku rewolucji zwanym pierwszym *pluviose* roku 4, obywatel Cuvier wykazał, że tyrania rewolucji francuskiej, która wymordowała wiele starych, znanych rodów i którą jego audyto-

rium cudem przetrwało, miała swoje odpowiedniki w minionych epokach geologicznych. Kilka spośród najliczniejszych gatunków świata zwierzęcego zostało wówczas startych z powierzchni ziemi.

Nie dość na tym. Cuvier kończył wykład, prorokując, że nowe istoty, zajmujące miejsce wymarłych gatunków, zostaną pewnego dnia zgładzone i zastąpione innymi.

90[54]

Cuvier błyskawicznie awansował. Został Napoleonem francuskiej nauki. Odznaczał się jednak dużym sceptycyzmem, jeśli chodzi o hierarchię, co dla ludzi władzy było trudne do zaakceptowania. Wiara w „drabinę społeczną" stanowiła według niego największy ze wszystkich błędów nauki. W swoich wykładach z anatomii porównawczej pisze:

> Sytuacja, w której umieszczamy jakiś gatunek czy rodzinę przed innym, nie oznacza, że jest on w ramach systemu biologicznego bardziej doskonały lub przewyższa pozostałe. Tylko ktoś przekonany o swoich możliwościach usytuowania wszystkich organizmów w jednym szeregu może wysnuć takie wnioski. Im głębiej wchodzę w naukę o otaczającym nas świecie, tym silniej jestem przekonany, że jest to najbardziej nieprawdziwy opis ze wszystkich dotychczasowych w historii. Każdy organizm i każdą grupę organizmów należy bezwzględnie traktować oddzielnie...

Wybierając określony organ ciała, można rzeczywiście budować długie ciągi, od prostej do najbardziej skomplikowanej i doskonałej formy. Układały się one w różne systemy w zależności od rodzaju wybranego organu. I tak zamiast jednej „drabiny" Cuvier odkrył rodzaj „pajęczej sieci", łączącej wszystkie istoty o jednej lub kilku cechach wspólnych. Kierując się wyłącznie własnym wyborem, badacz mógł stworzyć w tej sieci tylko pozornie uporządkowany system.

Cuvier miał tego świadomość. A mimo to te pozornie uporządkowane systemy miały ukrytą władzę nad jego umysłem. Kiedy w swoim szesnastotomowym dziele *La Règne Animal* (1827–1835) podzielił

ludzi na trzy rasy, zapomniał zupełnie o tym, że w systemie biologicznym żadne hierarchie nie istnieją.

I tak o rasie negroidalnej napisał, że dzięki wysuniętej do przodu szczęce i grubym wargom zbliżona jest do szczepu małp. „Grupy należące do tej rasy pozostaną na zawsze w stanie całkowitego barbarzyństwa".

91[55]

Zgodnie z porządkiem średniowiecznym, człowiek był tylko jeden i niepodzielny, stworzony przez Boga na Jego podobieństwo i usytuowany przez Niego na najwyższym szczeblu drabiny stworzenia świata.

Pierwszym, który abstrakcyjnego człowieka średniowiecznej teologii podzielił na wiele różnych gatunków, uplasowanych blisko zwierząt, był William Petty. „Również u człowieka, wydaje się, znajdujemy różne gatunki" – pisał w *The Scale of Creatures* (1676). – „Uważam, że Europejczycy odróżniają się od wyżej wymienionych Afrykanów nie tylko kolorem... ale również... właściwościami mózgu".

Różnicowano tu więc ludzi nie tylko według przynależności narodowej lub plemiennej, lecz także według biologicznie odmiennych gatunków. Koncepcja taka pojawiła się jakby mimochodem i nie wzbudziła większego zainteresowania.

Na początku XVIII wieku anatom William Tyson rozpoczął poszukiwania brakującego ogniwa w porządku stworzenia. W swojej książce *Orang-Outang or the Anatomy of a Pygmie* (1708) dowodzi, że budowa małpy bardziej przypomina budowę człowieka niż innych zwierząt, a Pigmej bardziej przypomina małpy niż ludzi. Pigmeja zaklasyfikował więc bezapelacyjnie jako zwierzę, *wholly a brute*, tak bliskie jednak istocie ludzkiej, że „w łańcuchu stworzenia uplasowałbym naszego Pigmeja jako ogniwo łączące małpę z człowiekiem".

Tyson również nie wywołał większego zamieszania. Dopiero pod koniec XVIII stulecia, kiedy Europejczycy zaczynali sięgać po władzę nad światem, pogląd o istnieniu hierarchii ras potraktowany został serio.

W 1799 roku, gdy opublikowano pierwszy wykład Cuviera, Charles White, lekarz z Manchesteru, przedłożył wyczerpująco umotywowaną i zilustrowaną teorię ras *An Account of the Regular Graduations in Man*. W publikacji tej dowodzi, że Europejczyk stoi ponad wszystkimi innymi rasami:

> Kto poza Europejczykiem charakteryzuje się tak szlachetnie sklepioną głową, w której zmieścić się może aż tyle substancji mózgowej…? Kto pochwalić się może podłużnym kształtem twarzy, wydatnym nosem i opływową, wystającą brodą? Kto w końcu posiada aż tak zróżnicowane rysy o doskonałej ekspresji… te rumiane policzki i koralowe usta?

Niebywałe zainteresowanie wzbudziły zwłaszcza ilustracje, którymi White podparł tezę – szereg profili małpy i krajowca, usytuowanego w procesie ewolucji w połowie drogi między strusiem i Europejczykiem. Teza ta była popularna jeszcze w czasach mojego dzieciństwa. Traktowano ją też jako niezaprzeczalne i przekonujące świadectwo samego momentu stworzenia świata. Pogląd ten upowszechniał się coraz bardziej przez cały wiek XIX, w takt rozwoju techniki broni palnej w Europie.

92

Zostałem powołany do wojska. Rozkaz jest wydrukowany w delikatnych, pastelowych kolorach tak smakowicie, jakby to była ilustracja do przepisu na danie rybne według Wedholma[56]. Tło w delikatnym kolorze jasnego piasku jak pustynne wydmy, a na nim ornament w kształcie ciemnych muszli. Samo główne danie w kolorze niebieskawym z odcieniem lila. Przyglądam się bliżej i widzę, że to trup. To ja sam, już zabity, przerażająco opuchnięty i zdeformowany.

Według Cuviera istnieje jedna i tylko jedna sytuacja, kiedy żadna siła, czy to chemiczna, czy fizyczna, mimo ciągłych prób nie jest w stanie doprowadzić do rozpadu ludzkiego ciała. Stan ten nosi imię „życie”.

W 1832 roku Europę nawiedziła pierwsza wielka epidemia cholery. Dla Cuviera stan zwany życiem dobiegł kresu. Zanim śmierć spotkała jego samego, umarły wszystkie jego dzieci. Gatunek Cuvier zgasł na zawsze.

Balzac w powieści *Jaszczur* (1831) manifestował podziw dla niego. Czy zanurzyliście się kiedy w bezmiar przestrzeni i czasu czytając geologię Cuviera? – pyta Balzac. – Czy Cuvier nie jest największym poetą naszego wieku? Zagładę czyni namacalną, śmierć u niego jest jak żywa. W jego retrospektywnej apokalipsie przeżywamy budzące strach zmartwychstanie wymarłych światów – „ta okruszyna użyczona nam w bezkresie bez nazwy, wspólnym wszystkim sferom, który nazywamy czasem, ta minuta życia budzi w nas politowanie”.

W ten oto sposób Cuvier zapanował nad wyobraźnią jemu współczesnych. Dokonał obdukcji śmierci i wykazał, że nie wiąże się ona wyłącznie z człowiekiem jako jednostką, lecz jest zdolna unicestwić także całe rody. Poprowadził mieszkańców Paryża do łomów wapiennych, gdzie zobaczyli, że ich miasto jest ogromnym masowym grobem istot dawno temu unicestwionych. Jeśli one zginęły, to również zginiemy i my sami, ich epigoni. Nasz przyszły los da się odczytać z ziemi, po której chodzimy.

Był to jego wielki wkład w naukę. Nie można mieć pretensji do Cuviera o to, że po śmierci kojarzono go z poglądem hierarchicznego porządku świata. I choć odkrył jego wady, za które go nie znosił – i tak mu w końcu uległ.

Tak właśnie powstała nowa śmiercionośna idea, którą w skrócie wyrazić można słowami: „Wytępić całe to bydło”.

23 lutego 1829 roku młody brytyjski geolog Charles Lyell opisuje w liście swoją wizytę u Cuviera. Jest pełen podziwu dla pedantycznego wręcz porządku w jego gabinecie. W istocie ta mania porządku była wielką słabością mistrza.

Otrzymał surowe wychowanie zarówno w domu, jak i w szkole. Chaos lat rewolucji wzmocnił jeszcze wyniesioną z domu potrzebę porządku.

Całe życie badał w skamielinach skutki wyniszczających katastrof. Całe życie poszukiwał też spokoju i stabilizacji. Natura musi przecież, tak jak społeczeństwo, być posłuszna nieubłaganym prawom. Metamorfoza budziła w nim lęk. W jego naturze leżało przedkładanie zagłady nad przemianą.

Rewolucja francuska stanowiła przełomowe doświadczenie młodości Cuviera. Lyella natomiast ukształtowała rewolucja przemysłowa w Anglii. Społeczeństwo, które obserwował, było całkowicie przeobrażone, ale nie przez wielką katastrofę, lecz przez tysiące małych, właściwie niezauważalnych przemian.

Lyell jest autorem brytyjskiego XIX-wiecznego klasycznego dzieła *Principles of Geology* (1832), w którym obraz społeczeństwa odnosi do dziejów geologicznych ziemi. Katastrof nigdy nie było. Wszystkie fenomeny geologiczne można wyjaśnić jako rezultat powolnych procesów, które i dziś dokonują się wokół nas: erozja i nawarstwianie skał, wypiętrzanie i osiadanie.

A masowe eksterminacje?

Wymarłe gatunki zwierząt zginęły, według Lyella, w ten sam sposób, przez powolne procesy powodujące zmiany warunków życia: powodzie i susze, coraz trudniejszy dostęp do pożywienia, pojawianie się nowych gatunków uczestniczących w walce o byt. Na opustoszałe tereny wprowadzały się gatunki lepiej przystosowane do zmienionych warunków.

Przyczyną wymierania był brak elastyczności i zdolności dopasowania się, gdy takie niekorzystne zmiany zachodziły. Lyell obserwo-

wał te zjawiska na rynku w czasie rewolucji industrialnej; teraz dostrzegał te same procesy w przyrodzie.

95

W Arlit, gdzie siedzę w pokoju hotelowym i piszę te słowa, dostrzegam nagle mężczyznę niosącego pustą ramę.

Zwykle przez to moje okno widzę całkiem inne sceny. Kobietę na rogu, która stoi i smaży na zielonym oleju racuchy, używając czarnej patelni z okrągłymi wklęśnięciami. Sprzedawcę herbaty, usiłującego rozpalić piecyk, by zagotować wodę. Kilku chłopców imitujących orkiestrę uderzeniami drewnianych pałeczek w puste kanistry. Rytm, który słyszę w Arlit, brzmi zupełnie inaczej niż w Tamanrasset – jest senny, a zarazem bardziej żywiołowy, bo mniej wymuszony.

To zwykle widzę z mojego okna. A tu nagle nadchodzi wysoki, ubrany w białą opończę Afrykanin, dźwigający ciężką ramę.

Niesie jakby obraz samego siebie. Jedynie nogi i głowa wystają poza ramę.

Dziwny to widok. Rama dzieli go na części, eksponuje go, czyni wręcz majestatycznym.

Kiedy mężczyzna na moment przystaje, by przenieść ciężar z jednego ramienia na drugie, można odnieść wrażenie, że wyłania się z ramy obrazu. Jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

96

W każdym, nawet najbardziej autentycznym materiale dokumentalnym występuje co najmniej jedna osoba nierzeczywista, czyli ta, która prowadzi narrację.

Nigdy nie stworzyłem bardziej fikcyjnej postaci niż własne „ja” w mojej pracy doktorskiej. To „ja” najpierw pozoruje niewiedzę, by z czasem powoli dotrzeć do wiedzy. Dochodzi do niej nie wybiórczo

i w sposób przypadkowy, w który ja sam ową wiedzę osiągnąłem, ale krok za krokiem, argument za argumentem, zgodnie z zasadami.

„Cuvier", „Lyell", „Darwin" – wszyscy oni występują we własnych dziełach jako postacie fikcyjne. Baśń o tym, jak dochodzili do swoich odkryć, jest właśnie baśnią, bo o nich samych nie mówi ani słowa. Pominięcie wszystkiego, co osobiste, powoduje, że to naukowe „ja" staje się fikcją niemającą odpowiednika w rzeczywistości.

Rzeczywistość, którą moje „ja" przeżywa tu, na pustyni, jest autentyczna, może tylko bardziej intensywna. Jestem w Arlit naprawdę. Widzę człowieka ze złotą ramą. Nigdy jednak, bo taka jest natura rzeczy, nie uda mi się wyjść poza tę ramę.

W momencie gdy jako czytelnik zauważam, że używa się „ja" (lub się go unika, a unikanie też jest sposobem jego zastosowania), to wiem, że mam przed sobą postać fikcyjną.

97[59]

Darwin miał ze sobą *Principles* Lyella podczas podróży na statku „Beagle".

Wiosną 1834 roku był w Patagonii, gdzie znalazł szczątki olbrzymich zwierząt, żyjących w późniejszych okresach geologicznych. Od tamtej pory nie nastąpiły żadne większe wypiętrzenia czy osiadania lądu. Co więc spowodowało wyginięcie tylu gatunków, a nawet całych populacji?

„Najpierw nasuwa się myśl o katastrofie" – pisze Darwin, robiąc wyraźną aluzję do teorii Cuviera – „ale by wytępić zwierzęta na obszarze od południowej Patagonii do cieśniny Beringa, trzeba by wstrząsnąć fundamentem całego globu".

Badania geologiczne nie dostarczyły żadnego dowodu na to, że takie wstrząsy nastąpiły.

No dobrze, a co z temperaturą? Darwin odpowiada pytaniem: Jakie zmiany temperatury zdołałyby wytępić świat zwierząt jednocześnie po obu stronach równika, na obszarach zarówno tropikalnych, jak i umiarkowanych, a także arktycznych?

> Doprawdy żaden fakt w długiej historii świata nie zdumiewa tak bardzo jak przykład coraz bardziej rozpowszechnionych i powtarzających się spustoszeń wśród mieszkańców tego świata.

Jeśli spojrzeć z innej strony na zjawisko zagłady, to nie powinno ono wprawiać nas w aż takie zdumienie, kontynuuje Darwin. W przypadkach gdy człowiek niszczy dany gatunek na określonym terenie, mamy pełną świadomość, jaki będzie ciąg dalszy. Gatunek ten początkowo będzie stopniowo zanikał, by w końcu wymrzeć. To, że jakiś gatunek jest rzadko w przyrodzie spotykany, wcale nas nie dziwi, nie dziwi nas i to, że stopniowo stanie się on coraz mniej liczny – czemu więc tak bardzo zdumiewa nas fakt jego całkowitego wymarcia?

98[60]

Badania skamielin rzucą światło, pisze Darwin, nie tylko na zagładę żyjących istot, ale także na moment ich pojawienia się.

Wiedzy Darwin miał już wystarczająco dużo. Należało ją tylko zrozumieć i wyciągnąć wnioski.

W świecie Cuviera początkiem życia jest akt stworzenia, a jego końcem akt zagłady, kiedy owo życie zostaje zniszczone. Lyell zburzył tę zgrabną symetrię, zastępując jedną niszczycielską katastrofę wieloma małymi i powolnymi procesami.

Jeśli jednak zgodzić się z faktem, że dawne gatunki mogły wymrzeć powoli i naturalnie, to nie tak trudno wyobrazić sobie, że również powstały podobnie, w takim samym naturalnym procesie, w jakim wyginęli ich poprzednicy. Jeśli więc wymarcie nie wymaga jakiejś katastrofy, to dlaczego narodziny miałyby wymagać aktu stworzenia?

Ta właśnie logika zmusiła Darwina do dalszego marszu, krok za krokiem, drogą prowadzącą ku dziełu *O powstawaniu gatunków*.

Cuvier przez całe życie spierał się ze swoim kolegą Lamarckiem. Przedmiotem ich sporu było pytanie: Czy gatunki mogą się rozwijać?

Lamarck wierzył w rozwój, choć nie odkrył jego mechanizmu, doboru naturalnego. Cuvier natomiast bronił osobistego przekonania o niezmienności gatunków.

Na potwierdzenie stanowiska przytoczył mocny naukowo argument: Jeśli gatunki zwierząt podlegałyby kolejnym etapom rozwoju, to w jakimś momencie musiałoby się napotkać formy przejściowe między tymi wymarłymi i dziś żyjącymi gatunkami. Ponieważ owych form przejściowych brakuje, hipoteza o ich rozwoju jest błędna, rozumował Cuvier.

Zastrzeżenia Cuviera bardzo poważnie potraktował Darwin. Jeśli nie da się ich odeprzeć, to całą naukę o ewolucji należałoby odrzucić, pisał.

Sądził jednak, że potrafi to wyjaśnić: formy przejściowe istniały. Były one jednak wypierane tak szybko przez nowe, lepiej przystosowane gatunki, że nie zdążyły zostawić po sobie żadnych śladów w świadectwie geologicznym (*the geological record*), zanim zginęły w walce o przetrwanie.

Darwin uważał też, że walka ta jest najtwardsza między formami najbardziej do siebie podobnymi.

> Wyselekcjonowane formy mają w walce o byt pewną przewagę nad innymi formami, to udoskonalone potomstwo jakiegokolwiek gatunku będzie ustawicznie dążyć w każdym stadium procesu rozwojowego do wypierania i niszczenia swych poprzedników i swego pierwotnego rodzica.

Brak form przejściowych jest więc, według Darwina, rezultatem pewnego rodzaju biologicznego mordu ojców. Ewolucja nie zjada, tak jak rewolucje, swoich dzieci; ona eliminuje rodziców.

W liście do Lyella w 1859 roku Darwin rzuca myśl, że taki proces odbywa się być może także wśród ludzi różnych ras, „wskutek czego rasy mniej rozumne zostają wytępione *(the less intellectual races being exterminated*)”.

W dziele *O pochodzeniu człowieka* (1871) dał publicznie wyraz temu przekonaniu. Istnieją dziś, między małpami i cywilizowanym człowiekiem, formy przejściowe, jak goryle i dzikusy, mówi w rozdziale szóstym. Obydwie te formy są na wymarciu.

> W przyszłości, która, mierząc stuleciami nie jest zbyt odległa, cywilizowane rasy człowieka z pewnością wytępią i zastąpią na całym świecie rasy dzikie.

W podobny sposób wymrą goryle. Jeszcze większa wyrwa od tej, jaka istnieje między gorylem i australijskim Aborygenem, powstanie w przyszłości między niższymi małpami i nadchodzącym, jeszcze bardziej cywilizowanym człowiekiem.

Mianowicie wyrwa po tych, którzy zostali wytępieni.

do Agadez

dashing out their brains

101

Na stacji autobusowej w Arlit zwracam się do stojącego przy wejściu zakwefionego mężczyzny i pytam:

– Czy biuro otwarte?

– Może przede wszystkim dobrze byłoby powiedzieć sobie „dzień dobry" – odpowiada tubylec z łagodną naganą w głosie. Najwyraźniej nie przewiduje wymarcia swojego gatunku, w każdym razie nie w najbliższej przyszłości.

Poświęcamy więc chwilę na wzajemne *Ça va? Ça va bien. Ça va?* W końcu zostaję poinformowany, że biuro jest, niestety, zamknięte. Powodzenia następnym razem!

I rzeczywiście. Następnym razem udaje mi się kupić bilet. Muszę teraz zostawić bagaż na ziemi, udać się na policję w drugim końcu miasta, tam pokazać bilet, otrzymać paszport i wrócić na stację. Tu mój bagaż zaczęto już upychać na dachu minibusa wśród pojemników na oliwę, masy worków ze zbożem i kompletnego stelażu straganu, łącznie z żerdziami do przytrzymania dachu, ladą do rozkładania towaru i tobołem wypełnionym bogatym asortymentem artykułów przeznaczonych do sprzedaży. Plus wysuszona głowa wielbłąda z pustymi oczodołami.

A potem następuje upychanie pasażerów. Wnętrze składa się z trzech ławek, jednej dla kobiet, jednej dla Murzynów i jednej dla Tuaregów. Mnie usadzono między Tuaregami. Udało się wcisnąć trzydzieści dwie osoby. Nie można narzekać na ciasnotę, dopóki da się przynajmniej wysunąć język, by oblizać wargi. Konduktorzy

pchają autobus, żeby silnik zaskoczył, biegną za nim, wpadają do środka i zatrzaskują drzwi za sobą.

Do Agadez jest dwieście pięćdziesiąt kilometrów dobrej drogi. W ziemi pełno kamiennych brył. Pustynia łuszczy się jak sucha skóra na ramieniu. I wreszcie mamy tę pierwszą, mizerną, bladą trawę stepową i... sól na języku. Jasna, koloru écru, lśni jak meszek na ramieniu i osiada w nieckowatych zapadlinach.

Poznaję. Tę samą glebę widziałem na Olandii i w opuszczonych łomach wapiennych Gotlandii. Ta krótka biała, rzadka trawa promieniuje światłem, które sprawia, że czuję się nieskończenie szczęśliwy.

W samym wnętrzu pustkowia siedzimy my, solidnie ściśnięci, ciało przy ciele, oddech w oddech. Smukli młodzi Tuaregowie o długich, ciemnych rzęsach, w miedzianofioletowych burnusach, spowici niewzruszonym milczeniem. Otoczeni ludźmi pełnymi radości, wybuchającymi co rusz serdecznym śmiechem, i ich rozłożystymi, pulchnymi i kłótliwymi kobietami.

To tych dzikusów my, cywilizowani biali, mielibyśmy według Darwina wytępić? Trudno doprawdy to sobie wyobrazić, siedząc z nimi w jednym minibusie.

102

Hotel de l'Air w Agadez był kiedyś pałacem sułtana. Znany jest z sali jadalnej z czterema potężnymi filarami, których nawet dwóch mężczyzn nie jest w stanie objąć, a także z pokoi zatopionych w wiecznym mroku, każdy z wyjściem na taras na dachu, w chłód wieczoru.

To z niego spoglądam na rynek, gdzie zatrzymuje się właśnie nowiutki, elegancki peugeot 504. Wyskakują z niego dwaj młodzi ludzie w błyszczących garniturach maklerów giełdowych. Podchodzą do starca za blaszanym pulpitem udekorowanym dwoma kopertami ułożonymi na krzyż. Kucają w pyle i każdy odbiera swój list, napisany przez starego mężczyznę.

Kto tu jest skazany na zatracenie? Ci młodzi schludni analfabeci? Czy też piśmienny starzec?

Widzę, jak składa ukłon w stronę minaretu o wysokości siedemnastu pięter, ze sterczącymi na wszystkie strony belkami, podobnego do wielkiego kolczastego owocu. We wnętrzu znajdują się spiralne schody, tak wąskie przy końcu, że człowiek nie może się nawet obrócić. Aby ktoś mógł zejść na dół, wszyscy muszą najpierw wejść na samą górę.

Słońce lśni w małych okrągłych lustrzanych odłamkach zdobiących ramę łóżka w sklepie handlarza meblami. Kilka oprószonych solą tamaryszków rzuca nikły cień.

Pierwszy wieczorny powiew wiatru przynosi odgłos przesuwanych kawałków węgla drzewnego i stukot dochodzący z młyna rozpoczynającego mielenie zboża na wieczorny posiłek. W Chez nous drzwi już otwarte, Au bon coin i Bonjour Afrique otworzą je lada moment.

Jutro od wczesnego ranka kontynuować będę podróż. Oto problem, który czeka na rozwiązanie:

Cuvier, wykazując, że istniejący gatunek biologiczny może wymrzeć, wzbudził wśród sobie współczesnych uczucie grozy. Siedemdziesiąt pięć lat później nieliczni tylko podnieśliby brwi w wyrazie zdziwienia, reagując na tezę Darwina, największego wówczas autorytetu w naukach przyrodniczych. Ogłosił on mianowicie, że cała ludzka rasa skazana jest na wymarcie.

Cóż takiego się stało? O jakich to Tasmańczykach mówił Wells? Kim byli Guanczowie?

103[63]

Guanczowie byli silnie zróżnicowanym ludem żyjącym w epoce epoki kamiennej i posługującym się odmianą języka berberyjskiego. Naród ten jako pierwszy został zdziesiątkowany przez europejską ekspansję. Guanczowie, choć mieli afrykańskie korzenie, żyli od dawna na „wyspach szczęśliwych”, zwanych dziś Wyspami Kanaryjskimi,

utraciwszy wszelki kontakt z lądem stałym. Ich liczebność – przed pojawieniem się tam Europejczyków – szacowano na mniej więcej osiemdziesiąt tysięcy.

Ferdynand i Izabela wysłali w 1478 roku ekspedycję wojskową z armatami i końmi na Gran Canarię. Tereny na równinach zostały zdobyte przez Hiszpanów bardzo szybko. W górach natomiast Guanczowie podjęli zaciekłą walkę partyzancką. Aż wreszcie w 1483 roku skapitulowali: sześciuset wojowników, tysiąc pięćset kobiet, dzieci i starców – to wszystko, co zostało po tak liczebnym niegdyś narodzie.

La Palma poddała się w 1494 roku. Teneryfa broniła się do roku 1496. Aż w końcu samotna kobieta, jedna z mieszkanek wyspy, dała znak Hiszpanom, by podeszli bliżej. „Nie ma już z kim walczyć, kogo się bać – wszyscy są martwi".

Jej słowa stały się legendą. Były jeszcze żywe czterysta lat później, kiedy Cunninghame Graham pisał *Higginson's Dream*.

To nie konie ani działa zadecydowały o wyniku wojny. Zwyciężyły bakterie. Tubylcy nazwali tę nieznaną chorobę „modorra". Spośród piętnastu tysięcy mieszkańców Teneryfy przeżyła zaledwie garstka.

Las wycięto, florę i faunę zeuropeizowano, Guanczowie stracili swoje ziemie, a wraz z nimi źródło utrzymania. Modorra powracała jeszcze wiele razy. Dyzenteria, choroby płuc i choroby weneryczne szalały.

Ci, którzy przetrwali zarazy, umierali z powodu poczucia degradacji – utraty rodziny, przyjaciół, języka i własnych tradycji. Kiedy w 1541 roku Girolamo Benzoni odwiedził La Palmę, żył tam jeden jedyny Guancza, osiemdziesięciojednoletni starzec, notorycznie pijany. Guanczowie zniknęli z powierzchni ziemi.

Ten archipelag wschodniego Atlantyku był swego rodzaju przedszkolem europejskiego imperializmu. Pierwsi osadnicy nabierali przekonania, że ludzie, rośliny i zwierzęta sprowadzane z Europy świetnie aklimatyzują się na terenach, gdzie nigdy ich przedtem nie było.

Nauczyli się też, że nawet jeśli ludność tubylcza jest liczniejsza i stawia zacięty opór, to i tak zostanie zwyciężona, a nawet wytrze-

biona – choć nikt tak naprawdę nie wie, jak to się dzieje.

104[64]

Kiedy Europejczycy wyruszyli w XII i XIII wieku na Wschód jako krzyżowcy, natknęli się na ludy przewyższające ich kulturą, dyplomatyczną przebiegłością, wiedzą techniczną, a przede wszystkim doświadczeniem w zwalczaniu epidemii. Tysiące krzyżowców zmarło, padając ofiarą słabości wobec bakterii.

Gdy w XV wieku Europejczycy ruszyli na Zachód, sami byli już nosicielami silnych kultur bakteryjnych. Ludzie ginęli więc wszędzie tam, gdzie się pojawiali europejscy przybysze.

W 1492 roku do Ameryki dotarł Kolumb. Skala tak zwanej katastrofy demograficznej, jaka potem nastąpiła, szacowana jest różnie przez różnych badaczy. Pewne jest jedno. Nie miała sobie równej w historii świata.

Według ogólnie dziś przyjętej opinii, w momencie przybycia Kolumba Amerykę zamieszkiwało mniej więcej tyle samo ludzi, ile było ich w Europie – ponad siedemdziesiąt milionów. W ciągu następnych trzech stuleci ludność świata wzrosła o dwieście pięćdziesiąt procent. Najwyższy wzrost nastąpił w Europie, bo aż o czterysta do pięciuset procent. Liczba ludności w Ameryce natomiast spadła o dziewięćdziesiąt do dziewięćdziesięciu pięciu procent.

Ta demograficzna katastrofa zebrała swoje żniwo najszybciej i najskuteczniej w najgęściej zaludnionych rejonach Ameryki Łacińskiej, które jako pierwsze zetknęły się z Europejczykami: na wyspach Indii Zachodnich, w Meksyku, Ameryce Środkowej i w Andach. Sam Meksyk, w chwili przybycia Europejczyków w 1519 roku, mógł mieć dwadzieścia pięć milionów mieszkańców. Pięćdziesiąt lat później liczba ta spadła do dwóch milionów siedmiuset tysięcy. A po dalszych pięćdziesięciu latach pozostało już tylko półtora miliona Indian. Tak więc w ciągu stu lat ponad dziewięćdziesiąt procent pierwotnej ludności zniknęło z powierzchni ziemi.

Większość tych ludzi nie zginęła w walce. Wymarli – by tak rzec – całkiem bezkrwawo, z powodu chorób, głodu i nieludzkich warunków pracy. Biali zdobywcy zniszczyli społeczną tkankę ludności indiańskiej. W nowym społeczeństwie mogli korzystać już tylko z jej szczątkowej postaci. Indianie jako siła robocza służąca białym mieli raczej niskie kwalifikacje. Tubylców było też znacznie więcej, niż mogła ich wykorzystać, istniejącymi metodami, garstka białych.

Bezpośrednią przyczynę śmierci większości Indian stanowiły choroby. Podstawowy jednak powód tak wysokiej śmiertelności to ich liczebność. Było ich po prostu za dużo, żeby mogli przedstawiać sobą jakąś wartość ekonomiczną w ramach społeczeństwa zdobywców.

Czy miało sens kontynuowanie podboju o tak katastrofalnych konsekwencjach? To pytanie było przedmiotem dyskusji wśród XVI-wiecznych hiszpańskich intelektualistów. W jej wyniku doszło do interwencji Karola V, który 16 kwietnia 1550 roku zabronił dalszych podbojów do czasu rozpatrzenia kwestii ich umocowania prawnego – „ingerencja niemająca sobie równej w obyczajach zachodniej ekspansji", pisze Magnus Mörner[65].

Debatę kontynuowano w Valladolid w sierpniu 1550 roku przed składem sędziowskim złożonym z wysokiej klasy prawników. Wyrok nie zapadł z powodu braku jednomyślności.

Czy to coś dało? Żaden sąd na świecie i tak nie byłby zdolny nakłonić hiszpańskich zwycięzców, by zmienili stosunek do eksploatacji siły roboczej Indian. Żaden sąd nie przeszkodziłby w traktowaniu Indian jak istot niższych, które gwałtem powinny być zmuszane do uległości wobec swych naturalnych panów. A to, że Indianie umierają z niewiadomych przyczyn, jest godne ubolewania, ale najwyraźniej nieuniknione.

105[66]

Adam Smith sformułował zasadę regulującą podaż siły roboczej:

> Popyt na ludzi, podobnie jak na inne towary, reguluje się ich produkcją; wzrasta, gdy idzie za wolno, i zmniejsza się, gdy idzie za szybko.

Ta zasada dotyczyła oczywiście także i Indian. Umierali do czasu, aż zaczęło brakować siły roboczej w Ameryce Łacińskiej. I wówczas stali się bezcenni. Pojawiły się liczne formy działań socjalnych dla utrzymania pozostałych przy życiu Indian, związania ich z miejscem, gdzie byli potrzebni i gdzie racjonalnie wykorzystywano ich siłę roboczą. W XVII wieku krzywa populacji Indian zaczęła się powoli wznosić.

W połowie XIX stulecia do Ameryki Łacińskiej dotarły ekonomiczne i techniczne nowinki z Europy Zachodniej. To spowodowało wzrost zapotrzebowania na surowce i artykuły spożywcze z Ameryki Łacińskiej. Zaludnienie zwiększało się szybciej niż dotychczas, a tym samym dostępną siłę roboczą można było ostrzej eksploatować.

Zaludnienie nadal wzrastało w szybkim tempie. Równocześnie europejskie zdobycze gospodarcze i techniczne, które swego czasu spowodowały wzrost zapotrzebowania na siłę roboczą w Ameryce Południowej, w późniejszych dziesięcioleciach wywołały tendencje odwrotne. Popyt na siłę roboczą wyraźnie się zmniejszył.

Nie ma żadnych wątpliwości, że ta tendencja trwa nadal i musi się utrzymywać, jeśli południowoamerykańska gospodarka ma się rozwijać w ramach systemu ekonomicznego, jedynego, jaki dziś istnieje.

Aby być konkurencyjnym na rynkach międzynarodowych, przemysł musi korzystać z automatyzacji. Do dużych gospodarstw rolnych wprowadza się coraz więcej maszyn lub przechodzą one na ekstensywną hodowlę bydła. Z punktu widzenia pracodawcy szybki wzrost zaludnienia, a w tym i siły roboczej, jest nieprzydatny i zbyteczny.

106

Czyż reguła Adama Smitha nie obowiązuje i dziś? Czy społeczeństwo, które nie potrafi bronić prawa do pracy, będzie umiało

w przyszłości bronić prawa do życia?

Moim zdaniem można wyraźnie zauważyć, że niektóre z przyczyn katastrof demograficznych XVI wieku dziś występują w Ameryce Południowej, a także w innych częściach świata.

Presja głodnych i zdesperowanych miliardów nie jest jeszcze na tyle silna, by władcy tego świata uznali taktykę Kurtza za jedyną z możliwych, humanitarną i w gruncie rzeczy naturalną. Dzień przełomu jednak się zbliża. Widzę, jak nadchodzi. Dlatego uczę się historii.

107

Jestem w tunelu czy może w przejściu piwnicznym. Z całą gromadą. Posuwamy się w ciemnościach do przodu w sposób koszmarnie powolny. Mówią, że gdzieś tam, daleko przed nami, znajduje się wyjście, ale na spiralne schody wchodzić można pojedynczo. Wejście jest znacznie większe od wyjścia i dlatego w tunelu jest tak nieznośnie ciasno. Niektórzy stali wiele dni i nocy, by przesunąć się zaledwie kilka metrów. Malthus, chcąc uniknąć tłoku na ziemi, wszedł w rurę biegnącą pod sklepieniem. Irytacja przeradza się w apatię i desperację. Pod skórą już czuje się nadchodzącą panikę.

108[67]

Pierwszych mieszkańców obecnych Stanów Zjednoczonych oblicza się na mniej więcej pięć milionów. Na początku XIX wieku pozostało ich nadal pół miliona. W czasie masakry pod Wounded Knee w grudniu 1890 roku – ostatniej masakry Indian w Ameryce Północnej – wielkość zaludnienia osiągnęła poziom najniższy: ćwierć miliona albo inaczej – pięć procent pierwotnego stanu liczbowego ludności indiańskiej.

To, że Indianie wymarli w czasie hiszpańskich podbojów, tłumaczono w świecie anglosaskim dobrze znanym okrucieństwem Hisz-

panów i ich krwiożerczością. Na ten sam fenomen towarzyszący osiedlaniu się Anglosasów w Ameryce Północnej trzeba było znaleźć zupełnie inne uzasadnienie. Początkowo wierzono w ingerencję boską.

„Tam, gdzie Anglicy zamierzają się osiedlić, tam boska ręka toruje im drogę przez porywanie lub usuwanie Indian w wojnach międzyplemiennych czy też przez spowodowanie jakiejś śmiertelnej choroby" – pisał Daniel Denton w 1670 roku.

W XIX wieku wyjaśnienia poparte wiarą religijną zastąpiono uzasadnieniem naukowym. Ci, których wymordowano, to kolorowi. Ci, którzy mordowali, to biali. Wyraźnie wyglądało na to, że zadziałało tu rasowe prawo natury i że tępienie nie-Europejczyków było etapem naturalnego rozwoju świata.

To, że tubylcy umierali, stanowiło dowód na ich przynależność do niższej rasy. Pozwólmy im umierać, jak to nakazują prawa postępu! – mówili niektórzy. Inni uważali, że z przyczyn humanitarnych powinno się ich przed tym chronić, przenosząc do jakiegoś odległego miejsca – by następnie, jakby całkiem przypadkowo, móc przejąć ich dobrą ziemię uprawną i gospodarować na niej na własny rachunek.

Od lat trzydziestych XIX wieku wiele plemion i narodów Ameryki Północnej i Południowej, Afryki i Australii zostało wypędzonych, wytępionych lub przesiedlonych. Gdy Darwin pisał, że pewne rasy ludzkie są skazane na zagładę, opierał swoje proroctwo na ogólnie znanych wydarzeniach w historii.

Niektórych sam był świadkiem.

109[68]

Kiedy Darwin w 1832 roku dotarł do Ameryki Południowej, bardziej zacofane południowo-zachodnie części tego kontynentu nie były jeszcze opanowane przez Europejczyków. Rząd argentyński podjął właśnie decyzję o wytępieniu Indian nadal zajmujących pampasy.

Przeprowadzenie akcji powierzono generałowi Rosasowi. Darwin natknął się na niego i jego oddziały nad Rio Colorado. Zdaniem

uczonego, tak odrażającej armii bandytów świat nie widział.

W Bahía Blanca zobaczył jeszcze inne wojsko, pijane w sztok, unurzane w krwi, kurzu i wymiocinach. W rozmowie z jednym z dowódców hiszpańskich dowiedział się, jakimi metodami wyciągano z wziętych do niewoli Indian informacje o tym, gdzie znajdują się ich krewni.

Dzięki temu on i jego żołnierze odnaleźli stu dziesięciu Indian, których złapali albo zabili, „gdyż żołnierze cięli szablą każdego po kolei".

> Indianie są teraz tak wystraszeni, że nie stawiają łącznego oporu, ale każdy ucieka, porzucając nawet żonę i dziecko; dogoniony jednak podejmuje walkę z każdą ilością napastników i jak dzikie zwierzę walczy do ostatka. Jeden z Indian, konający, wpił zęby w kciuk przeciwnika i wolał dać sobie wykłuć oko, niż puścić palec. […]
> Ponure to sprawy, ale o ile bardziej wstrząsający jest fakt, któremu zaprzeczyć nie można, że z zimną krwią morduje się wszystkie kobiety wyglądające na więcej niż dwadzieścia lat! Gdy zawołałem, że to przecież nieludzkie, odpowiedział: „Czemu, cóż innego można zrobić? Oni tak się mnożą!"
> Każdy tu jest głęboko przeświadczony, że to najsprawiedliwsza z wojen, gdyż prowadzona jest przeciw barbarzyńcom. Któż by uwierzył, że w naszej epoce popełnia się takie okrucieństwa w chrześcijańskim, cywilizowanym kraju? […]
> Plan generała Rosasa polega na tym, aby wybić wszystkich rozproszonych Indian, a spędziwszy całą resztę w jedno miejsce, zaatakować ich łącznie w lecie z pomocą Chilenos (Chilijczyków). Akcja ta ma być powtarzana co roku w ciągu trzech lat.

Jeszcze w 1871 roku, roku wydania Darwinowskiego *O pochodzeniu człowieka*, polowania na Indian w Argentynie trwały w najlepsze. Były finansowane pożyczką z obligacji. Kiedy ziemię uwolniono od Indian, podzielono ją między pożyczkodawców. Jedna obligacja dawała prawo do otrzymania dwóch i pół tysiąca hektarów.

110

Całą noc szukam kwiatów w mrocznym i brudnym pejzażu miasta. Wszystko zdewastowane, zrujnowane i zasikane. W cuchnącym tu-

nelu spotykam idących naprzeciw dwóch mężczyzn. Kwiaty? Nie pojmują, o czym mówię. Gestem obejmowania dłonią kwiatowych łodyg tłumaczę, że chodzi mi o „bukiet". Mój gest interpretują jako „nóż" i doskonale wiedzą, co mam na myśli.

111

Bestialstwo, z jakim urządzano polowania na ludzi w Argentynie, wstrząsnęło Darwinem. Jego mistrz, Charles Lyell, pomógł mu usytuować fakty, których był świadkiem, w szerszym kontekście. Otóż człowiek jest częścią przyrody, a w przyrodzie nawet zagłada jest przecież procesem naturalnym.

My, ludzie, pisze Lyell w swoim *Principles of Geology* (rozdział *Extirpation of Species by Man*), nie mamy żadnego powodu, by obciążać sumienia faktem zabijania zwierząt i niszczenia roślin.

Na naszą obronę wystarczy zauważyć, że kiedy zdobywamy ziemię i z determinacją bronimy naszej własności, to działamy dokładnie tak samo jak reszta gatunków żyjących w przyrodzie. Każdy rozprzestrzeniający się na dużym obszarze gatunek w podobny sposób osłabia lub wręcz likwiduje inne gatunki. Jest też zmuszony toczyć nieustanną walkę z intruzami ze świata fauny i flory, podejmującymi próby jego usunięcia.

Skoro „nawet każdy z tych najmniejszych i najmniej znaczących gatunków w przyrodzie unicestwił tysiące innych" – dlaczegóż my, panowie stworzenia, nie mielibyśmy tego czynić?

Łagodny Lyell nie chciał, podobnie jak łagodny Darwin, wyrządzić krzywdy Indianom. Prawo do eliminowania innych gatunków, które Lyell dość nieostrożnie przyznał człowiekowi, już stosowano od dawna w celu eliminowania ludzi. Co w praktyce oznaczało: „Wytępić całe to bydło".

Najbardziej znanym spośród wyniszczonych ludów byli Tasmańczycy, którzy stali się tych ludów symbolem.

Tasmania jest wyspą wielkości Irlandii, leżącą na południowy wschód od kontynentu australijskiego. W 1803 roku wylądowali tam pierwsi kolonizatorzy – dwudziestu czterech więźniów po wyrokach, ośmiu żołnierzy i tuzin wolontariuszy, wśród nich sześć kobiet. Rok później doszło tam do pierwszej masakry tubylców, masakry pod Risdon. Zbiegłym z więzień przestępcom, *bushrangers*, dano wolną rękę w polowaniu na kangury i na tubylców. Porywano im kobiety, rzucano ich ciała psom na pożarcie lub żywcem smażono.

Mężczyzna o nazwisku Carrots zasłynął z tego, że po zamordowaniu Tasmańczyka zmusił jego żonę do noszenia zawieszonej na szyi głowy męża. Tubylców nie należało traktować jak ludzi, oni byli *brutes* lub *brute beasts*.

W latach dwudziestych XIX wieku wzrósł napływ białych, co sprowadziło na tubylców klęskę głodu. To zmuszało ich do okradania białych, którzy z kolei zastawiali na nich pułapki i strzelali jak do zwierzyny, ukryci w wierzchołkach drzew. Tasmańczycy odwzajemniali się, napadając na samotnych osadników. W 1825 roku ich przywódca został złapany i stracony za zabójstwo.

Van Diemen's Land Company wytrzebiła kangury, by na ich miejsce, na obszar wielkości dwustu pięćdziesięciu tysięcy hektarów, sprowadzić owce. Co pięć lat liczba białej ludności podwajała się. Prasa lokalna coraz donośniej domagała się, by rząd „usunął" tubylców. W przeciwnym wypadku będą oni *hunted down like wild beasts and destroyed*[70].

I to się stało. W 1827 roku „The Times" poinformował o zabiciu sześćdziesięciu Tasmańczyków w zemście za mord na osadniku; gdzie indziej śmierć poniosło siedemdziesięciu. Przemoc przybierała na sile. Doszło do tego, że nawet kobiety z dziećmi wywlekano z kryjówek, *dashing out their brains*.

W 1829 roku rząd podjął decyzję o zebraniu krajowców w jednym miejscu, na nieurodzajnym wybrzeżu zachodnim. Wysłano więźniów

z zadaniem ich wyłapania. Za każdego doprowadzonego do specjalnego obozu dostawali po pięć funtów. Uważa się, że na dziesięciu Tasmańczyków tylko jeden docierał żywy. „Czarna wojna” trwała dalej.

W roku 1830 zmobilizowano pięć tysięcy żołnierzy do obławy mającej na celu spędzenie ludności tubylczej na mały cypel na południowym wschodzie. Akcja kosztowała trzydzieści tysięcy funtów. Tyraliera rozciągnięta z czterdziestopięciometrowymi odstępami w poprzek całej wyspy posuwała się przez kilka tygodni, ale nie wyłapała ani jednego krajowca. Pozostało ich, jak się później okazało, zaledwie trzystu.

113

Budowniczy i metodysta G.A. Robinson postanowił przyjść im na ratunek. Nieuzbrojony wyszedł z buszu i o mały włos zostałby zabity. Uratowała go kobieta o imieniu Truganini. Wspólnie udało im się przekonać dwustu Tasmańczyków, by udali się z nimi w bezpieczne miejsce, na Wyspę Flindersa, gdzie nikt już na nich polować nie będzie.

Taką właśnie sytuację zastał Darwin, kiedy przybył z wizytą na Tasmanię. „Obawiam się” – zanotował w swoim dzienniku 5 lutego 1836 roku – „że to błędne koło puszczone zostało w ruch za sprawą łajdactw, jakich dopuścili się niektórzy z naszych rodaków”.

Robinson próbował ucywilizować swoich podopiecznych przez wprowadzenie na Wyspie Flindersa gospodarki rynkowej i nauki chrześcijańskiej. Już po krótkim czasie mógł odnotować nadzwyczajne osiągnięcia. Tasmańczycy zaczęli pracować, kupowali ubrania i jedli za pomocą noża i widelca. Nocne orgie zastąpiono pieśniami religijnymi. Postępy w nauce katechizmu nabrały wręcz niebywałego tempa. Był tylko jeden szkopuł: wymierali niczym muchy.

W ciągu sześciu miesięcy połowa z nich zmarła. Z tej połowy zostało pięćdziesiąt procent. Pozostali, w liczbie czterdziestu pięciu,

opuścili wyspę i przenieśli się do slumsów w pobliżu stolicy Tasmanii, Hobart, gdzie szybko popadli w alkoholizm i powymierali.

W momencie ukazania się *O powstawaniu gatunków* Darwina, w roku 1859, żyło już tylko dziewięć tasmańskich kobiet, wszystkie za stare, by rodzić dzieci. Ostatni z mężczyzn, William Ianney, zmarł w roku 1869. Jego czaszkę skradziono jeszcze przed pogrzebem, a potem ciało wykopano z grobu i resztę szkieletu także zrabowano.

Truganini, która uratowała Robinsona, była ostatnim członkiem tasmańskiego ludu. Zmarła w 1876 roku, kilka lat po ukazaniu się *O pochodzeniu człowieka* Darwina. Jej szkielet jest jednym z eksponatów tasmańskiego muzeum w Hobart.

114

Dziewiętnastowieczni naukowcy tłumaczyli los Tasmańczyków teoriami Cuviera, które dziś wydają się banalne. Spośród tysięcy wymarłych gatunków Tasmańczycy przetrwali dzięki swojej geograficznej izolacji. Byli „żyjącymi skamielinami", pozostałością zamierzchłych czasów. Nie poradzili sobie w zderzeniu z epoką z drugiego końca skali czasu. To, że zostali wytępieni, oznacza tylko tyle, że wrócili do świata od dawna już martwego, do którego z punktu widzenia ewolucji należeli.

Dziewiętnastowieczni naukowcy tłumaczyli los Tasmańczyków teoriami Darwina. Teoria drabiny stworzenia świata, której wiarę dało średniowiecze, a więc hierarchiczny porządek w świecie zwierząt, tak ostro krytykowany przez Cuviera, a także teoria o hierarchii ras, którą głosili Petty, Tyson i White – u Darwina przeobraziły się w teorię rozwoju. „Niższe" formy w hierarchii były protoplastami tych „wyższych". Nie koniec na tym. „Niższe" i „wyższe" sprzęgnięte były z sobą jako przyczyna i skutek. W wyniku walki między nimi powstawały formy jeszcze „wyższe".

My, Europejczycy, byliśmy zmodyfikowanymi i udoskonalonymi potomkami Tasmańczyków. Toteż, zgodnie z darwinowską logiką ojcobójców, zmuszeni byliśmy unicestwić gatunek rodziców. A to

oznaczało unicestwienie wszystkich „dzikich ras” całego świata. Zostały więc skazane na to, by podzielić los Tasmańczyków.

IV

narodziny rasizmu

Race is everything: literature, science, art, in a word, civilization, depend on it.

115[71]

W początkach XIX wieku pozostawała wciąż żywa osiemnastowieczna krytyka imperializmu i dla wielu sprzeciw wobec ludobójstwa był czymś oczywistym.

W swojej obszernej historii kolonializmu *European Colonies in Various Parts of the World Viewed in Their Social, Moral and Physical Condition* (1834) John Howison pisze:

> Błogosławieństwa cywilizacji ogołociły już amerykański kontynent z jego pierwotnych mieszkańców. Z tej samej przyczyny nie ostała się ani jedna rodzina spośród naturalnej ludności wysp Indii Zachodnich. W podobnej sytuacji znajdzie się wkrótce Afryka Południowa, a choroby przywleczone z Europy i despotyzm fanatycznych misjonarzy powodują gwałtowny spadek liczby mieszkańców wysp Oceanu Spokojnego.
> Najwyższy już czas, by położyć kres tej eksterminacji; ponieważ długie i gorzkie doświadczenie wykazało, że nasze próby uczynienia najeżdżanych przez nas lub pokonanych barbarzyńców szczęśliwszymi, mądrzejszymi lub lepszymi spaliły na panewce, powinniśmy zostawić ich w spokoju, skierować tę dydaktyczną gorliwość na nas samych i podjąć próbę poskromienia... własnej chciwości, naszego egoizmu i naszej samowoli.

Ta postawa miała swoje korzenie zarówno w chrześcijaństwie, jak i oświeceniowej idei równości.

Tymczasem XIX-wieczna ekspansja Europy rodziła zupełnie odmienne postawy. Ludobójstwo zaczęto traktować jako uboczny, ale nieunikniony efekt postępu.

Wielki antropolog J.C. Prichard był przekonany, że „dzikie rasy” są nie do uratowania. Nie miał co do tego wątpliwości. W wykładzie *On the Extinction of Human Race* (1838) wzywał, by w interesie nauki skoncentrować się raczej na zbieraniu wszelkich informacji o ich fizycznych i duchowych właściwościach.

Groźba eksterminacji motywowała antropologów do prowadzenia badań, a twierdzenie, że zagłada jest nieunikniona, stanowiło z kolei swego rodzaju alibi dla tych, którzy byli jej orędownikami.

116[72]

W tym samym 1838 roku Herman Merivale wygłosił odczyt w Oksfordzie na temat *Colonization and Colonies*. Zauważył, że teoria Pricharda, według której „przeznaczeniem białej rasy jest wytępienie dzikusa”, staje się coraz bardziej popularna. Wojny i epidemie nie są jedyną przyczyną zagłady. Istnieje jeszcze inna, istotniejsza i bardziej zagadkowa: „bliski kontakt z Europejczykami z nieznanej przyczyny przynosi śmierć”.

Merivale stanowczo odrzuca tę teorię. Nie istnieją żadne przykłady niewytłumaczalnej śmiertelności. „Marnotrawienie ludzkiego życia” jest ogromne, to wiemy. Jest to jednak spowodowane czynnikami naturalnymi.

Najważniejszy z nich to docierająca na dziewicze tereny „cywilizacja”, reprezentowana przez „kupców, osadników, piratów i zbiegłych z więzień przestępców”, krótko mówiąc: przez białych gotowych na wszystko, bez lęku przed potępieniem czy kontrolą.

> Historia europejskiej ekspansji w Ameryce, Afryce i Australii ujawnia wspólną cechę – szybkie i zakrojone na szeroką skalę wyniszczenie tubylczych ras za pomocą stosowanego przez poszczególnych ludzi, a czasem przez władze kolonialne, niekontrolowanego terroru, któremu towarzyszyły wyjątkowo opieszałe próby zrekompensowania popełnionych przestępstw, podejmowane przez lokalne administracje.

Do tego samego wniosku doszła komisja brytyjskiego parlamentu powołana w 1837 roku do zbadania przyczyn nieszczęść, jakie spo-

tkały Tasmańczyków i inne ludy tubylcze. Komisja stwierdziła, że Europejczycy bezprawnie zagarniali terytoria krajowców, dziesiątkowali ich populacje i powoli rujnowali formy ich egzystencji. „Skrajne okrucieństwo i naruszanie cudzych praw" stanowiły główne przyczyny wymierania tubylców.

Bezpośrednim efektem prac komisji było powołanie do życia w 1838 roku The Aborigines Protection Society w celu zahamowania procesu wyniszczania krajowców. Organizacja ta, sprzeciwiająca się ludobójstwu, działała aktywnie przez resztę XIX wieku, napotykając jednak na coraz większe przeszkody.

117

Gdzie ja jestem? W obozie koncentracyjnym? W trzecim świecie? Nagie ciała wokół mnie są wynędzniałe i pokryte ranami. Zbliża się Boże Narodzenie. Kilku zażywnych mężczyzn zajętych jest rozpinaniem siatki o grubych, solidnych oczkach. Po drugiej stronie znajduje się rzeźba nagiej olbrzymki, pomalowana czerwoną i złotą farbą, wyposażona w akcesoria w postaci żelazka, pałki i butów z cholewami. Siatka blokuje nam dojście do tej tłustej i szczęśliwej kobiety.

Robotnicy rozpinający ogrodzenie pozwalają sobie na ordynarne żarty. Zaraz poszczują nas psami. Zrywają boki ze śmiechu, widząc, jak wspinamy się na siatkę. Bez skutku próbujemy dosięgnąć pałki i żelazka. Nawet butów nie udaje nam się dotknąć.

118

Uprzedzenia wobec obcych istniały zawsze. W XIX stuleciu przyjęły one jednak bardziej zorganizowaną formę i pseudonaukowe uzasadnienie.

W świecie anglosaskim pionierem był Robert Knox. Jego książka *The Races of Man. A Fragment* (1850) ukazuje rasizm w momencie

jego narodzin, kiedy rozpoczął swój marsz od ludowego przesądu poprzez akceptowaną ignorancję, aż do teorii naukowej.

Knox studiował w Paryżu anatomię porównawczą jako asystent Cuviera. Wielkim osiągnięciem Cuviera było udowodnienie zniknięcia z powierzchni ziemi niezliczonej liczby gatunków zwierząt. W jaki sposób one wymarły i dlaczego – na ten temat już się nie wypowiadał, zauważa Knox.

Równie mało wiemy o przyczynach wymierania ciemnoskórych ras.

> Znając zasadę determinującą ich powstanie, poznalibyśmy również zasadę kierującą ich wygaśnięciem; my jednak jej nie znamy. A wszystko to tylko hipotezy i wątpliwości.

Wiemy jedynie, że od zarania dziejów rasy ciemne były niewolnikami jasnych. Jaka jest tego przyczyna? „Jestem skłonny wierzyć (*I feel disposed to think*), że rasy ciemne na ogół muszą być fizycznie, a co za tym idzie i psychicznie słabsze".

Nie wynika to, być może, z rozmiaru mózgu, ale raczej z innej jego jakości.

> Mózg ich jest, jak sądzę, generalnie ciemniejszy, a białe jego partie mają więcej tkanki włóknistej; jednakże moja ocena opiera się na bardzo ograniczonym doświadczeniu.

Jak ograniczone było to doświadczenie, widać w innym miejscu książki, gdzie Knox wspomina o jedynej obdukcji, jaką przeprowadził na ciemnoskórym człowieku. W ciele zmarłego, jak twierdzi, znalazł o jedną trzecią mniej nerwów w rękach i nogach niż u człowieka białego tego samego wzrostu i tuszy. Z czego wyciąga wniosek, że dusza, odruchy i rozum muszą, co rozumie się samo przez się, różnić się w takim samym stopniu.

Za sprawą tej obdukcji Knox wielkim skokiem dochodzi do takich oto wniosków:

> Dla mnie rasa lub, innymi słowy, pochodzenie jest wszystkim: ona człowieka definiuje. [...]

> Rasę kształtuje wszystko: i poezja, i nauka, i sztuka, krótko mówiąc: cywilizacja – to wszystko ma ścisły związek z rasą.

Jest coś ujmującego w tej dziecięcej naiwności, z jaką Knox otwarcie ujawnia braki w empirycznym uzasadnianiu swoich tez. W szóstym rozdziale, dotyczącym ras ciemnych, pisze:

> Teraz, kiedy pokrótce omówiliśmy kilka fizycznych cech charakterystycznych dla ras ciemnych i unaoczniliśmy, jak mało o nich naprawdę wiemy, jak brakuje nam faktów, na podstawie których można by było spisać fizyczną historię ludzkości, to...

To co?

Otóż właśnie na podstawie tych brakujących faktów Knox bez skrupułów formułuje najbardziej kategoryczne opinie na temat niższości ras ciemnych i ich nieuniknionej zagłady.

Darwin wygłaszał opinie na temat „dzikich ras", nie precyzując, które konkretnie ma na myśli. Wallace i wielu innych autorów używali pojęć dla czytelnika niejasnych, w rodzaju rasy „niższe" lub wręcz „niższe i bardziej zdeprawowane".

Czy mówili oni o świecie, który dziś nazywamy czwartym? A może dotyczyło to trzeciego świata? Albo jeszcze innego?

Niemal powszechnie przecież uważano, że wszystkie rasy są niższe i bardziej zdeprawowane niż biała; a wśród ras białych wszystkie są niższe niż anglosaska. Jak duża część ludzkości była więc w tym kontekście skazana na wymarcie?

Knox używa terminu „rasy ciemne". Czy wiadomo dokładnie, o które rasy chodzi? Na to pytanie nie ma łatwej odpowiedzi, mówi Knox.

Czy Żydzi to rasa ciemna? A Cyganie? A Chińczycy? W jakimś stopniu ciemni są z pewnością; do tej kategorii należą także i Mongołowie, amerykańscy Indianie i Eskimosi, mieszkańcy prawie całej Afryki, Wschodu i Australii. „Jakież to pole do działań eksterminа-

cyjnych (*field of extermination*) dla Anglosasów i reszty ras europejskich!”

Wola unicestwienia, a nawet satysfakcja z takiego działania, emanuje ze sformułowań Knoksa, kiedy z wysokości swej katedry odbiera życie każdej nacji po kolei.

Oburza go tylko jedno: hipokryzja. Brytyjczycy przeprowadzili właśnie na Nowej Zelandii najbrutalniejszą w historii kolonizację, „by roztoczyć opiekę nad tubylcami”! Dziękuję bardzo! – mówi Knox. Brytyjczykom nie wolno będzie istnieć, kiedy pozbawi się ich kraju – zostanie nad nimi „roztoczona opieka”!

Anglosasi w okupowanych przez siebie krajach nie chronią ciemnoskórych ras, nie wchodzą z nimi w żadne relacje, nie pozwalają im zachować choćby najmniejszego kawałka ziemi; tak przynajmniej dzieje się w anglosaskiej Ameryce.

> Los Meksykanów, Peruwiańczyków, Chilijczyków jest też przypieczętowany. Unicestwienie rasy, jej nieuchronna zagłada – temu zaprzeczyć się już nie da.

120

Czy można ucywilizować rasy o ciemnej skórze? Absolutnie wykluczone, odpowiada Knox. Anglosasi nigdy ich ani tolerować, ani żyć z nimi w pokoju nie będą.

> Żadna z najgwałtowniejszych prowadzonych niegdyś wojen, żadna z najbardziej krwawych bitew stoczonych przez Napoleona nie da się porównać z wojną szalejącą między naszymi krewniakami a rasami ciemnoskórych; to wojna na wyniszczenie, z trupią czaszką na każdej chorągwi, bez żadnego zmiłowania: wszyscy co do jednego muszą umrzeć.

Nie oskarżam Anglosasów, ciągnie dalej Knox; nie mam nawet prawa ich krytykować. Człowiek działa pod wpływem zwierzęcych instynktów, a kiedy czasami używa rozumu, to zwykle po to, by wprowadzić w błąd i ukryć prawdziwe motywy.

Mieszkańcy Ameryki byli przypuszczalnie już bliscy wyginięcia, kiedy pojawili się tam pierwsi Europejczycy. „Wszystkie te nacje

spotka podobny los; to wynika z ich natury i nic tego powstrzymać nie może”.

Wystarczy spojrzeć na Afrykę Południową! To ambicje Anglosasów doprowadziły do rzezi tubylców.

> Czyżbyśmy wykończyli Hotentotów i buszmenów? Sądzę, że tak; wkrótce będą przedstawiani jako osobliwości; jeden z nich, wypchany, znajduje się jako eksponat w Anglii, inny w Paryżu, jeśli się nie mylę… Krótko mówiąc: znikną szybko z powierzchni ziemi.

A co z Chińczykami, Mongołami, Tatarami czy jak tam się oni zwą – co stanie się z nimi? Ha! Wiadomo, co wydarzyło się w Tasmanii, Anglosas wygnał mieszkańców z ich ojczyzny. „Nie miał żadnych wyrzutów sumienia z powodu piorunującego ciosu, który położył kres całej rasie”.

Chińczycy mogą spodziewać się tego samego. Chiny wydają się tkwić w bezruchu zarówno w sferze wynalazków, jak i odkryć. Słynna chińska sztuka należeć musiała do jakiejś innej rasy, od której Chińczycy ją przejęli, do końca jej nie rozumiejąc.

Chińczycy swoje dobre dni mają już chyba za sobą – przeżyli z góry przesądzony los i okres, spiesząc ku stacji końcowej, gdzie wszystko, co pozostanie, to jedynie szczątki wymarłych istot, które – podobnie jak ssaki i ptaki w minionym świecie Cuviera – już dawno temu przestały istnieć.

121[73]

Kim był ów człowiek, który z takim zachwytem rozkoszował się unicestwianiem ludzi?

To Szkot, służył jako lekarz wojskowy w Afryce Południowej i założył szkołę anatomii w Edynburgu. Darwin będąc młodym studentem należał do słuchaczy jego kontrowersyjnych wykładów.

W tamtych czasach wszyscy zajmujący się nauką anatomii kupowali materiały do badań od cmentarnych rabusiów. Na Knoksa zaś

padło podejrzenie, że by zapewnić sobie odpowiednie zwłoki, wynajmował morderców. Wtedy nastąpił koniec jego kariery naukowej.

Sam uważał siebie za głos wołającego na pustyni. On jedyny odkrył wielką prawdę, prawdę rasy, której zaprzeczać mogą jedynie głupcy i faryzeusze.

Dzieło *O powstawaniu gatunków* stało się punktem zwrotnym dla idei Knoksa. Darwin ani ich nie potwierdził, ani też nie zanegował, ale nauka o rozwoju wykorzystywana była, rzecz jasna, przez rasistów.

Knox został zrehabilitowany i na krótko przed śmiercią zaproszono go do Londyńskiego Towarzystwa Etnologicznego, gdzie ton nadawała nowa grupa antropologów, „świadomych decydującej roli ras".

W 1863 roku nastąpił w tej organizacji rozłam, a uczniowie Knoksa powołali do życia Towarzystwo Antropologiczne, które miało charakter już wyraźnie rasistowski. W pierwszym wykładzie – *On the Negroe's Place in Nature* – zaakcentowano bliskie pokrewieństwo czarnoskórego i małpy.

Po brutalnym zdławieniu buntu czarnych wieśniaków na Jamajce zwołano otwarte zebranie Towarzystwa. W swoim przemówieniu kapitan Gordon Pim podkreślił, że zabijanie tubylców miało charakter filantropijny – w masakrze, powiedział, jest coś z miłosierdzia, *mercy in a massacre*.

Czas dogonił Roberta Knoksa.

Wcześniej rasę traktowano jako jeden z wielu czynników wpływających na kulturę człowieka. Po odkryciach Darwina stała się ona w szerokich kręgach elementem rozstrzygającym. Rasizm zaakceptowano i stał się on istotnym składnikiem brytyjskiej ideologii imperialnej.

122

Jestem w dobrym towarzystwie, podążam za tymi, którzy idą przede mną, i wiem, że za mną są kolejni. Wchodzimy na górę po wąskich

schodach. Gruba lina, stanowiąca rodzaj poręczy, daje poczucie bezpieczeństwa. Schody kręcą się spiralnie wewnątrz wieży kościelnej; a może jesteśmy w minarecie? Tę spiralę schodów czuje się po chwili w zwojach mózgu. Stopnie są coraz węższe, ale ponieważ tylu ludzi idzie za mną, nie ma możliwości odwrotu ani zatrzymania się. Parcie od dołu zmusza do posuwania się dalej. Schody kończą się nieoczekiwanie wbudowanym w ścianę zsypem na śmieci. Po otwarciu klapy i przeciśnięciu się przez otwór znajduję się nagle na zewnątrz wieży. Lina zniknęła. Jest ciemno. Przywieram mocno do śliskiej, oszronionej ściany, usiłując na próżno znaleźć oparcie dla nóg.

123[74]

Teoria Darwina pozwalała, by na ludobójstwo reagować wzruszeniem ramion. Sprzeciw dowodził braku wykształcenia. Protestowali jedynie zgrzybiali starcy, nienadążający za postępem w naukach przyrodniczych. Tasmania stała się modelem, według którego ujarzmiano jedno po drugim terytorium ziemskiego globu.

W Winwood Reade członek londyńskiego Towarzystwa Geograficznego i Antropologicznego, a także członek korespondent Towarzystwa Geologicznego w Paryżu, kończy swoją książkę *Savage Africa* (1864) przepowiednią mówiącą o przyszłości rasy czarnej.

Afryka podzielona zostanie między Anglię i Francję, przewiduje autor. Pod europejskimi rządami Afrykanie osuszą bagna i nawodnią pustynie. Tą potwornie ciężką pracą mieszkańcy Czarnego Lądu prawdopodobnie wyniszczą się sami.

> Musimy zacząć traktować tego rodzaju zjawiska z zimną krwią. Jest to bowiem przykład przynoszącego korzyść prawa natury, które mówi, że ci słabsi muszą przez tych silniejszych zostać zgładzeni.

Przyszłość zachowa czarnych we wdzięcznej pamięci. Przyjdzie taki dzień, kiedy siedzące pod palmami młode damy ze łzami w oczach czytać będą powieść *Ostatni Murzyn*. A Niger stanie się równie romantyczną rzeką jak Ren. THE END.

19 stycznia 1864 roku Londyńskie Towarzystwo Antropologiczne zorganizowało debatę, której tematem było wymieranie ras niższych.

W przemówieniu wprowadzającym pod tytułem *The Extinction of Races* Richard Lee przypomniał o losie Tasmanii. Teraz przyszła kolej na Maorysów na Nowej Zelandii, spośród których po kilku dekadach pozostała już tylko połowa populacji.

Nie umiano jeszcze wyraźnie określić przyczyn tego stanu rzeczy. Choroby, pijaństwo i „antagonizmy między białymi i kolorowymi" stanowiły istotne czynniki zewnętrzne. Nie wyjaśniały one jednak, dlaczego umieralność wśród kobiet była większa niż wśród mężczyzn, ani też dużej liczby małżeństw bezdzietnych.

Niezależnie od przyczyn, wszędzie wokół nas widzimy, jak znika jeden świat, ustępując miejsca następnemu, o wyższym stopniu rozwoju. Za kilka lat powierzchnia ziemi zmieni się zupełnie. My, istoty cywilizowane, wiemy, jak lepiej użytkować kraje stanowiące od tak dawna nienaruszone gniazda rodzinne „czarnych". Teraz nadchodzi nowa era, nakładająca na człowieka wielokrotnie więcej obowiązków.

Wody cywilizacji europejskiej wzbierają na całym ziemskim globie. Rasy anglosaskie wypierają poprzednich mieszkańców moralną i intelektualną przewagą. To światło pochłaniające mrok, mówił Richard Lee.

Jego przeciwnik, T. Bendyshe, przytoczył los Filipińczyków jako przykład (jeden z wielu) na to, że wyższe i niższe rasy mogą egzystować razem bez konieczności unicestwienia tej słabszej. Nie ma więc mowy o prawie natury.

Ludność miejscowa ginie wyłącznie tam, gdzie odbiera się jej ziemię i tym samym możliwość wyżywienia. Choć niektóre plemiona indiańskie w Ameryce Północnej zostały niemal całkiem wybite, to zostało ich wystarczająco dużo, by na nowo zaludnić kontynent – gdyby tylko dostali z powrotem swoje ziemie. Niezależnie bowiem

od rasy, człowiek rozmnaża się według praw Malthusa[75], podsumował Bendyshe.

A.R. Wallace, współtwórca nauki o rozwoju, uważał z kolei, że im słabsza rasa, tym więcej potrzebuje ziemi, by się utrzymać. Przy tak dynamicznym podbijaniu terytoriów przez Europejczyków niższe rasy uratować mogło jedynie szybkie ich ucywilizowanie.

Proces ten jednak następuje zawsze bardzo powoli. Dlatego wyginięcie słabszych ras jest kwestią czasu.

125[76]

Podczas tego samego wieczoru Wallace w wykładzie *The Origin of Human Races* wyjaśnił dokładniej swój punkt widzenia w kwestii eksterminacji. To była po prostu kolejna nazwa tego samego procesu – doboru naturalnego.

Niższe, umysłowo gorzej rozwinięte narody żyjące na innych kontynentach czeka nieuchronna śmierć w wyniku kontaktu z Europejczykami, twierdził Wallace. Przewaga fizyczna, duchowa i intelektualna Europejczyka powoduje jego rozprzestrzenianie się kosztem dzikusa, „dokładnie tak samo jak chwasty z Europy rozpleniają się w Ameryce Północnej i Australii, wypierając rodzime gatunki swoją naturalną witalnością, silniejszą wolą przeżycia i rozmnażania".

Darwin, czytając ten wykład, przekreślił słowo „chwast" i na marginesie dodał swój własny przykład: szczur.

W dziele *O pochodzeniu człowieka* napisał:

> Wydaje się, że Nowozelandczycy zdają sobie sprawę z równoległości omawianych zjawisk, gdyż porównują swój przyszły los z losem krajowego szczura zupełnie wytępionego przez szczura europejskiego.

Zarówno zwierzęta, jak i rośliny pochodzenia europejskiego bez trudu dostosowywały się do klimatu i do gleby w Ameryce i Australii. Natomiast bardzo nielicznym gatunkom roślin pochodzenia amerykańskiego i australijskiego udało się wygrać walkę o przetrwanie w Europie, przykładem jest ziemniak.

Analogie mogą wzbudzać też i wątpliwości. Dlaczego akurat chwast rozplenia się w koloniach szybciej i efektywniej niż wiele innych roślin europejskich? Czy to rzeczywiście dzięki swej duchowej i intelektualnej przewadze szczur europejski wytępił inne szczury?

126

Jesteśmy u Tideliusów na świątecznym obiedzie, po drugiej stronie ulicy. Ledwo sięgam do blatu odświętnie nakrytego stołu stojącego w dużym salonie z czarnymi lustrzanymi szafkami i paradnymi dębowymi krzesłami o wysokich oparciach. Iskrzy się kryształowy żyrandol, kieliszki, sztućce, porcelana, wszystko się mieni. Obrus jest z materiału, biały, mięsisty i sztywny. Dlatego trochę odstaje pośrodku i pani Tidelius nachyla się, by wygładzić go ręką. I wtedy słychać cichutki pisk – dźwięk podobny do tego, jaki wydała mała myszka, na którą najechała żniwiarka pracująca w zbożu. Pola ciągnęły się w owym czasie aż do granicy parceli. Uffe i ja często kręciliśmy się przy wielkiej oborze gospodarstwa. Myszy w oborze były więc czymś równie naturalnym jak żyjący w pobliżu kot. Tam też skierowała się moja myśl, gdy usłyszałem cichy pisk. Pani Tidelius gwałtownie podnosi się z krzykiem. Pan Tidelius rusza spiesznie z odsieczą. Jest dwa razy starszy od niej. Elegancki, energiczny starszy pan. Każdego ranka o godzinie szóstej sprężystym krokiem wędruje do stacji, by dotrzeć pociągiem do swojej pracowni krawieckiej na ulicy Mäster Samuelsgatan. Choć znakomity z niego krawiec, to przecież żaden specjalista od szczurów. Podnosi delikatnie obrus, by zajrzeć pod spód – ups! – szczur rusza dalej wzdłuż fałdy, kierując się do środka stołu i przewracając po drodze kilka kieliszków. No i rozpętuje się piekło. Każdy usiłuje uratować własny kieliszek i talerz, unosząc jednocześnie obrus, by złapać nieszczęsnego szczura. Gryzoń, piszcząc ze zdenerwowania i strachu, rzuca się pod obrusem w tę i z powrotem i w momentach zmiany kierunku wydaje się jakby coraz większy… Do głowy by mi nie przyszło, że mój własny ojciec jest zdolny do czynu, którego jestem właśnie świadkiem. W po-

deszłym wieku stał się przecież delikatnym i łagodnym człowiekiem. W czasach mojego dzieciństwa był inny, to prawda. Do dziś pamiętam starego szczura o całkiem siwym futrze, wielkiego prawie jak kot, który bezczelnie znalazł się na naszym trawniku. To właśnie jego bezceremonialny sposób poruszania się – jakby miał pełne prawo tam być – doprowadził ojca do wściekłości. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi na taras, pomknął w dół pagórka, chwyciwszy w biegu kawałek deski. Dogonił szczura, który za późno dostrzegł niebezpieczeństwo, i zabił go tuż przy płocie właśnie wtedy, kiedy zwierzę było już bliskie uratowania się. W podobnym zacietrzewieniu pędzi teraz do kuchni po wielką siekierę – pod kuchenną płytą nadal palono drewnem – unosi ją nad głowę i przy jednogłośnym aplauzie kobiet spuszcza z całą mocą wprost na wybrzuszenie na obrusie. Ostrze przechodzi przez adamaszek oraz sukno i wbija się głęboko w czarny dębowy stół. Z całą pewnością zabiło też szczura, który nie biega już pod obrusem. Przeciwnie, wszystko znieruchomiało. Krzyk zamarł. Wszyscy stoją nieporuszeni i patrzą na trzonek siekiery skierowany w górę, do sufitu, i drgający wciąż od siły ciosu… Przecież nie możemy kontynuować obiadu świątecznego z trupem szczura na stole. Rodzice zbierają ze stołu nakrycia i potrawy. Na koniec odkładają siekierę. Następnie goście stają każdy w jednym rogu stołu i podnoszą najpierw obrus, a potem sukno. Szczura nie widać. Zdematerializował się. Nie pada ani jedno słowo. Nikt nie pyta, co mogło się z nim stać. Wszyscy stoją i wpatrują się nieruchomo w głęboki biały ślad pozostawiony przez ostrze siekiery w czarnym blacie stołu.

– Wstawię kawałek dębowej deszczułki – mówi mój ojciec, z zawodu nauczyciel robót ręcznych – i zabejcuję tym samym kolorem. Będzie nie do odróżnienia.

Gospodarze wylewnie mu dziękują. Obiad spożyty zostaje w dosyć ponurym nastroju i w zaplanowanym czasie.

Również dla tych, którzy pozostali w Londyńskim Towarzystwie Etnologicznym, było całkiem jasne, że rasy niższe są skazane na wyginięcie.

27 marca 1866 roku Frederick Farrar wygłosił referat *Aptitude of the Races*. Dokonał podziału ras na trzy grupy: dzikie, częściowo ucywilizowane i ucywilizowane.

Jedynie dwie rasy, aryjska i semicka, należą do tych ucywilizowanych. Do ucywilizowanych tylko w części zaliczył Chińczyków, wspaniałych w przeszłości, dotkniętych jednak „zahamowaniem w rozwoju".

Rasy dzikie żyły zawsze w niewiedzy i nędzy.

> Nie mają one ani przeszłości, ani też przyszłości. I tak jak inne, choćby i o wiele szlachetniejsze, żyjące na długo przed nimi, skazane są na szybkie, totalne i nieuniknione unicestwienie, co być może jest etapem w drodze do ostatecznego przeznaczenia ludzkości.

Wszystkie te mrowiące się miriady nie wydały z siebie ani jednej postaci mającej jakiekolwiek znaczenie dla naszej rasy. Jeśliby jutro zginęli w wielkiej katastrofie, nie zostawiliby po sobie żadnego śladu poza organicznymi szczątkami.

> Nazywam ich nierokującymi nadziei dzikusami... bo przecież cywilizacja nie ma na nich żadnego wpływu, przeciwnie, powoduje ich wymieranie tak samo nieuchronnie i namacalnie jak pod wpływem promieni słonecznych znika śnieg.

Indianie są tego przykładem. Albo weźmy kogoś spośród stu milionów w Afryce, ale nie kogoś tak zdegenerowanego jak Hotentoci, a prawdziwego, czystej krwi Murzyna. Czy istnieje nadzieja na jego ucywilizowanie? Ogromna większość Murzynów zginie w upodleniu, a tylko mała ich cząstka da się uratować.

Wiele ras już zniknęło. Te rasy – „najgorsze typy wśród ludzi, typy o najbardziej przerażających cechach moralnego i intelektualnego zwyrodnienia" – były skazane na wymarcie. „Albowiem wie-

dza, pracowitość i światło zawsze usuną w cień mrok, gnuśność i ignorancję”.

128

Jak to możliwe, w sensie czysto praktycznym, że pracowitość i światło niosły z sobą śmierć.

Wiedział to Darwin. Oglądał generała Rosasa, oprawcę Indian, nurzającego się we krwi i wymiocinach, wiedział więc, jak wydłubuje się oko Indianinowi trzymającemu zębami kciuk oprawcy. Wiedział, jak zabija się kobiety, a z więźniów wydobywa zeznania. Miał nawet na to wszystko własną nazwę: „walka o byt”.

Darwin wiedział, jak toczyła się ta walka o byt. Mimo to wierzył, że służyła ona rozwojowi i uszlachetnieniu gatunku ludzkiego. Wallace podzielał jego wiarę. Unicestwianie gorszych ras jest usprawiedliwione. Prowadzi bowiem stopniowo do zacierania różnic między rasami, aż wreszcie świat na nowo zaludni jedyna, prawie homogeniczna rasa. Świat, w którym nikt już nie będzie niewolnikiem najszlachetniejszych egzemplarzy żyjącej dziś ludzkości. Tak myślał Wallace.

Najdziwniejsze jednak jest to, kontynuował, że te małe kroki prowadzące do celu nie były uwarunkowane doborem naturalnym. Najwyraźniej nie „ci najlepsi” wygrywali w walce o byt. Przeciętniacy pod względem moralnym i intelektualnym, nie mówiąc już o tych reprezentujących poziom poniżej przeciętnej, krótko mówiąc, zwykłe chwasty odnoszą największe sukcesy w życiu i najszybciej też się rozmnażają.

129[78]

Wallace dotknął czułego punktu. Temat ten poruszył też William Greg w artykule we „Frazer’s Magazine” (wrzesień 1868), który przeczytał i skomentował Darwin.

Grega niepokoił przede wszystkim fakt, że wśród klasy średniej, „która stanowi energiczny, godny zaufania i postępowy element populacji", rodzi się znacznie mniej dzieci niż w klasie wyższej i niższej, które, choć z zupełnie odmiennych przyczyn, nie mają powodów do wstrzemięźliwości.

„Naturalne prawo uzasadnionego i uzdrawiającego doboru" zostało wyeliminowane z gry – a to zagraża społeczeństwom nadmiernym ucywilizowaniem, co spotkało swego czasu Greków i Rzymian.

Na szczęście to naturalne prawo wciąż działa w relacjach między rasami, powiada dalej Greg. Tu najmocniejsi i najlepiej przystosowani są wciąż najbardziej faworyzowani. To oni wygrywają wyścig i „tępią, sprawują rządy, eliminują, zwalczają, wygryzają lub usuwają w niebyt niższe gatunki ludzkie".

Walka między rasami to jedyny sposób utrzymania żywotności i zdolności do postępu społeczeństw cywilizowanych. Jedynie poprzez wytępienie innych możemy uniknąć rasowej degeneracji. W przeciwnym wypadku skutek będzie taki, że cywilizacja regułę doboru naturalnego wyłączy z gry.

130

Położyłem jedzenie na komputerze. Przyrządziłem posiłek w jego ekranie, tam, gdzie zwykle w mikrofalówce odgrzewam przygotowane dania.

W drodze do domu, z obiadem na dyskietce, zostałem zaatakowany w metrze przez mężczyznę w stroju narodowym i w kolorowej ręcznie dzierganej czapeczce. Wyrywa mi dyskietkę. Próbuję mu w tym przeszkodzić i budzę się, kopiąc mocno krzesło przy łóżku. Ból przy chodzeniu czuję do tej pory.

131

Kuzyn Darwina, Francis Galton, kontynuował dyskusję w książce *Hereditary Genius* (1869).

W historii przemian geologicznych widać, jak gatunki zwierząt nieustannie zmuszone były do przystosowywania się do nowych warunków życia. Cywilizacja to nic innego jak właśnie te zupełnie nowe warunki, w których muszą nauczyć się żyć gatunki ludzkie. Wiele z nich poniosło porażkę. Nie będąc w stanie podołać wymogom cywilizacji, uległy całkowitemu wymarciu.

> Prawdopodobnie żadne zwierzę w żadnym okresie historii globu ziemskiego nie zostało poddane takiemu wyniszczeniu, na tak wielkim obszarze i tak zdumiewająco szybko, jak to się stało z dzikim człowiekiem.

Powinno to być dla nas przestrogą, bo przecież także i my, którzy stworzyliśmy cywilizację, stajemy się jej ofiarą. Czy to będą mężowie stanu, filozofowie, czy też rzemieślnicy i robotnicy, wszyscy w równym stopniu stoją wobec wymogów, którym nie są w stanie sprostać, pisze Galton.

Wniosek jest jasny: jeśli chcemy uniknąć losu wymarłych gatunków zwierząt i ludzkich ras, musimy znaleźć sposób na udoskonalenie naszych cech genetycznych, tak by zwiększyć zdolność przeżycia w warunkach, jakie stworzyła cywilizacja.

Aż do końca stulecia Galton poświęcał swój czas próbom znalezienia różnych metod udoskonalenia materiału genetycznego. Miał wielu uczniów, i to nie tylko w Niemczech. Państwowy Instytut Biologii Ras w Uppsali istniał jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku.

132

Ten właśnie fragment wywodów Galtona podjął Benjamin Kidd w dziele *Social Evolution*, które w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku odniosło wielki sukces.

Ów Anglosas wytępił mniej rozwinięte ludy jeszcze efektywniej, niż były w stanie uczynić to inne rasy. Powodowany wrodzonymi dążeniami cywilizacji, przybywa do obcego kraju, by rozwinąć jego naturalny potencjał – a następstwa wydają się nieuniknione.

Walka ras, oznaczająca, że słabszy przymuszony zostaje do uległości, a nawet do wyginięcia, nie jest niczym archaicznym ani przebrzmiałym. Toczy się na naszych oczach, zamaskowana cywilizacją anglosaską, z której jesteśmy tak dumni i którą tak chętnie utożsamiamy z najbardziej wzniosłymi ideałami.

Dla rasy pragnącej zachować swoje miejsce w igrzyskach zagłada innych ras należy do surowych i nieodzownych warunków. Możemy te warunki uczynić bardziej humanitarnymi, nie możemy jednak zmieniać ich samych. Ponadto są one zbyt mocno uzależnione od przyczyn fizjologicznych, których tak po prostu uznać za nieistotne się nie da, pisze Kidd.

133[79]

W jednym byli zgodni i Wallace, i Greg, i Galton, i Kidd. Niepokoił ich rozdźwięk między teorią i praktyką, między realnym obrazem społeczeństwa i tym projektowanym. Rozmnażali się niewłaściwi ludzie. Selekcja faworyzowała nie tych, których powinna. Plastrem na rany były więc przemyślenia dotyczące walki ras. Tam – wreszcie! – teoria przystaje do rzeczywistości, bowiem to właśnie ta rzeczywistość dała kiedyś początek teorii!

Łączyła ich też obawa dotycząca przemian zachodzących w społeczeństwie. Różniło się ono bardzo od tego, w jakim spędzili dzieciństwo. Czyżbyśmy stworzyli społeczeństwo, które miałoby nas pewnego dnia złamać tak, jak złamało dzikich. Czy staliśmy się zagrożeniem dla naszej rasy? Czy nie za daleko odeszliśmy od matki natury?

Wspólna dla nich wszystkich była wreszcie wola usprawiedliwienia i zaakceptowania ludobójstwa. Unicestwienie jest nie do uniknięcia, mobilizuje prześladowców, ma swoje głębokie, nieodgadnio-

ne motywy. Nie było ono też z pewnością szczególnie przykre dla ofiar.

U podstaw eksterminacji nie leżała „nędza”, *misery*, uważał Galton. To raczej lenistwo i apatia. W zetknięciu z cywilizacją zarówno mężczyźni, jak i kobiety stracili zainteresowanie płcią przeciwną, co z kolei zmniejszyło liczbę przychodzącego na świat potomstwa. To oczywiście fakt godny ubolewania, ale „nędzą” raczej tego nazwać nie można...

Co jednak powodowało apatię? O jakich to głębokich przyczynach fizjologicznych mówiono? W początkach XIX wieku, za czasów Howinsona i Merivale’a, odpowiedzi na te pytania wydawały się jednoznaczne i oczywiste. W latach dziewięćdziesiątych tego samego stulecia ulotniły się w oparach rasizmu.

134

Przygotowany do egzekucji, stoję plecami do luf. Czekam na salwę, ból, agonię.

Jest nas wielu. Wyczekując, notujemy. Stoimy i piszemy, zanim ten strzał padnie.

Kiedy już nasze ciała są trupio zimne, nadchodzi przekaz pocztowy na dwadzieścia pięć koron. Na blankiecie napisano: „Z podziękowaniem za Pana współpracę”.

135[80]

Sądzę, że udało mi się wykazać, iż jedną z zasadniczych tez XIX wieku było przekonanie o istnieniu ras, narodów i plemion zmierzających nieuchronnie do zniknięcia z powierzchni ziemi. Czy też, jak to wyraził premier Anglii, lord Salisbury, 4 maja 1898 roku w Albert Hall w swoim słynnym przemówieniu: „Z grubsza narody świata można podzielić na te utrzymujące się przy życiu i te wymierające”.

Mowa przedstawiała zatrważająco prawdziwy obraz ówczesnej rzeczywistości.

Słabe narody stawały się słabsze, a silne coraz silniejsze, mówił dalej Salisbury. Naturalne więc było, że „te utrzymujące się przy życiu zawłaszczały stopniowo terytoria zaludnione przez narody wymierające".

Miał rację. Europejczycy zagarnęli w XIX wieku ogromne terytoria w północnej Azji, Ameryce Północnej i Południowej, Afryce i Australii. A te „wymierające nacje" ginęły właśnie z powodu odebrania im ich własności, ich ziemi.

„Ludobójstwo" jako słowo jeszcze nie istniało. Ale sam proces już trwał. Kurtz nazwał go *„exterminate all the brutes"*.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Joseph Conrad słyszał przemówienie lorda Salisbury. Wcale nie musiał. Wystarczyło mu to, czego dowiedział się z lektury Dilkego w „Cosmopolis", *Wojny światów*, *Higginson's Dream*. Nie mógł też, tak jak i jemu współcześni, nie słyszeć komentarzy i głosów o realizowanym systematycznie ludobójstwie, które odcisnęło piętno na całym jego stuleciu.

To my stłumiliśmy w sobie tę wiedzę. To my nie chcemy pamiętać. Chcemy, by początkiem i końcem ludobójstwa był nazizm. Tak jest najwygodniej.

Jestem pewny, że w Albert Hall, w czasie mowy lorda Salisbury'ego, nie było dziewięcioletniego wówczas Adolfa Hitlera. Nie musiał tam być. Wszystko to wiedział.

Powietrze, którym on i ludzie żyjący w latach jego dzieciństwa na Zachodzie oddychali, było nasycone przeświadczeniem, że imperializm jest biologicznie koniecznym procesem, który zgodnie z prawami natury prowadzi do nieuniknionej zagłady ras niższych.

To przekonanie kosztowało miliony istnień ludzkich, zanim Hitler wniósł w ten proces swój bardzo osobisty wkład.

krąg życia, krąg śmierci

das Recht der stärkeren Rasse, die niedere zu vernichten

136[81]

W połowie XIX wieku Niemcy jeszcze nie dokonali eksterminacji żadnego narodu. Ich stosunek do tego zjawiska mógł zatem być bardziej krytyczny niż innych Europejczyków.

Najdokładniejsze badania zagrożonych wyniszczeniem gatunków ludzkich przeprowadził wielki niemiecki antropolog Theodor Waitz w dziele *Anthropologie der Naturvölker* (1859–1962). Streszcza on w nim i analizuje sprawozdania z ekspedycji naukowych.

Jego uczeń Georg Gerland w pracy *Über das Aussterben der Naturvölker* (1868) zajmował się szczegółowymi badaniami problemu eksterminacji.

Gerland analizuje i kategoryzuje wszystkie możliwe przyczyny przywoływane w dyskusji o tak zwanych ludach naturalnych: brak troski o własne ciało i dzieci, zakaz spożywania niektórych produktów, cechy osobowości, takie jak indolencja, zawziętość i melancholia, seksualne zdeprawowanie, skłonność do popadania w alkoholizm, coraz niższa zdolność rozrodcza, aborcje, zabójstwa dzieci, wojny plemienne, kanibalizm, rytualne składanie ofiar z ludzi, częste kary śmierci, nieprzyjazna natura i wreszcie wpływ kultur wyższych i stosunek białych do kolonizowanych ludów.

W końcowym wniosku stwierdza, że często decydującym czynnikiem wyniszczającym tubylców są choroby białych. Zarażają ich nawet zdrowi, przenosząc „miazmat", „pył choroby". Takim terminem określano w owym czasie bakterie i wirusy.

Miazmat działał tym agresywniej, im dalej od niego żył wcześniej dotknięty nim teraz naród. Europejczycy powoli budowali swoją od-

porność na miazmaty. Tej odporności brakuje ludziom żyjącym w środowisku naturalnym i dlatego umierają.

Jeszcze istotniejszym czynnikiem jest jednak wrogie postępowanie białych, co stanowi jeden z najmroczniejszych rozdziałów całej historii ludzkości. To, co można by nazwać „gwałtem cywilizacyjnym", okazuje się nawet bardziej skuteczne niż przemoc fizyczna, uważa Gerland.

Styl życia ludności tubylczej jest tak silnie przystosowany do klimatu i środowiska, że nagłe przemiany, choćby były niewinne i pożyteczne, stają się brzemienne w skutki. Radykalne zmiany, jak prywatyzowanie ziemi stanowiącej wcześniej własność ogółu, usuwają fundament, na którym zbudowany został dotychczasowy sposób życia.

Europejczycy unicestwiają z okrucieństwa i głupoty. Nie obchodzi ich ani opinia tubylców, ani to, co oni czują i w co wierzą. A kiedy życie traci dla tubylców sens, po prostu giną.

Przemoc fizyczna jest najbardziej namacalną i bezsporną siłą sprawczą eksterminacji. Bestialstwo białych przeraża tym bardziej, że cechą tą odznaczają się ludzie o wysokim poziomie intelektualnym. Nie da się przemocy przypisywać jedynie poszczególnym jednostkom, które można by obarczyć odpowiedzialnością – o nie, „okrucieństwo to cecha, która wyróżnia niemal w równym stopniu wszystkich mieszkańców kolonii lub w każdym razie jest przez nich akceptowana; przemoc jest nawet i dziś nie zawsze potępiana".

Żadne prawo natury nie mówi, że lud pierwotny musi zginąć. Do tej pory całkowicie unicestwione zostały tylko nieliczne z nich. Nie znaleźliśmy nigdzie dowodu na brak zdolności do fizycznego czy duchowego ich rozwoju, kończy Gerland. Jeśli tylko będą respektowane naturalne prawa tubylców, będą oni mogli żyć i w przyszłości.

Darwin przeczytał tę książkę i powołuje się na nią w *O pochodzeniu człowieka* (1871). Znacznie większe wrażenie jednak zrobili na nim Lyell, Wallace, Greg i Galton. Rezultat zauważalny jest już w dziele *O powstawaniu gatunków*, w „darwinowskich" wnioskach dotyczących człowieka i społeczeństwa. Darwin został życzliwie przyjęty przez swoich naśladowców i dał się uwieść ich o wiele dalej idącym wnioskom.

137

Na przełomie wieków autorytetem w tej dziedzinie w Niemczech był Friedrich Ratzel. Temat, któremu poświęca dziesiąty rozdział pracy *Anthropogeographie* (1891), to „Regresja ludów prymitywnych w zetknięciu z cywilizacją".

Stało się smutną regułą – notuje – że naród będący na niższym szczeblu rozwoju wymiera w wyniku kontaktu z narodem o wyższej kulturze. Dotyczy to niemal wszystkich Australijczyków, Polinezyjczyków, Azjatów z Północy, Amerykanów z Północy i wielu ludów z południowych części Afryki i Ameryki.

„Doktryna głosząca, że o wymieraniu decyduje wewnętrzna słabość pojedynczej rasy, jest błędna" – pisze Ratzel.

To Europejczycy przyczyniają się do eksterminacji – „doskonalsza rasa" stanowi mniejszość, zmuszona jest więc do działań osłabiających ludność miejscową po to, by zdobyć nad nią władzę. Zabija się ją, usuwa, pauperyzuje i niszczy wszelkie więzi społeczne.

Cechą polityki białych są akty przemocy wobec słabszych. Celem jest odebranie im ziemi. Doskonałą wprost postać zjawisko to przybrało w Ameryce Północnej. Żądni ziemi biali wdzierają się w słabe, częściowo wyniszczone i zrujnowane indiańskie rejony. Ta agresywna zbrojna kolonizacja – która w czasie, kiedy Ratzel siedzi i pisze, wciąż się nasila – jest jedną z głównych przyczyn wymierania Indian.

Do tego momentu Ratzel brzmi dokładnie jak Gerland. Takie też stanowisko, już od czasu Waitza, prezentowała niemiecka antropologia. Niemcy nie posiadali przecież żadnych kolonii.

138

Ale w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku ambicje kolonialne obudziły się także i w Niemczech. W roku opublikowania swojej *Anthropogeographie* Ratzel uczestniczył w zakładaniu bojowej, prawicowo-radykalnej organizacji o nazwie Związek Wszechniemiecki. Głów-

nym punktem w programie było budowanie niemieckiego imperium kolonialnego.

Wydarzenie to zapoczątkowało pewne wątpliwości w kwestii stanowiska Ratzla wobec procesu upadku ras niższych.

Można zadać sobie pytanie, czy ten „ponury proces" mimo wszystko nie posuwa się do przodu napędzany pewną „szatańską koniecznością" – pisze Ratzel. Przemoc i rabunek ziemi to istotnie główne przyczyny regresji ludności tubylczej. Ale dawanie wiary, że właśnie z tego powodu tubylcy umierają, byłoby jednak rozumowaniem zbyt prostym.

Ten, kto wnika w problem głębiej, widzi, że agresja Europy tak naprawdę potęguje ból, który już trwał. Wśród ludów niższych pod względem cywilizacyjnym istnieją siły destrukcji, które mogą zostać uaktywnione z najbardziej błahego powodu. Toteż ich degeneracji nie można traktować wyłącznie jako następstwa ataku ze strony narodów bardziej zaawansowanych w rozwoju.

Nie, ci ubodzy kulturowo ludzie są z natury pasywni. Szukają sposobu, jak przetrwać, a nie jak przezwyciężyć okoliczności powodujące zmniejszanie się ich liczebności. Zetknięcie z Europejczykami przyspiesza jedynie proces wymierania, który wcześniej i tak już trwał. Wiele ludów o niższym poziomie wymarło z przyczyn tkwiących w nich samych, nie zetknąwszy się wcale z agresją zewnętrzną.

W ten sposób rozumowanie Ratzla zatoczyło pełne koło. Potwierdza teraz to, czemu zaprzeczał na początku. Dla przyszłego budowniczego imperium nowy punkt widzenia był bezsprzecznie wygodniejszy.

139[82]

Terminem „ubogi kulturowo naród" (w rozumieniu Ratzla) nie można było określać Żydów. Wręcz przeciwnie, standardowo oskarżano ich o zbyt dominującą rolę w kulturze niemieckiej.

Mimo to Ratzel w książce *Politische Geographie* (1897) zalicza ich do narodów skazanych, według niego, na eksterminację. Żydów

i Cyganów włączano wraz z „żyjącym w głębi Afryki ludem myśliwych o niskim wzroście” i „niezliczoną liczbą podobnych bytów” do klasy „ludów rozproszonych, bez własnego państwa”.

Państwo bez narodu przestaje istnieć. Nawet tereny pustynne nie są dziś bezpańskim pustkowiem. Coraz większy naród potrzebuje większej przestrzeni, musi więc podbić nową ziemię, „która przez zabijanie i usuwanie mieszkańców staje się państwem niezamieszkanym”.

Nie inaczej postąpił Perykles, wyludniając Eginę po to, by znaleźć miejsce dla mieszkańców Attyki. Rzym czynił podobnie. Od tamtej pory poczynania tego rodzaju stały się coraz bardziej konieczne, dziś bowiem terenów niezamieszkanych już po prostu brak. „Kolonizowanie od dawna stało się też wypędzaniem”.

W historii kolonizacji Ameryki można znaleźć wiele przykładów ludów wygnanych i zmuszonych do przeniesienia się na nowe tereny. „Im bardziej cywilizacyjnie przybysze przewyższają pierwotnych mieszkańców, tym proces ten jest łatwiejszy”. Stany Zjednoczone są najlepszym przykładem błyskawicznego powiększania przestrzeni: z 1,8 miliona kilometrów kwadratowych w 1783 roku do 4,6 miliona kilometrów kwadratowych w 1803 i 9,2 miliona kilometrów kwadratowych w 1867 roku.

Europa jest najbardziej zaludnionym kontynentem, którego ludność mnoży się najszybciej. Kolonie są więc dla Europy nieodzowne.

Błędem jednak jest przekonanie, że kolonie muszą leżeć gdzieś za morzem. Zabór krajów sąsiednich jest także kolonizacją. Te bliżej położone posiadłości łatwiej dają się bronić i zaadaptować niż te odległe. Najbardziej znaczącym przykładem tego typu kolonizacji jest powiększenie terytorium Rosji o Syberię i Azję Centralną, podkreśla Ratzel.

Równie wyraźnie jak Karol XII na pomniku w Kungsträdgården[83], Ratzel wskazał miejsce Niemiec na przyszłej mapie politycznej Europy.

Hitler otrzymał jego książkę w 1924 roku, gdy w więzieniu w Landsbergu pisał *Mein Kampf*.

140[84]

Na obiad podają żaby. Żywe żaby. Budzę się w momencie, kiedy mam właśnie odgryźć głowę zielonej ropuchy. Wciąż jeszcze pulsuje w mojej dłoni.

141

A prawo międzynarodowe?

Brytyjczycy zawsze traktowali własną ekspansję jako niekwestionowane prawo. Natomiast francuską ekspansję w Afryce Północnej i rosyjską w Azji Centralnej uważali za skandaliczne akty agresji. A to, że niemiecka byłaby w najwyższym stopniu amoralna – w tej sprawie i Francuzi, i Rosjanie, i Brytyjczycy byli jednomyślni.

Robert Knox wyciągnął z tego wniosek, że siła to prawo:

> Tak jak już pisałem, rasa celtycka zamierza podbić Afrykę Północną i ma do tego takie samo prawo, wedle którego my odebraliśmy Hindustan – to znaczy siłę, fizyczną przemoc. Jedynym realnym prawem jest przemoc fizyczna (*the only real right is physical force*).

Brytyjczycy oburzają się teraz na francuską inwazję, nazywając ją brutalną agresją. Zapominamy, mówi Knox, że „prawa tworzone są po to, by stosowali je słabi, a łamali mocarni". Czy rzeczywiście spodziewaliśmy się, że potężna Francja zadowoli się jedynie tym, co „ogrodziła, zamknęła, uwięziła" – i zostanie w granicach, jakie wyznaczone jej zostały przez przypadek i szczęśliwy traf? Nie, na pewno nie.

I to nawet wówczas, gdybyśmy traktowali Francję wyłącznie jako naród! Patrząc na problem z szerszego punktu widzenia, przywołując Francję jako reprezentanta jednej z ras – dojdziemy do wniosku, że roszczenia francuskie są absolutnie uzasadnione.

> Rasa celtycka żąda swojego udziału w dziedzictwie w postaci części globu ziemskiego jako rekompensaty za ich wysiłek, liczebność, cywilizację i męstwo.

Tyle Knox w roku 1850. Dokładnie te same argumenty głoszono po niemiecku dla uzasadnienia niemieckiej ekspansji na Wschód.

Aleksander Tille, zatrudniony w latach 1890–1900 jako lektor języka niemieckiego w Glasgow, miał okazję zapoznać się z brytyjską ideologią imperialną. Przeniósł ją na grunt niemiecki, łącząc nauki Darwina i Spencera z filozofią nadczłowieka Nietzschego i tworząc zupełnie nową „etykę postępu".

W sferze prawa międzynarodowego – według etyki postępu – racja zawsze jest po stronie silniejszego. Człowiek, eliminując niższe rasy, powiela tylko zachowanie lepiej przystosowanych roślin wobec tych przystosowanych gorzej, a także zachowanie zwierząt na wyższym stopniu rozwoju wobec tych mniej rozwiniętych. „Wobec racji silniejszego wszystkie historyczne prawa tracą ważność" – tak pisze Tille w „Volksdienst" (1893).

W całej przyrodzie, wszędzie, gorszego zwycięża ten lepszy. Słabsze rasy wymierają nawet bez przelewu krwi. Jest „prawem rasy silniejszej unicestwienie niższej".

> Jeśli taka rasa nie posiada woli przeciwstawienia się, to nie ma żadnej racji bytu. Ten bowiem, kto nie potrafi się bronić, musi zaakceptować fakt zniknięcia z powierzchni ziemi.

Tille sformułował te żelazne „prawa" tak ogólnie, że mogły równie dobrze odnosić się zarówno do tubylczej ludności poza Europą, jak i dotyczyć mniej ekonomicznie rozwiniętych narodów europejskich.

Pismo Związku Wszechniemieckiego „Alldeutsche Blätter" głosiło w rok później, w 1894, że warunki życia rasy niemieckiej zabezpieczyć można jedynie dzięki „przestrzeni zdobytej łokciami", rozpościerającej się od Bałtyku aż po Bosfor.

I dlatego nie należy dać się powstrzymać w realizowaniu zadania, którego celem jest pozbawienie „takich mniej wartościowych narodów, jak Czesi, Słoweńcy czy Słowacy" ich nieprzydatnej dla cywilizacji egzystencji. Prawo do własnej narodowości ma wyłącznie „nacja o wyższej kulturze".

143

Kiedy ci duzi chłopcy próbują atakować, ukrywam się na piętrze domu mojego dzieciństwa. Wpadam na nich na schodach i by odeprzeć atak, wyłamuję duże fragmenty poręczy i balustrady, i używam ich jako oręża. Broń okazuje się lekka i krucha jak beza. Natychmiast rozpada się na drobne kawałki. W jednej chwili zostaję obezwładniony.

A w pokoju rodziców wzory na tapetach odpadają od ścian i osuwają się na podłogę. Nie żebym był szczególnie przywiązany do tego krzykliwego, kwiecistego wzoru, ale jego odpadanie, budzi we mnie przeraźliwy strach. Teraz wzorem jest coś w rodzaju szkieletu, który pozostał na swoim miejscu. Konstrukcja całego życia zapadła się, pozostały gołe ściany.

144[86]

W 1904 roku Niemcy udowodniły w Afryce Południowo-Zachodniej, że i one opanowały umiejętność praktykowaną przez Amerykanów, Brytyjczyków i innych Europejczyków w ciągu całego XIX stulecia. Sztukę przyspieszania procesu wymierania „ubogich kulturowo narodów".

Na wzór modelu północnoamerykańskiego lud Hererów skierowano do rezerwatu, a ich pastwiska przekazano niemieckim osadnikom i spółkom kolonialnym.

Kiedy Hererowie wzniecili bunt, generał von Trotha wydał w październiku 1904 roku rozkaz wyrżnięcia całego narodu. Każdy napotkany w granicach niemieckich Herer, uzbrojony lub nie, miał być zabity.

Większość jednak wymarła bez użycia przemocy. Niemcy po prostu wyprowadzili ich na pustynię i zamknęli granice.

„Trwająca cały miesiąc i przeprowadzona z żelaznym rygorem blokada terenów pustynnych ukoronowała dzieło eksterminacji" – opisuje wydarzenia sztab generalny w oficjalnym raporcie z wojny.

– „Rzężenie konających i przeraźliwe krzyki obłędu [...] rozbrzmiewały w podniosłej ciszy nieskończoności.

Wyrok został wykonany. Hererowie zakończyli swój żywot jako niezawisły naród".

Sztab generalny był zadowolony. Armia zasłużyła, pisano, na wdzięczność całej ojczyzny.

Kiedy nadeszła pora deszczowa, patrole niemieckie odkryły ciała leżące wokół suchych jam głębokich na dwanaście do szesnastu metrów. Wygrzebane zostały przez Hererów próbujących dokopać się do wody. Bezskutecznie. Cały naród – około osiemdziesięciu tysięcy ludzi – zginął na pustyni. Pozostało jedynie kilka tysięcy skazanych na karną pracę w niemieckich obozach koncentracyjnych.

I tak oto termin „obóz koncentracyjny", ukuty w 1896 roku przez Hiszpanów na Kubie, zangielszczony przez Amerykanów i używany znowu przez Anglików w czasie wojen burskich, wdarł się w język niemiecki i niemiecką politykę.

145

Przyczyną buntu była „wojownicza i miłująca wolność natura Hererów" – zanotował sztab generalny.

Szczególnie wojowniczy teraz już nie byli. Ich przywódca Samuel Maherero przez dwa dziesięciolecia zawierał jedną po drugiej umowy z Niemcami, odstępując im wielkie obszary kraju, aby uniknąć wojny.

Podobnie jak Amerykanie nie czuli się związani traktatami z Indianami, tak i Niemcy żywili przekonanie, że oni, jako rasa wyższa, nie muszą dotrzymywać umów zawartych z tubylcami.

Warunkiem planowanej na przełomie wieków niemieckiej imigracji było, podobnie jak w Ameryce Północnej, wysiedlenie krajowców z całej posiadającej jakąś wartość ziemi. Rewoltę tubylców przyjęto więc jako okazję do „rozwiązania problemu Hererów".

Jeszcze nie mówiono o „ostatecznym rozwiązaniu", ale to do niego dążono.

Argumenty, którymi długi czas posługiwali się Anglicy, Francuzi i Amerykanie, by usprawiedliwić dokonywane przez siebie ludobójstwo, sformułowane zostały teraz w języku niemieckim:

„Dotyczy to zarówno narodu, jak i jednostek: egzystencja nietwórząca wartości nie może rościć sobie prawa, by dalej istnieć" – napisał Paul Rohrbach w swoim bestselerze *Der deutsche Gedanke in der Welt* (1912). Filozofię kolonializmu przyswoił sobie, organizując osadnictwo niemieckie w Afryce Południowej.

> Żadna fałszywa filantropia czy teoria ras nie jest w stanie przekonać rozsądnych ludzi o tym, że ocalenie jednego ze szczepów kafrów[87] w Afryce Południowej [...] jest dla przyszłych losów ludzkości ważniejsze niż rozprzestrzenianie się wielkich narodów europejskich, a przede wszystkim rasy białej. [...]
> Dopiero gdy tubylec, służąc rasie wyższej, a więc dla jej korzyści i dla własnego postępu, nauczy się wytwarzać jakiekolwiek wartości, otrzyma moralne prawo istnienia.

146

Z tarasu na dachu hotelu spoglądam na rynek w Agadez. Tam, w dole, idzie czarny mężczyzna z połyskującymi lustrzanymi okularami, ubrany w sztruksowy szary garnitur. Czy ma prawo być w tym miejscu?

A ten w czarnym trenczu? Albo tamten w czerwonym dresie z białymi lampasami? Mówi się zwykle, że piękno nie potrzebuje stroju, a to powiedzenie powinno raczej brzmieć: duma nie potrzebuje stroju. Ci ludzie noszą się jak królowie. Przede wszystkim ci w białych koszulach i łopoczących na wietrze szatach, z turbanami na głowach przypominającymi orle gniazda.

Często chodzą parami. Nie mają przy sobie nic poza wykałaczką trzymaną w ustach lub kindżałem zawieszonym u boku.

Ich model życia jest zagrożony. Nomadów atakuje z jednej strony rozprzestrzeniająca się pustynia, z drugiej zaś pola uprawne wdzierające się w jej granice.

Kiedy nadchodzi pora suszy i brakuje paszy dla zwierząt, a w studniach nie ma wody, nomadowie ściągają do Agadez. Po okresie

suszy część z nich powraca do siebie, większość jednak zostaje. Pozbawieni środków do życia nie mają siły, by na nowo podjąć walkę z piaskami pustyni. Koczują wokół Agadez, stłoczeni w małych okrągłych namiotach wykonanych z mat plecionych z łyka, i potrajają liczbę mieszkańców miasta.

Spotyka się ich na targu wielbłądów. Zwykle chodzę tam, gdy pył staje się tak nieznośny, że trzeba przerwać codzienne zajęcia. Silny wiatr o zmierzchu spowija ludzi i zwierzęta mgłą z pyłu. Mężczyźni stoją w tej mgle ze szczelnie zakwefionymi twarzami i badawczym wzrokiem wzajemnie lustrują swoje wielbłądy.

Zwierzęta protestują przeciwko każdej zmianie właściciela głośnym żałosnym rykiem. Z otwartej wielbłądziej paszczy koloru popielatego wydobywa się cuchnący oddech, a język ma kształt ostrokątnego trójkąta. Syczą jak smoki, żądlą jak żmije, paskudnie gryzą na prawo i lewo, po czym niechętnie stają na wysokich drżących nogach. Są podobne do dorosłych chartów o nabrzmiałych brzuchach i talii osy na wysokości pachwin, spoglądając wyniośle na świat oczami pełnymi niewypowiedzianej pogardy.

Ta sama wyniosłość cechuje ich właścicieli. Najczęściej nie myślą nawet o tym, by porzucić dawny tryb życia. Nie da się jednak żyć ze sprzedawania sobie nawzajem wielbłądów. Nie da się też wyżyć z transportu karawaną wypreparowanej domowym sposobem pustynnej soli – z Bilma do Tueggiddanu. Nie da się, gdyż jedna ciężarówka zabiera większy ładunek niż sto wielbłądów.

Na Tuaregów nie poluje się jak na tubylców w dżunglach Amazonii czy na Borneo. Fundament ich istnienia znika jednak jak topniejąca kra lodowa. Wielu udaje się przeskoczyć na kolejną krę. Stare hodowle wielbłądów stały się warsztatami naprawczymi i stacjami benzynowymi. Tuaregowie ze względu na swoją ogromną wiedzę o pustyni chętnie wykorzystywani są też jako kierowcy.

Niektórzy traktują wszelkie zmiany z pogardą lub też nie potrafią się na nie zdecydować. Ich życie podobne jest do zamka w drzwiach w moim pokoju w hotelu de l'Air. Brakuje w nim wszystkich śrubek poza jedną i jest on na opak zamontowany, wskutek czego wymaga wykonywania wszelkich ruchów na odwrót. Wsadzam klucz do góry

nogami. Zamykam po to, by otworzyć, i otwieram po to, by zamknąć.

147

Dzisiejszego wieczoru na dachu znalazł się też niemiecki nauczyciel szkolny, który od siedmiu lat spędza każdy urlop na Saharze. Jego hobby to dotrzeć za każdym razem jak najdalej na południe, zanim jego pobyt dobiegnie końca. Jutro wsiada do autobusu do Niamey, skąd leci do domu, do Niemiec.

A tam niemal każdej nocy młodzi naziści napadają na ośrodki uchodźców, o czym mówi jego pełen trzasków tranzystor. Ośrodki dla uchodźców płoną także w Szwecji. Pierwszego maja w Paryżu przemawia Le Pen.

– Słyszałem go – mówi francuski inżynier zatrudniony w firmie Michelin w Nigerii. – Sądziłem, że jeśli faszyzm wróci, to ustrojony w wesołe i przyjazne barwy, tak by trudno było go rozpoznać. Nie przyszło mi do głowy, że mógłby nadejść w brunatnej koszuli i w czarnych skórach. Nie przypuszczałem, że mógłby ogolić sobie łeb, nosić oficerski pas, swastykę na piersi, a na nogach buty z cholewami. I nie myślałem też, że mógłby przyjąć nazwę „narodowy socjalizm".

Właśnie teraz nadchodzi tak łatwo rozpoznawalny, chełpiąc się spadkiem po nazizmie. Ten sam ryk po każdym zdaniu wypowiedzianym przez przywódcę. Ta sama nienawiść do obcych. Ta sama gotowość do przemocy. Ta sama skaleczona męskość.

– I to samo podłoże – mówi Niemiec. – Po wojnie wszyscy bali się bezrobocia, wszyscy wiedzieli, do czego doprowadziło i do czego może doprowadzić ponownie. Ta świadomość przetrwała dwadzieścia pięć lat. A potem o wszystkim zapomniano.

To przecież kuszący interes. Pięcio-, dziesięcio-, piętnasto-, dwudziestoprocentowe bezrobocie daje pracodawcy wspaniałą przewagę. Siła robocza stoi w blokach startowych i marzy o tym, by ją eksploatować.

Z odrobiną ekstremizmu z tej najbardziej prawej strony trzeba się rzecz jasna liczyć zawsze. Wśród tych, którzy starają się o pracę, znajdują się też przecież Żydzi i Murzyni. Ale do diabła z tym. Przynajmniej uniknie się, w każdym razie, aroganckiej pewności siebie ludzi przekonanych, że w każdej chwili znajdą inną pracę!

To tylko początek. Ogromna masa bezrobotnych znajduje się po drugiej stronie Rio Grande Europy, w Azji i Afryce. Poczekajcie tylko, aż na serio zaczną napływać szerokim strumieniem, odezwał się Niemiec. Poczekajcie, aż granice runą, tak jak runął mur i powstanie jeden rynek dla wszystkich.

I kto wówczas wygra wybory?

148[88]

Określenie Związku Wszechniemieckiego o „przestrzeni zdobytej łokciami" dostało skrzydeł, kiedy na przełomie wieków Friedrich Ratzel przechrzcił je na „przestrzeń życiową".

Geograf Ratzel początkowo zajmował się zoologią. W terminie „przestrzeń życiowa" wiedzę biologiczną o życiu i wiedzę geograficzną o przestrzeni połączył w jedną doktrynę, będącą politycznym ładunkiem wybuchowym.

Między nieustającym ruchem życia a niezmienną przestrzenią istnieje sprzeczność, która zawsze i wszędzie daje powód do walki – pisze Ratzel w *Der Lebensraum* (1901, w formie książki 1904).

Od czasu kiedy życie po raz pierwszy dotarło do granic przestrzeni, trwa o tę przestrzeń walka jednego bytu z drugim.

To, co nazywa się walką o byt, jest w rzeczywistości walką o przestrzeń. Prawdziwą „potrzebę przestrzeni" widzimy wyraźnie u zwierząt żyjących razem w stadach. Te, które przybywają jako pierwsze, zajmują najlepsze miejsca, spóźnione zaś muszą się zadowolić najgorszymi. To wśród nich śmiertelność potomstwa jest największa, na ziemi leży pełno porozrzucanej padliny.

Podobnie wygląda bieg wydarzeń w życiu człowieka – pisze Ratzel. Jego czytelnicy wiedzą doskonale, do czego zmierza. Niemcy

należą do tych, którzy przybyli jako ostatni spośród narodów Europy. W świecie, który został podzielony przez kolonialne potęgi, Niemcy musiały się zadowolić miejscami najgorszymi. Dlatego właśnie umierały dzieci bezrobotnych w Berlinie i Hamburgu – do takiego wniosku miał dojść czytelnik.

Jako młody człowiek Ratzel podróżował po Ameryce Północnej i był świadkiem walk o ziemię między białymi i czerwonoskórymi. Do tego doświadczenia stale się odwoływał.

Kilkaset tysięcy zdeprawowanych, wypartych na nieprzyjazne tereny Indian obserwowało, jak świat ludzi, zwierząt i roślin ulega europeizacji. Hiszpanie usadowili się w miastach i sprawowali kontrolę nad uprawiającymi ziemię Indianami. Niemieccy i francuscy osadnicy w Ameryce Północnej natomiast tę ziemię odbierali tubylcom, by uprawiać ją samodzielnie. „Rezultatem była walka na śmierć i życie, w której nagrodę za zwycięstwo stanowiły ziemia, przestrzeń".

Ta walka dotyczyła nie tylko „przestrzeni koniecznej do zamieszkania", jak u ptaków budujących gniazda. W jeszcze większym stopniu dotyczyła „przestrzeni życiowej". Po to, by zagarnąć i zachować wystarczającą przestrzeń, inni muszą zostać usunięci. Oznacza to utratę przestrzeni – ich gatunek zostaje więc osłabiony i najczęściej wymiera, opuszcza przestrzeń na dobre.

Brak przestrzeni życiowej na naszej planecie sprawia, że stary gatunek musi zniknąć, by zrobić miejsce potrzebne dla rozwoju nowego. Warunkiem zatem powstawania nowych organizmów i postępu jest zagłada. „Historia zna wiele przykładów wymierania ludów pierwotnych na skutek inwazji narodów cywilizowanych".

Jak wielki wpływ na utratę przestrzeni przez dotychczasowy gatunek mają czynniki wewnętrzne, takie jak utrata energii życiowej, a jaki zwycięskie ataki nowego gatunku, to pytanie pozostaje wciąż otwarte. Pewne jest tylko to, że regresja gatunku przejawia się zawsze zepchnięciem go na znacznie mniejszą przestrzeń.

Jedną z większych tajemnic w historii życia na ziemi jest śmierć niektórych najstarszych i największych grup zwierząt na samym progu trzeciorzędu. Gady panujące na lądzie i w wodzie w czasach triasu, jury i kredy wymarły na początku trzeciorzędu i zostały zastąpione przez ssaki i ptaki.

Nie wiemy dlaczego. Z naszego punktu widzenia wystarczy – powiada Ratzel – że wiemy, co się wydarzyło: jedna grupa zwierząt zastąpiła na pewnym obszarze inną grupę. Regresja powodowała wymieranie osobników w ramach grupy. A to z kolei oznaczało zmniejszanie się przestrzeni życiowej.

Ratzel nie musiał sam wyciągać wniosku. Był on oczywisty: naród, który nie chce podzielić losu dinozaurów, musi wciąż rozszerzać swoją przestrzeń życiową. Ekspansja terytorialna jest najpewniejszym i w gruncie rzeczy jedynym prawdziwym świadectwem żywotności narodu i rasy.

149[89]

Doktryna Ratzla stanowiła znakomite podsumowanie tego, co wydarzyło się w XIX wieku. Rozprzestrzenienie się Europejczyków na czterech kontynentach, rozwój imperiów brytyjskiego, francuskiego i rosyjskiego – te przykłady zdawały się dowodzić, że ekspansja terytorialna była konieczna i korzystna dla zdobywców. Terytorium w stanie stagnacji uważano za zjawisko równie nienormalne i groźne, co dzisiejszą stagnację PKB.

Ale na przełomie wieków, w roku 1900, kiedy to narodził się termin „przestrzeń życiowa", ten sposób widzenia już się zestarzał. Rozmiar przestrzeni miał decydujące znaczenie dla państw rolniczych; dla państw uprzemysłowionych ważniejsze były inne czynniki. Pod koniec XIX stulecia geograficznie niewiele znaczące Niemcy rozwijały się pod względem ekonomicznym równie szybko jak wielkie Stany Zjednoczone i szybciej niż imperium brytyjskie. Technika i edukacja nabrały większej wagi niż wielkość przestrzeni.

Doktryna przestrzeni życiowej nawiązywała do przeszłości. I może właśnie dlatego odniosła kolosalny sukces. Nawoływała mocarstwo, przybyłe jako ostatnie, do naśladowania swoich poprzedników. „Pokonana z 1870", jak w Niemczech nazywano Francję, stworzyła od tego czasu niemal największe na świecie imperium kolo-

nialne. Dlaczego nie Niemcy? Niemcy zaspały. Niemcy muszą to nadrobić!

W owym czasie kryterium nie stanowił dochód narodowy, eksport czy stopa życiowa (odpowiednie dane w tamtym czasie dla Niemiec prezentowały się bardzo korzystnie), lecz terytorium, trwała własność, *real estate*.

Filozofia przestrzeni życiowej domagała się, by potencjał, który Niemcy wypracowali przez tworzenie nowych środków produkcji, przemysł, użyty został do zdobycia większej ilości starego środka produkcji, ziemi – mniej więcej tak samo, jak nowi przemysłowi baronowie pokazali siłę, usuwając dawnych właścicieli z ich majątków.

Dlaczego? A dlaczego kulturysta pragnie powiększać muskuły? Ekspansja była celem samym w sobie, a cel ten był pozorny.

Mówi się, że im większy naród, tym większej potrzebuje przestrzeni. Naród, który „nie jest w stanie sam się wyżywić", jest skazany na wymarcie. Dlaczego? Na to pytanie nie ma żadnej odpowiedzi.

Hitler wywołał wojnę, by zdobyć więcej uprawnej ziemi. Kilka dziesięcioleci później wszystkie państwa Europy zaczęły płacić swoim rolnikom za to, by przestali tę ziemię uprawiać.

150[90]

W początkach politycznej kariery Adolfa Hitlera jeden z ewentualnych kierunków ekspansji był zamknięty. Flota brytyjska panowała na morzu i udaremniała każdą próbę zdobywania nowych terenów w koloniach.

Pozostał więc kontynent. Już w *Mein Kampf* Hitler opisuje przyszły podział świata między Anglią i Niemcami. Tereny na wschodzie zagarną Niemcy, tak jak to uczyniła Anglia na zachodzie w Ameryce i na południu w Indiach i Afryce.

To te plany realizował Hitler, napadając na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku.

W propagandzie niemieckiej wojnę przedstawiano jako antykomunistyczną wyprawę krzyżową. Hitler miał nadzieję, że w ten sposób zdobędzie sympatię w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych wśród wszystkich przeciwników komunizmu.

Wyprawa krzyżowa jednak nie doszłaby nigdy do skutku, gdyby nie istniały ku temu powody ekonomiczne.

W bliskiej perspektywie Hitler zamierzał zdobyć obszary rolnicze na zachodnich terenach Związku Radzieckiego i dzięki temu rozwiązać problem wyżywienia kraju w czasie wojny. A to, że ileś milionów ludzi (*zig Millionen Menschen*) zginie tam z głodu, było tylko dodatkowym plusem.

W dalszej perspektywie Hitler planował przyłączyć tereny rolnicze do niemieckiej przestrzeni życiowej. Ziemia, „która przez likwidację i usunięcie mieszkańców przeobrazi się w bezludną krainę" (mówiąc słowami Ratzla), przejdzie na własność niemiecką. Zdziesiątkowana ludność słowiańska stałaby się, jak lud Hererów w Afryce Południowej, sługami i robotnikami u niemieckich panów.

151[91]

Nocą 18 września 1941 roku Hitler obrazowo przedstawił współpracownikom jasną przyszłość, w której Ukraina i Zawołże staną się spichlerzem Europy, a niemiecki przemysł otrzyma zboże w zamian za tanie przedmioty codziennego użytku.

> Ukraińcom dostarczymy chusty na głowę, szklane paciorki i wszystko to, za czym przepada lud w koloniach.

Był to oczywiście żart. Żeby jednak zrozumieć wyprawę wojenną Hitlera na Wschód, trzeba zdać sobie sprawę, że dla niego miała to być wojna kolonialna. A tego rodzaju wojny rządzą się szczególnymi regułami. Potwierdził to uwielbiany przez prawicowych ekstremistów Heinrich von Treitschke w *Politik* (1898):

> Prawo międzynarodowe staje się tylko pustym frazesem w momencie, gdy chce się jego podstawowe zasady stosować także wśród ludów barbarzyńskich. Aby

> ukarać jakieś plemię murzyńskie, trzeba spalić wioski, bo bez ukarania dla przykładu nic się nie wskóra. Gdyby niemieckie państwo stosowało w takich przypadkach prawo międzynarodowe, to nie z powodów humanitarnych ani z poczucia praworządności, ale z powodu haniebnej słabości.

Treitschke sformułował tylko to, co w praktyce państwa europejskie stosowały już od dawna i co Hitler zastosował wobec swoich przyszłych „ludów kolonialnych" na Wschodzie.

W wojnie przeciw mocarstwom zachodnim Niemcy przestrzegali prawa wojennego. Jedynie trzy i pół procent angielskich i amerykańskich jeńców wojennych zginęło w niewoli.

Śmiertelność wśród jeńców na Wschodzie wyniosła pięćdziesiąt siedem procent.

Łącznie zgładzono trzy miliony trzysta tysięcy sowieckich jeńców wojennych, z czego dwa miliony już w pierwszym roku wojny. Przyczynami śmierci były choroby, głód, zimno, rozstrzeliwania i komory gazowe. Pierwszymi ofiarami gazu w Auschwitz byli Rosjanie.

Istnieje jednak zasadnicza różnica między tymi mordami a mordami na Żydach. Spośród Rosjan nieżydowskiego pochodzenia tylko określone grupy, przede wszystkim intelektualiści i komuniści, miały zostać zgładzone doszczętnie. Spośród pozostałych Rosjan – według planów kilkanaście milionów, a resztę miało pozostawić się przy życiu jako niewolniczą siłę roboczą dla Niemców. Naród żydowski natomiast miał zostać wytępiony w całości.

W tym tkwi istota Zagłady w Europie. Jednak w historii ekspansji zachodniej w innych częściach świata także jest wiele przykładów totalnego unicestwienia całych narodów.

152

Mój brzuch wypełniony jest wielkim krwawym pęcherzem. Cała jama brzuszna pełna jest czarnej krwi.

Podobnie jak czernieje paznokieć na palcu u nogi i odpada, kiedy krew już pod nim skrzepnie, tak też czernieje moje ciało i odpada.

Zostaje tylko pulsująca krew pod powłoką, cienką i mieniącą się jak bańka mydlana.

Ta ogromna czarna kropla krwi, utrzymująca się w całości dzięki napięciu powierzchniowemu jeszcze przez kilka sekund – to ja. Jeszcze chwila i eksploduję.

153

„Te najbardziej odrażające działania nazistów (szczególnie masakry Żydów) [...] miały stosunkowo niewiele wspólnego z nazistowskim programem dotyczącym polityki mocarstwowej" – pisze Woodruff D. Smith w *The Ideological Origins of Nazi Imperialism* (1986).

Smith jest ekspertem w tej dziedzinie. A mimo to uważam, że nie ma racji.

Ekspansja imperialistyczna dała nazistom 1) przekonanie o realności takich działań i 2) ekonomiczny powód wytępienia Żydów. Projekt zagłady zaczerpnął 3) teoretyczne ramy i filozofię przestrzeni życiowej z tradycji imperialistycznej. Do tej samej tradycji należy też 4) historyczny pierwowzór żydowskiej eksterminacji: ludobójstwo w koloniach.

Kiedy zaczęto mordować Żydów, pozostało ich jeszcze w Niemczech ćwierć miliona. Reszta uciekła lub została wypędzona. Wielkie skupiska żydowskiej ludności występowały w Polsce (milion osiemset tysięcy) i Rosji (pięć milionów)[92]. Z praktycznego punktu widzenia ułatwiało to Hitlerowi realizację planu eksterminacji, wystarczyło bowiem napaść i zdobyć oba te kraje.

Najważniejszym celem podboju nie było bynajmniej mordowanie ludności żydowskiej, tak jak nie było intencją osiedlających się Amerykanów mordowanie Indian. Zamierzano poszerzyć przestrzeń życiową. Rosyjscy Żydzi zamieszkiwali tereny, które Hitler właśnie planował zdobyć. Stanowili oni dziesięć procent całej ludności i do czterdziestu procent mieszkańców miast[93].

Dla najgorliwszych wyznawców ideologii nazistowskiej mord na Żydach to realizacja kluczowego punktu programu ich partii. Dla

mniej gorliwych natomiast morderstwa były praktycznym sposobem zmniejszenia konsumpcji oraz przygotowaniem miejsca dla napływających niemieckich osadników. Biurokracja niemiecka mówiła o „odżydzeniu" (*Entjudung*) jako metodzie usunięcia „nadwyżki konsumentów" (*überzählige Esser*) i tym samym stworzenia „równowagi między wielkością zaludnienia a wytwarzanymi produktami".

Siłą napędową kariery politycznej Hitlera była fanatyczna nienawiść do Żydów. Korzenie jego antysemityzmu tkwiły w tysiącletniej tradycji, która często prowadziła do morderstw i masowych mordów Żydów. Granicę między masowymi morderstwami a ludobójstwem przekroczono jednak dopiero wtedy, gdy tradycja antysemityzmu zetknęła się z tradycją ludobójstwa wyniesioną z czasów ekspansji Europy w Ameryce, Australii, Afryce i Azji.

Zgodnie z doktryną przestrzeni życiowej, Żydzi egzystowali jako naród bez własnego państwa, podobnie jak małe ludy myśliwskie w Afryce Środkowej. Należeli do jeszcze niższej rasy niż Rosjanie i Polacy. Do rasy, która nie mogła sobie rościć prawa do życia. Unicestwianie przedstawicieli tych niższych ras (nieważne, jak ich nazywano: Tasmańczykami, Indianami czy też Żydami) było zgodne z prawem natury, jeśli stanowili oni przeszkodę dla rozwoju innych. Tak postępowali władcy świata zachodniego.

Naziści naznaczyli Żydów gwiazdami na płaszczach i stłoczyli w „rezerwatach" – tak jak Indian, jak ludy Hererów, Buszmenów, Amandabele i całej reszty Dzieci Gwiazd. W tych rezerwatach po prostu umierali, kiedy wstrzymano transport żywności. Gorzka to reguła, według której naród znajdujący się na niższym stopniu cywilizacji ginie w kontakcie z narodem o wysokiej kulturze. A jeśli wymiera w niewystarczająco szybkim tempie – to skrócenie mu cierpień jest aktem miłosierdzia. Przecież i tak skazany jest na śmierć.

154

Auschwitz był nowoczesną, przemysłową realizacją eksterminacji, której zamysł od dawna już drzemał wśród europejskich władców

świata.

do Zinder

155[94]

Mord na narodzie żydowskim, tak jak każde inne wydarzenie, jakkolwiek *einzigartig* by ono było, trzeba widzieć w kontekście historycznym.

Arno J. Mayer w kontrowersyjnej książce *Why Did the Heavens Not Darken. The „Final Solution" in History* (1988) cofa się do koszmarów wojny trzydziestoletniej, do szturmu Magdeburga 10 maja 1631 roku, kiedy zamordowano trzydzieści tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. A nawet do czasów jeszcze wcześniejszych, do roku 1096, kiedy krzyżowcy dopuścili się masowego mordu na tysiąc stu niewinnych mieszkańcach Moguncji. Przykłady podane w książce miały udowodnić tezę, że w historii dochodziło już do wydarzeń analogicznych do mordu na narodzie żydowskim w czasie II wojny światowej.

Nie wspomina się natomiast o uprawianym przez Europejczyków handlu niewolnikami, który doprowadził do przymusowej wędrówki między kontynentami piętnastu milionów czarnoskórych, a być może tyle samo pozbawił życia. Nie wspomina się też europejskich wojen kolonialnych XIX i XX wieku oraz ekspedycji karnych. Gdyby Mayer choćby rzucił okiem na ten fragment historii, znalazłby tak wiele przykładów brutalnej eksterminacji o podłożu czysto rasistowskim, że przywoływanie ducha odległych wydarzeń jak wojna trzydziestoletnia i wyprawy krzyżowe okazałoby się zbyteczne.

Tylko w czasie mojej podróży przez Saharę trafiłem do dwóch Moguncji. Jedna z nich nosi nazwę Zaatcha. Cała jej ludność wybita została przez Francuzów w 1849 roku. Druga nazywa się Laguat. Tu po szturmie 3 grudnia 1852 roku dokonano masakry pozostałej jeszcze przy życiu jednej trzeciej ludności, głównie kobiet i dzieci.

W jednej tylko studni znaleziono dwieście pięćdziesiąt sześć ciał i niezliczoną ilość padliny.

W taki oto sposób obchodzono się ze słabszymi rasami. Mówienie o tym nie należało do dobrego tonu. Ale nie było to też coś, co należało ukrywać. Uznawano to za powszechnie przyjętą praktykę.

Zaledwie kilka razy, incydentalnie, wywiązała się dyskusja – na przykład o wypadkach, które rozegrały się w tym samym czasie, kiedy Joseph Conrad pisał *Jądro ciemności*, a środkowoafrykańska ekspedycja była w drodze do Zinder.

156

Autobus do Zinder odjeżdża o siódmej trzydzieści. O świcie znajduję człowieka z taczką. Pomaga mi przewieźć komputer i torbę.

Ranek jest wietrzny i mroźny. Kilka płomyków migocze na straganach po przeciwnej stronie ulicy. Pojedyncze lampy jarzą się słabiutko, przytłumione brzaskiem poranka.

Po półgodzinie nadchodzi kierowca i bierze się do mycia szyb przerobionej na autobus potężnej ciężarówki Renault. Po obu stronach wozu wielkie czerwone litery: SOCIÉTÉ NATIONALE DE TRANSPORT NIGERENNE.

Zaczynają schodzić się sprzedawcy papierosów na sztuki i klejących się lizaków. Dygoczący z zimna człowiek obnosi w koło tackę z obranymi, frywolnie nagimi czerwonymi orzechami. Jaskrawożółta dziecięca czapeczka otacza jego czarną jak węgiel twarz.

Później, o wpół do dziewiątej, nadchodzą niewidome kobiety, wszystkie w tej samej chwili, wszystkie zawodzące i żebrzące, każdą prowadzi dziecko, kilka z nich ma przytroczone na plecach niemowlęta.

O godzinie dziewiątej zaczyna się wywoływanie nazwisk z listy pasażerów, każdy otrzymuje mały karteluszek, który po ponownym wywołaniu zamienia się na zamówiony i opłacony bilet.

Człowiek stojący na beczce podrzuca bagaże kierowcy, który upycha je na dachu autobusu.

Następnie do pojazdu wchodzi kierownik stacji i stojąc w miejscu, skąd ledwo go można słyszeć, rozpoczyna trzecie i rozstrzygające sprawdzanie listy pasażerów. Trudno przewidzieć, jak zabrzmi nazwisko takie jak moje. Przegapiłem je i tym samym straciłem zarezerwowane miejsce z przodu autobusu. Pozostały jedynie te najdalsze z tyłu.

Mogę się jeszcze rozmyślić. Mogę jeszcze wyskoczyć. Tu, na tylnych siedzeniach, wyboje dadzą mi się we znaki. Ale stamtąd, z pustyni, nie będzie już powrotu. Te osiem godzin trzeba po prostu przetrwać i pchać się jak najdalej, cokolwiek by się wydarzyło. Teraz, właśnie teraz i tylko teraz, mam jeszcze szansę wysiąść...

Ten sam aliaż paniki i szczęścia w chwili wyjazdu. To jakby tracić grunt pod nogami w wielkim zauroczeniu. Co zdarzy się teraz? Nie mam zielonego pojęcia, wiem tylko, że już wpadłem jak śliwka w kompot.

157[95]

Na czele środkowoafrykańskiej ekspedycji stali kapitan Voulet i porucznik Chanoine.

Trzydziestodwuletni syn lekarza, Paul Voulet, wyróżniał się, według jego kolegów oficerów, „prawdziwym upodobaniem do krwi i okrucieństwa, a czasem infantylną wrażliwością". Miał, powiedziano potem, słabą osobowość zdominowaną przez dwoje złych ludzi, jego czarną kochankę i Chanoine'a.

Syna generała, Charles'a Chanoine'a, określano jako impulsywnego, bezwzględnego i okrutnego – „był okrutny zarówno z powodu swojej zimnej krwi, jak i żądzy". Ci dwaj przyjaciele dwa lata wcześniej, w 1896 roku, zdobywali Uagadugu w obecnym Burkina Faso, gdzie okazali się mistrzami palenia osad i mordowania krajowców. Przed wyruszeniem nowej ekspedycji Voulet przechwalał się przed gubernatorem Sudanu, jak to on potrafi zmiażdżyć opór płonącymi wioskami.

Mimo, a może i dzięki swojej reputacji, Voulet został mianowany szefem ekspedycji, której zadaniem było zbadanie terenów między rzeką Niger i jeziorem Czad, a także objęcie ich, jak to określano, „francuską protekcją".

W pozostałych sprawach rozkazy, jakie dostał, były tak mgliste, że wręcz dało się uznać, że ich w ogóle nie ma. „Nie wydaje mi się, żebym mógł poinstruować was co do wyboru drogi czy też sposobu zachowania się wobec wodzów i ludów tubylczych" – pisał niezdecydowany minister kolonii.

Voulet miał więc wolną rękę, jeśli chodzi o metody, z których był znany.

158

Czterysta pięćdziesiąt kilometrów to odległość, jaka dzieli Agadez i Zinder. Czterysta pięćdziesiąt kilometrów tarki do prania, pokrytej wysokimi piaszczystymi wydmami, na których autobus podnosi się i opada, wściekle miotany na twardych wybojach.

Kierowca stara się utrzymywać dobrą prędkość, aby zdążyć przed zachodem słońca. To tak jakby siedzieć na drgającej wiertarce pneumatycznej. Od tych wibracji tłuszcz we krwi zostanie, ani chybi, przerobiony na masło.

Równocześnie trzeba być w ciągłym pogotowiu, by w każdej chwili móc zerwać się z siedzenia i podskoki na tych największych wybojach amortyzować mięśniami ud i ramion, zamiast stosem pacierzowym. Przepuszczałem jednak co piątą, może co dziesiątą dziurę, nie zauważałem na czas manewru kierowcy, zwalniającego pedał gazu, by w następnej chwili ruszyć pełną parą ku samemu sercu globu ziemskiego.

Wszystkie twarde części kręgosłupa osuwają się i cały wstrząs muszą wziąć na siebie te bardziej miękkie i elastyczne chrząstki międzykręgowe.

W pierwszych godzinach jazdy wieje silny wiatr. Pył zamienia dzień w białą noc. Piasek gna poprzez step i sawannę. Tonie w nim

biała trawa stepowa, krzewy rozpaczliwie galopują na piaskowych falach. Niewyraźne sylwetki pojedynczych drzew wyłaniają się co jakiś czas w mrocznej mgle unoszącego się pyłu, postaci przypominające ludzi pędzą naprzód, smagane piaskiem.

Wydaje się, że to piasek atakuje na pustyni, ale tak naprawdę zabija susza. Martwa roślinność nie może już ani związać, ani poskromić piasku. Jedziemy więc godzinami przez ogołocone lasy, w których zaledwie co setne drzewo pozostało przy życiu. Na powierzchni ziemi ścielą się białe pnie, podobne do powykręcanych szkieletów.

Po pięciu godzinach nagle znajdujemy się wśród uprawnych pól. Ich granica przybliżyła się aż do samej pustyni. Ten mizerny kawałek przestrzeni życiowej nomadów, znajdujący się między pustynią a pasem ziemi uprawnej, już nie istnieje.

Właśnie tym szlakiem, wzdłuż krawędzi pustyni, w roku 1898 podążała środkowoafrykańska ekspedycja.

Składała się z dziewięciu francuskich oficerów, siedemdziesięciu zawodowych żołnierzy senegalskich i trzydziestu tłumaczy oraz „agentów". Poza tym zwerbowano czterystu ludzi do „oddziałów pomocniczych" – Afrykanów towarzyszących Francuzom i biorących udział w bitwach głównie po to, by mieć okazję do rabunków. W Timbuktu dołączyło dziewięćdziesięciu Senegalczyków, których pułkownik Klobb przekazał do dyspozycji kierownictwa wyprawy.

Voulet wziął z sobą duże ilości broni i amunicji, za to nie miał żadnych funduszy na opłacenie tragarzy. Wyłapano więc po prostu ośmiuset czarnych i zmuszono do dźwigania bagażu. Kiedy wzięto ich do niewoli, ubrani byli odpowiednio do gorącego klimatu. Teraz cierpieli z powodu zimnych nocy na pustyni. Wybuchła epidemia dyzenterii, która spowodowała śmierć stu czterdziestu ośmiu tragarzy już w pierwszych dwóch miesiącach ekspedycji. Chanoine dla przestrogi pozwalał zabijać każdego podejmującego próbę ucieczki.

Żywność rekwirowano w wioskach, bez zapłaty, rzecz jasna. Ekspedycja, która razem z taborem wojskowym i metresami rozrosła się do tysiąca sześciuset ludzi i ośmiuset sztuk zwierząt, ciągnęła naprzód jak chmara szarańczy przez rejony, gdzie nawet w normalnych warunkach żyło się na granicy głodu. Obaj dowódcy znaleźli się po raz pierwszy na pustyni. Nie mieli żadnego doświadczenia. Ekspedycja krążyła między punktami z wodą, podporządkowana konieczności dostarczenia zwierzętom i ludziom czterdziestu ton wody dziennie.

160

W tym czasie Joseph Conrad siedział w Pent Farm, w hrabstwie Kent, przy sekretarzyku w stylu chippendale, i pisał ołówkiem powieść o Kurtzu. Historię przestępstwa popełnionego w imię Cywilizacji i Postępu.

Nie mógł byc pod wpływem wydarzeń, które w tym samym czasie rozegrały się we francuskim Sudanie z tego prostego powodu, że o nich nie wiedział.

Dopiero dwudziestego dziewiątego stycznia, kiedy Conrad już niemal skończył powieść, jeden z francuskich oficerów, porucznik Peteau, został odesłany z powodu „braku dyscypliny i entuzjazmu". Dopiero piątego lutego tenże Peteau napisał piętnastostronicowy list do swojej narzeczonej w Paryżu, opisując niektóre z okropności, których był świadkiem.

Zwerbowani przemocą tragarze byli maltretowani, odmawiano im opieki medycznej podczas epidemii dyzenterii, pisze Peteau. Tym, którzy nie mieli już siły iść dalej, podrzynano gardła. Dwunastu tragarzy rozstrzelano za próbę ucieczki, pozostałych skuwano łańcuchami zawieszonymi na szyi, w grupach po pięciu.

Francuzi dla złapania nowych tragarzy wysyłali patrole, które o świcie okrążały wioski. Strzelali do każdego, kto próbował uciekać. Na dowód właściwego wykonania rozkazu żołnierze brali z sobą odcięte głowy. Voulet kazał nadziewać je na pale i wystawiał

na widok publiczny, by w ten sposób przerazić i zmusić ludność do uległości.

W Sansan-Hausa, wiosce znajdującej się pod francuską protekcją, Voulet wydał rozkaz zabicia trzydziestu kobiet i dzieci – bagnetami, dla zaoszczędzenia amunicji. Według miejscowego wodza Kourteya, ofiar było znacznie więcej. „Nic im przecież nie zrobiłem" – mówił. – „Dałem im wszystko, o co prosili. Rozkazali mi, abym w ciągu trzech dni dostarczył sześć koni i trzydzieści krów. Dostarczyłem. I mimo to zabili wszystkich, których udało im się dopaść: stu jeden mężczyzn, kobiet i dzieci".

161[96]

Przerażona narzeczona Peteau wysłała jego list do swojego przedstawiciela w parlamencie, a w połowie kwietnia rząd został zmuszony do interwencji.

Stacjonujący w Timbuktu pułkownik Klobb otrzymał od gubernatora Sudanu rozkaz odszukania Vouleta i odebrania mu przywództwa nad ekspedycją.

Tak jak Marlow w powieści Conrada powędrował w głąb lądu, by odszukać Kurtza, tak i Klobb zaczął ścigać Vouleta. Łatwo się podążało po jego śladach – zgliszcz i trupów było tym więcej i tym bardziej były przerażające, im bliżej celu się znajdował.

W czasie marszu Klobb spotykał potworne drogowskazy w postaci powieszonych ludzi, wiszących tak nisko, że stopy objadły im hieny, a reszta ciała została wydana sępom. W pobliżu spalonej wioski Tibiri, dwadzieścia mil na zachód od Zinder, Klobb natknął się na ciała trzynastu kobiet wiszących na drzewach. Bliżej Zinder, pod Koran-Kaljo, wisiały ciała dwojga dzieci.

10 czerwca 1899 roku Klobb dotarł do maleńkiej wioski Damangara, gdzie dowiedział się, że do miejsca pobytu Vouleta jest zaledwie parę godzin marszu.

W środku nocy dzwoni mój ojciec. Zaskoczony i zdezorientowany biegnę w ciemnościach przez hotelowy ogród, by odebrać w recepcji. W słuchawce słychać tylko głuche trzaski.

Niczego innego nie można było oczekiwać, dociera do mnie po przebudzeniu. Przecież ojciec nie żyje.

Spiekota chwyta mnie w wilgotne macki. Żar Sahary pali jak uderzenia biczem. Daje się we znaki tylko tam, gdzie dociera reflektor słońca – w cieniu jest chłodno, a nocą wręcz zimno. Tu, w Zinder, temperatura latem rzadko spada poniżej czterdziestu stopni.

Nabrzmiewają żyły, wiją się pod skórą niczym żmije – tłoczą, pulsują, gotowe za moment eksplodować.

Puchną i ręce, i nogi, spody stóp parzą, palce przypominają małe kije golfowe, skóra okazuje się za ciasna.

Twarz nabrzmiewa, staje się gąbczasta i porowata. Pot pojawia się nagle i jak ciężka kropla deszczu uderza o skórę.

Czuję palący żar na wewnętrznej stronie przedramienia i rejestruję jego muśnięcie na brzuchu – przypiekam się o swoje własne ciało.

Cała tkanka mięśniowa wypełnia się galaretowatą masą, a ta zaczyna wyciekać. Najmniejszy gest i jest się mokrym. Nawet gdy człowiek się nie rusza, i tak jest mokry.

Piję tak dużo, że bilans soli w ciele zostaje zakłócony. Jem więc sól, jestem po niej spragniony i muszę pić jeszcze więcej. Brzuch pęcznieje, ciało chlupocze, znikąd pomocy.

Następnego dnia siedzę jak zwykle w bibliotece Instytutu Francuskiego i czytam dziennik Klobba. Ale myśli zastygają jak krzepnąca w mózgu krew, popołudnia zaczynają się coraz wcześniej i zapadają coraz głębiej w upalne odrętwienie.

Wieczorem, kiedy siedzę i przy odbiorniku właściciela hotelu czekam na wiadomości, w tym wznoszącym się i opadającym szumie zakłóceń słyszę budzący się ocean.

Przetaczają się nade mną grzmiące, długie, pełne rozkosznego chłodu potężne fale kosmosu.

Spotkanie Klobba i Vouleta było jeszcze bardziej dramatyczne od spotkania Marlowa i Kurtza w powieści Conrada – właśnie już ukończonej i opublikowanej w „Blackwoods Magazine". Marlow nie musiał wywierać nacisku na Kurtza, by towarzyszył mu w drodze powrotnej. Kurtz był ciężko chory, toteż udało się go na tę podróż namówić. Voulet odmówił.

Klobb wysłał sierżanta i dwóch żołnierzy z listem, w którym krótko i wyraźnie informował Vouleta, że dowództwo ekspedycji zostaje mu odebrane i że natychmiast ma powrócić do kraju. Voulet odpowiedział, że jest w posiadaniu sześciuset karabinów wobec pięćdziesięciu Klobba, który zostanie przywitany ogniem, jeśli tylko się do niego zbliży.

Trzynastego lipca Voulet wydał rozkaz rozstrzelania stu pięćdziesięciu kobiet i dzieci w odwecie za śmierć dwóch jego żołnierzy w czasie ataku na pobliską wioskę. Tego samego dnia jeszcze raz napisał do Klobba i ostrzegł go, by się nie zbliżał.

Klobb był przekonany, że ani senegalscy żołnierze, ani francuscy oficerowie nie będą strzelać do przełożonego, białego oficera. Liczył na to, że ta grupa dziewięćdziesięciu żołnierzy, których udostępnił ekspedycji, podporządkuje się jego rozkazom.

Nie wiedział jednak, że Voulet i Chanoine ukryli jego list przed resztą białych i wysłali ich z najróżniejszymi zadaniami po okolicy. Pozostawili przy sobie jedynie te oddziały czarnych, które były im wierne.

Czternastego lipca, w dniu święta narodowego Francji, oddziały Klobba i Vouleta stanęły naprzeciw siebie. Klobb wydał swoim ludziom wyraźny rozkaz nieużywania pod żadnym pozorem broni. Po czym bardzo wolno zaczął zbliżać się do Vouleta. Ten nakazał swoim żołnierzom wystrzelić dwie salwy w powietrze. Klobb zatrzymał się, kiedy znalazł się w odległości, z którejmógł być słyszany, i zaczął mówić bezpośrednio do żołnierzy.

To rozwścieczyło Vouleta. Pod groźbą pistoletu zmusił swój oddział do otwarcia ognia. Klobb został ranny i padł na ziemię. Mimo

to wciąż wołał do swoich ludzi, by nie odpowiadali ogniem. Następna salwa go zabiła.

164

Voulet, przebywając w głębi Afryki, nie miał rzecz jasna dostępu do opublikowanej właśnie powieści Conrada o Kurtzu. Białym człowieku, który wykorzystując przerażenie, jakie budził, i dzięki oszukańczym, pseudomagicznym zabiegom obwołał siebie królem czarnego królestwa, w samym sercu kontynentu.

Kiedy biali oficerowie powrócili wieczorem, Voulet opowiedział im, co się wydarzyło, i zaproponował następujące rozwiązanie: pomaszerują dalej, aż do jeziora Czad, i tam utworzą własne państwo, „silne i niedostępne cesarstwo, otoczone pozbawioną wody pustynią".

– Nie jestem już Francuzem, jestem czarnym wodzem – oznajmił Voulet.

Nazajutrz czarni sierżanci postanowili wzniecić bunt. Voulet został uprzedzony przez tłumacza, którego zaraz potem zastrzelił za to, że nie ostrzegł go wcześniej. Dosiadłszy wraz z Chanoine'em koni, przemawiał do żołnierzy i jednocześnie do nich strzelał. Zbuntowani odpowiedzieli ogniem, zabijając Chanoine'a. Następnego ranka, gdy próbował zbliżyć się do obozu, zastrzelony został również Voulet.

Francuscy oficerowie przeprowadzili naradę wojenną, na której postanowili, że ekspedycja będzie kontynuowana. Pomaszerowali więc w kierunku Zinder i opanowali miasto.

165[97]

Właściciel hotelu całymi dniami przesiaduje w ogrodzie i rozmawia ze swoją papugą. Jego głos jest czuły i pieszczotliwy, kompletnie niepodobny do rozkazującego tonu, jakim mężczyzna posługuje się w kontaktach z otaczającym go światem.

Od czasu do czasu przyprowadza tu swoje dwa psy i musztruje je w ogrodzie. Gdzieś pomiędzy papugą i psami jest miejsce dla przybranego syna, ślicznego czarnego chłopca, dziecka jego zmarłej gospodyni.

Jedynym gościem jestem ja.

Zagłębiam się w historię Zinder. Okazuje się, że już latem 1899 roku znacznie większa ekspedycja francuska była w drodze do Zinder po przejściu przez Saharę.

Zdobywanie miasta przez następnych Francuzów okazało się zatem działaniem zbytecznym.

Jako pierwsi dotarli do Zinder pozostali przy życiu uczestnicy ekspedycji środkowoafrykańskiej. To oni okryli się nieprzemijającą sławą zdobywców. Oficerowie, uczestnicy ekspedycji liczyli na to, że dzięki temu ich zbrodnie zostaną puszczone w niepamięć.

Nie mylili się.

Gdy dwudziestego trzeciego sierpnia wieść o morderstwie Klobba dotarła do Paryża, rozpoczęto oficjalne śledztwo. Na podstawie zeznań świadków i dokumentów zebranych w trzech wielkich pudłach znaleziono jedyne możliwe wyjaśnienie: klimat. Voulet popadł w szaleństwo z powodu afrykańskiego żaru.

Przestępstwa innych zostały wybaczone i zapomniane. Francja zachowała podbite przez siebie tereny.

Francuska lewica objęła władzę w 1899 roku i nie było w jej interesie odgrzebywanie tego tematu. Dla prawicy było to jeszcze mniej wygodne. Makabryczna prawda pozostała w kartonach wypełnionych dokumentami ze śledztwa.

166

Mimo to fakty ujrzały światło dzienne. Wykształceni Francuzi zdawali sobie sprawę w mniejszym lub większym stopniu, w jaki sposób zdobywano kolonie i zarządzano nimi.

Tak jak i w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ci sami wykształceni Francuzi dobrze wiedzieli, co robią ich oddziały w Wiet-

namie i Algierii.

Podobnie jak wyedukowani Rosjanie w latach osiemdziesiątych wiedzieli, co robią ich oddziały w Afganistanie, a południowi Afrykanie i Amerykanie byli świadomi charakteru działań prowadzonych przez ich „siły wsparcia" w tych samych latach w Mozambiku i Ameryce Środkowej.

Podobnie jak światli Europejczycy wiedzą dzisiaj, że dzieci umierają dlatego, że nad biednymi krajami wisi bicz zadłużenia.

To nie wiedzy nam brakuje. Oświecone społeczeństwa w swojej większości i niezależnie od epoki posiadły wiedzę na temat popełnianych dawniej i popełnianych obecnie potworności w imię Postępu, Cywilizacji, Socjalizmu, Demokracji i Rynku.

167

Na przestrzeni wszystkich epok opłacało się negować lub wypierać się owej wiedzy. Jeszcze i dziś można znaleźć wśród czytelników opowiadania Conrada takich, którzy utrzymują, że opisane wydarzenia nie były znane.

Poczynania Leopolda II w Kongu były czymś niespotykanym gdzie indziej, mówiono. Powieści nie można traktować jako oskarżenia całego cywilizowanego świata. Belgijski system ucisku w Kongu był bowiem zjawiskiem wyjątkowym, które już wówczas zostało potępione przez większość rozumnych ludzi.

Ale to właśnie w czasie gdy Conrad pisał swoją powieść, doszło do podobnych, tylko jeszcze gorszych, wydarzeń. Na brzegach innej rzeki – Niger, w drodze do innej chaty w tym samym jądrze ciemności.

Nie, Belgowie nie byli wyjątkowi, nie byli też nimi pozostający na ich służbie szwedzcy oficerowie. Conradowski Marlow mógłby wywodzić się z któregokolwiek z kulturalnych narodów europejskich. W praktyce cała Europa postępowała zgodnie z maksymą *„exterminate all the brutes*".

Wszyscy temu zaprzeczali, rzecz jasna. Oficjalnie. Wszyscy w głębi duszy mieli jednak tę świadomość.

I dlatego Marlow mógł opowiadać tak, jak to czyni w powieści Conrada. Nie potrzebował wyliczać wszystkich zbrodni, których dopuszczał się Kurtz. Nie musiał ich opisywać. Nie musiał przedstawiać dowodów. Nikt przecież nie miał wątpliwości.

Marlow-Conrad mógł spokojnie wyjść z założenia, że zarówno obaj słuchający go dżentelmeni na jachcie „Nellie", jak i konserwatywni czytelnicy „Blackwood Magazine", mimo obowiązującej tajemnicy, wiedzą wystarczająco dużo, by pojąć treść jego powieści. By własną wyobraźnią uzupełnić te szczegóły, o których jedynie się przebąkuje.

Ta ukryta między wierszami wiedza jest najważniejszym przesłaniem dzieła.

Teraz, już językiem powszechnie zrozumiałym i naukowo ścisłym, można by tę wiedzę streścić następująco: imperializm jest z biologicznego punktu widzenia procesem niezbędnym. Prowadzącym, zgodnie z prawami natury, do nieuniknionej zagłady ras niższych. Takie twierdzenie jest do przyjęcia.

Jak ten proces przebiegał w rzeczywistości i co się działo z oprawcami i ofiarami – o tym się już co najwyżej przebąkuje.

Kiedy w sercu Europy zdarzyło się to samo co w jądrze ciemności, nie znalazł się nikt, kto dostrzegłby tę analogię. Nikt nie chciał uznać tego, o czym wiedzieli już wszyscy.

168

Wszystko jedno pod jaką szerokością geograficzną, wszędzie tam, gdzie neguje się wiedzę, jeśli czyni się to świadomie, burzy obraz świata i zmusza do podania w wątpliwość naszej w tym świecie roli – wszędzie tam rozgrywa się *Jądro ciemności*.

Ty już to wiesz. Ja również. Nie wiedzy nam brakuje. Brak nam odwagi, by to, co wiemy, zrozumieć i wyciągnąć z tego wnioski.

[1] Olof Lagercrantz (1919–2002) – szwedzki pisarz, poeta i krytyk literacki, wieloletni redaktor naczelny największego dziennika szwedzkiego „Dagens Nyheter".

[2] Etienne Glaser (ur. 1937) – szwedzki aktor, reżyser, scenarzysta; Duńczyk z pochodzenia, w Szwecji od 1943 roku.

[3] *Dzieciństwo Hitlera* – sztuka teatralna Niklasa Rådströma, wystawiona w Szwecji w 1984 roku w reżyserii Suzanne Osten.

[4] Holocen, najmłodszy okres geologiczny w epoce polodowcowej.

[5] Laing, cyt. za: Kim Naylor, *Guide to West Africa*, London 1986, s. 193; John Aubrey, *Brief Lives*, (I wydanie 1898) 1949, s. 157.

[6] Joseph Conrad, *Placówka postępu*, przeł. Aniela Zagórska, w tegoż: *Dzieła wybrane*, t. VII, Warszawa 1987, s. 89.

[7] Artur Lundkvist (1906–1991), pisarz i krytyk literacki; od 1968 roku członek Akademii Szwedzkiej.

[8] B.W. Sheehan, *Seeds of Extinction. Jeffersonian Philantrophy and American Indian*, Chapel Hill 1973; S.M. Stanley, *Extinction*, New York 1987; R.C. Lewontin w NZRB, 14 VI 1990.

[9] Margaret T. Hodgen; *Early Anthropology in the Sixteenth and Seventh Centuries*, Philadelphia 1964, s. 410; Joseph Conrad, *Jądro ciemności*, przeł. Ireneusz Socha, Kraków 2006.

[10] Wszystkie cytaty z *Jądra ciemności* Josepha Conrada w przekładzie Ireneusza Sochy (Kraków 2006). Aniela Zagórska zdanie *„Exterminate all the brutes"* przełożyła: „Wytępić te wszystkie bestie!" (Joseph Conrad, *Dzieła wybrane*, t. VII, Warszawa 1987, s. 263).

[11] H. Spencer, s. 416.

[12] Hartmann, t. II, s. 12, cyt. za: J.E. Saveson, „Modern Fiction Studies" 1970, nr 16 (2).

[13] *Historikerstreit. Die Dokumentation der Kontroverse um die Einzigartigkeit der nationalsozialistischen Judenvernichtung*, München 1987; Frank Chalk, Kurt Jonassohn, *The History and Sociology of Genocide*, New Haven 1990; Ervin Staub, *The Roots of Evil. The Origines of Genocide and Other Group Violence*, Cambridge 1989. Nikt z powyżej wymienionych autorów nie dostrzegał związku między ludobójstwem Hitlera i europejskim imperializmem. Zależność tę natomiast dostrzegł Richard L. Rubenstein, np. w tekście *Genocide and civilisation* (1987). Dziękuję Sverkerowi Sörlinowi za życzliwość i zwrócenie uwagi na twórczość Rubensteina oraz bibliografię ludobójstwa Heleny Feins: *Genocide. A Sociological Perspective*, w: „Current Sociology" 1990, nr 1.

[14] Historikerstreit – polityczno-naukowy spór toczony w Niemczech Zachodnich (RFN) w latach 1986–1989 o historyczną interpretację Holocaustu.

[15] K. Lange, *Der Terminus „Lebensraum" in Hitler's Mein Kampf*, VJHZ, 13, 1965, s. 426–437; Edgar Sanderson, *The British Empire in the Nineteenth Century. Its Progress and Expansion at Home and Abroad*, London 1898; James Morris, *Pax Britannica. The Climax of an Empire,* London 1968, rozdz. 1; Aron L. Friedberg, *The Weary Titan. Britain and the Experience of Relative Decline 1895–1905*, Princeton 1988.

[16] Joseph Conrad, *Placówka postępu*, przeł. Aniela Zagórska, dz.cyt., s. 79.

[17] Keyerts wspomniany przez Zdzisława Najdera w tegoż: *Życie Conrada-Korzeniowskiego*, Warszawa 1980, t. I, s. 195.

[18] Neal Ascherson, *The King Incorporated*, London 1963; David Lagergren, *Mission and State in the Congo*, Uppsala 1970; „Region beyond" 1896, nr 5, s. 253.

[19] Tekst Dilkego wspomniany w: H. Zin, *Joseph Conrad and Africa*, Nairobi 1982; Joseph Conrad, *Placówka postępu*, dz.cyt., s. 90, 91.

[20] Oskar II – król Szwecji w latach 1872–1907.

[21] L. Courtney, w: „Journal of the Royal Statistical Society" 1898, nr. LXI:IV, s. 640.

[22] C. Lô, *Les foggaras du Tidikelt,* „Traveaux de l'Institut de recherches sahariennes", Alger 1953, s. 139; 1954, s. 49.

[23] Marabut – w islamie przywódca duchowy uważany za świętego i uzdrowiciela. Grobowiec nazywany jest marabutem.

[24] Iain R. Smith, *The Emin Pascha Relief Expedition 1886–1890*, Oxford 1972; Richard Hall, *Stanley*, London 1974; Frank McLynn, *Stanley, Sorcerers Apprentice*, London 1991.

[25] Mehmed Emin Ali Pasza (1840–1892) – właściwe nazwisko Eduard Schnitzer; urodzony w Opolu niemiecki Żyd; lekarz, podróżnik, znawca Afryki; od 1878 roku gubernator prowincji Ekwatoria w Sudanie.

[26] Philip Magnus, *Kitchener. Portrait of an Imperialist*, London 1958; Trevor Royle, *The Kitchener Enigma*, London 1985; Philip Warner, *Kitchener*, London 1985; P.M. Holt, *The Mahdist State, 1881–1898. A study of Its Origins, Development and Overthrow*, Oxford 1970; *Avrättningen av de sårade försvarades*, w: „Saturday Review" 3 IX, 10 IX.

[27] „…na cywilizacyjne wpływy przedsięwzięć handlowych".

[28] Geoffrey Parker, *The Military Revolution. Military Invention and the Rise of the West 1500–1800,* Cambridge 1988.

[29] Daniel R. Headrick, *The Tools of Empire. Technology and European Imperialism in the Nineteenth Century*, Oxford 1981; W. Broadfoot, *The Lee-Metford Rifle*, „Blackwoods Magazine" 1898, nr VI.

[30] Martin Reuss, *The Disgrace and Fall of Carl Peters*, „Central European History" 1981, nr XIV, s. 110; „Times" 26–27 IV 1897. Inne niemieckie przykłady: Lionel Decle, *Three Years in Savage Africa*, London 1900.

[31] Fragmenty *Mojej młodości* Winstona S. Churchilla za: *Moja młodość*, przeł. Tomasz Bieroń, Poznań 2000, s. 134, 139, 140.

[32] Wiliam Tordoff, *Ashanti under the Prempehs 1888–1935*, London 1965; Richard Austin Freeman, *Travels and Life in Ashanti and Ja-*

man, Westminster 1898; Michael Rosenthal, *The Character Factory*, London 1986; Tim Jeal, *The Boy-man. The Life of Lord Baden-Powell*, New York 1990; R.S.S. Baden-Powell, *The Downfall of Prempeh*, London 1896.

[33] Philip A. Igbafe, *Benin under British Administration*, Longman 1979; Felix von Lucha, *Die Altertümer von Benin,* Veröffentlichungen aus dem Museum für Völkerkunde, Berlin & Leipzig 1919; R.H. Bacon, *Benin. The City of Blood*, London 1898; M.M. Mahood, *The Colonial Encounter*, London 1977.

[34] T.O. Ranger, *Revolt in Southern Rhodesia 1896–1897. A Study in African Resistance*, London 1967; R.S.S. Baden-Powell, *The Matabele Campaign*, London (I wydanie 1897) 1901, s. 63.

[35] Ranger, 121.

[36] Darrel Bates, *The Fashoda Incident*, Oxford 1984; Norman Page, *A Kipling Companion*, London 1984; Charles Carrington, *Rudyard Kipling*, London 1955.

[37] „Podnieście brzemię białego człowieka – / Wyślijcie kwiat swojego plemienia – / Nuże popędźcie synów na wygnanie, / By jeńców waszych spełniali marzenia". Cyt. za: Norman Davies, *Wyspy. Historia*, przeł. Elżbieta Tabakowska, Kraków 2003, s. 745.

[38] Fragmenty *Wyrzutka* Josepha Conrada za: *Wyrzutek*, przeł. Aniela Zagórska, w: Joseph Conrad, dz.cyt., s. 64, 260; Fragment *Jądra ciemności* Josepha Conrada za: *Jądro ciemności*, przeł. Ireneusz Socha, Kraków 2006, s. 53, 63.

[39] „Najpierw przybyli oni, niewidzialni biali ludzie i zadawali śmierć z daleka…". Cyt. za: Joseph Conrad, *Wyrzutek*, przeł. Aniela Zagórska, w tegoż: *Dzieła wybrane*, t. II, pod red. Zdzisława Najdera, Warszawa 1972, s. 260.

[40] Daniel R. Headrick – amerykański naukowiec, profesor socjologii i historii, autor książki *The Tools of Empire*.

[41] Nicholas Delblanco, *Group Portrait. A Biographical Study of Writers in Community*, New York 1984; Iain Finlayson, *Writers in Romney Marsh*, London 1986; Miranda Seymour, *Henry James and His Literary Circle 1895–1915*, rozdz. 5.

[42] H.G. Wells, *Wyspa doktora Moreau*, przeł. Ewa Krasińska, Warszawa 1977, s. 90.

[43] W pierwszym polskim wydaniu powieści Wellsa (drugie i ostatnie jak dotąd miało miejsce w 1947 roku) kwestia brzmi: „To jest człowiek, w którym nie ma nic ludzkiego – rzekł Kemp. – Jestem pewny, że skoro tylko ochłonie z wrażenia tej ucieczki, będzie próbował działać terrorem. Nasza jedyna szansa jest wyprzedzić go. On sam wyzuł się z człowieczeństwa. Jego krew niech spadnie na jego głowę". Cyt. za: H.G. Wells, *Niewidzialny*, bez podania tłumacza, Wilno 1934, s. 130.

[44] H.G. Wells, *Wojna światów*, przeł. Lesław Haliński, Warszawa 2004, s. 11–12, 191–192.

[45] „Chamber's Journal" 30 IX 1893; Bernard Bergonyi, *The Early H.G. Wells*, Manchester 1961; Wells i Conrad: wybór literatury w: „Journal of Modern Literature" 1986, s. 37 i nast.

[46] Graham, s. 25, 43.

[47] *Higginson's Dream*, „Saturday Review" 1 X 1898; Cedric Watts, *Cunninghame Graham. A Critical Biography*, Cambridge 1979.

[48] Joseph Conrad, *Ocalenie*, przeł. Aniela Zagórska, w: Joseph Conrad, dz.cyt., s. 228.

[49] Enid Bagnold (1889–1981) – brytyjska pisarka, poetka i scenarzystka.

[50] *„En hare"* – w języku szwedzkim znaczy zając, zajęcze serce, tchórz.

[51] „Mémoires de l'Institut national des sciences et des arts. Sciences mathématiques et physiques", t. II, Paris 1799; Georges Cuvier, *Discours sur les révolutions de la surface du globe* (I wydanie 1812), 1985; Dorinda Outram, *Georges Cuvier*, Manchester 1984.

[52] Stanley, 1987, s. 2 i nast.; George G. Simpson, *Fossils and the History of Life*, New York 1983, rozdz. 1 i 5.

[53] *Cuvier*, 1985, przedmowa i posłowie.

[54] Wiliam Coleman, *George Cuvier. Zoologist*, Harvard 1964, s. 143–165.

[55] Hodgen, 1964, s. 408, 418; White.

[56] Bengt Wedholm (1919–1981) – znany szwedzki kucharz i restaurator.

[57] Erik Nordenskiöld, *Biologins historia*, t. II, s. 45; Honoré de Balzac, *Jaszczur*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Warszawa 1996, s. 26, 27.

[58] Outram.

[59] Karol Darwin, *Dzieła wybrane*, t. I, *Podróż na okręcie „Beagle”*, przeł. Kazimierz Szarski, Warszawa 1959, s. 98, 99.

[60] W. Bölsche, *Ernst Haeckel*, Leipzig 1900.

[61] Karol Darwin, *Dzieła wybrane*, t. II, *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli O utrzymaniu się doskonalszych ras w walce o byt*, przeł. Szymon Dickstein, Józef Nusbaum, Warszawa 1959, s. 121–122.

[62] *List do Lyella* cytowany za: „Journal of the History of Biology” 1977, nr 10 (19); George W. Stocking, *Race, Culture and Evolution. Essays in the History of Anthropology*, New York 1968, s. 113.

[63] Alfred W. Crosby, *Ecological Imperialism. The Biological Expansion of Europe 900–1900*, Cambridge 1986, rozdz. 4.

[64] Alfred W. Crosby, *The Columbian Exchange. Biological and Cultural Consequences of 1492*; Woodrow Borah, *New Spains Century of Depression*, Berkely 1951; Russel Thornton, *American Indian Holocaust and Survival. A Population History Since 1492*, Norman, 1987; Magnus Mörner, *Latinamericas Historia,* Stockholm 1969; Lewis Hanke, *Aristotle and the American Indian. A study in Race Prejudice in the Modern World*, London 1959.

[65] Magnus Mörner (ur. 1924) – szwedzki historyk zajmujący się dziejami Szwecji i Ameryki Łacińskiej.

[66] I. Smith, rozdz. 8.

[67] Philip D. Curtin, *The Image of Africa, British Ideas and Action 1780–1850*, Wisconsin 1964, s. 363, 373.

[68] Karol Darwin, *Dzieła wybrane*, t. I, *Podróż na okręcie „Beagle”*, dz.cyt., s. 109–110; James R. Scobie, *Argentina. A City and a Nation*, 1964, rozdz. 1.

[69] James Bonwick, *The Last of the Tasmanians*, London (I wydanie 1870) 1970; Robert Travers, *The Tasmanians. The Story of Doomed Race*, Melbourne 1968; George W. Stocking, *Victorian Anthropology*, 1987, s. 274 i nast.

[70] „…ścigani jak dzikie bestie i zgładzeni".

[71] Wykład Pricharda w Edin, „New philosophy Journal" 1839, nr 28, s. 166–170.

[72] D. Coates i in., Evidence on Aborigines, London 1837.

[73] Adrian Desmond i James Moore, Darwin, London 1991, s. 26; Curtin, 1964, s. 377 i nast., s. 364: „In time, the new racism was to become the most important cluster of ideas in British imperial theory…"

[74] Reade cytowany także u Zina 1982, s. 186.

[75] Thomas Malthus (1766–1834) – ekonomista, duchowny anglikański zajmujący się badaniami z pogranicza ekonomii i socjologii. Był jednym z pierwszych twórców katastroficznych wizji rozwoju ludzkości. Ukuł prawo, które nazwano Malthuzjańską pułapką: to sytuacja, w której (przy niezwykle niskiej wydajności w rolnictwie) aby przeżyć większość musi pracować na roli. Przy wzroście ludności szybszym niż przyrost produkcji rolnej pojawia się głód przyczyniający się do wzrostu śmiertelności. Z drugiej strony – wzrost produkcji rolnej (dzięki nawozom sztucznym) powoduje poprawę wydajności pól, a co za tym idzie szybki wzrost liczby ludności ponownie przywołujący widmo głodu.

[76] „Journal of the Anthropological Society of London" 1864, nr CLXV; Natural selection and tropical nature, 1878; John C. Gren, Darwin as a Social Evolutionist, „Journal of the History of Biology" 1997, nr 10; Karol Darwin, *Dzieła wybrane*, t. IV, *O pochodzeniu człowieka*, przeł. Stanisław Panek, pod red. Eugenii Stołyhwo, Warszawa 1959, s. 186.

[77] „Transactions of the Ethnological Society of London" 1867, nr 120.

[78] Green, 1977.

[79] Howison i Merivale, zob. 119.

[80] J.A.S. Grenville, *Lord Salisbury and Foreign Policy. The Close of the Nineteenth Century*, 1964, s. 165.

[81] Darwin, rozdz. 7; Woodruff D. Smith, *Politics and the Sciences of Culture in Germany 1840–1920*, Princeton 1991. Praca ta została mi udostępniona już po ukończeniu książki.

[82] Ratzel, s. 35, 119, 121.

[83] Kungsträdgården – Ogrody Królewskie w Sztokholmie, gdzie stoi pomnik Karola XII (1682–1718). Król Szwecji na pomniku wskazuje ręką na wschód.

[84] Knox, s. 149, 198.

[85] *Volksdienst* 1893, s. 21. „Alldeutsche Blätter" cytowane za: Lange, 1965.

[86] *Die Kämpfe der deutschen Truppen in Südwestafrika. Auf Grund amtlichen Materials bearbeitet von der kriegsgeschichtlichen Abteilung I des grossen Generalstabes. Erster Band. Der Feldzug gegen die Hereros*, Berlin 1906. Cytat z przedmowy i raportu porucznika, hr. Schweinitza; K. Schwabe, *Der Krieg in Deutsch-Südwestafrika 1904–1906,* Berlin 1907; Woodruff D. Smith, *The German Colonial Empire*, Chapel Hill 1978; Bley, Helmut, *Kolonialherrschaft und sozialstruktur in Deutsch-Südwestafrika 1894–1914*, Hamburg 1968; „Die Methoden der Menschenbehandlung haben auf das Mutterland zurückgewirkt", s. 314; Andrzej J. Kaminski, *Konzentrationslager 1896 bis heute*, München 1990, rozdz. 2.

[87] Kafrowie – dawna nazwa ludów Bantu.

[88] Lange, 1965.

[89] Paul Kennedy, *The Rise and Fall of the Great Powers,* rozdz. 5–6.

[90] Eberhardt Jäckel, *Hitlers Weltanschauung*, Tübingen 1969; Reinhard Rürup, *Der Krieg gegen die Sowjetunion 1941–1945*, Berlin 1991; R.-D. Müller, *Hitlers Ostkrieg und die deutsche Siedlungspolitik*, Frankfurt/M 1991.

[91] Werner Jochman (red.), *Monologe im Führerhauptquartier 1941–1944*, Hamburg 1980, s. 58; Gerd R. i in. Ueberschär (red.), *Der*

deutsche Überfall auf die Sowjetunion, Frankfurt/M 1991; Götz Aly, Susanne Heim, *Vordenker der Vernichtung*, Hamburg 1991, s. 115,123; Jäckel Eberhard, Rohwer Jürgen (red.), *Der Mord an den Juden im Zweiten Weltkrieg*, Frankfurt/M 1987, szczególnie s. 164 i nast.

[92] Autor opiera się prawdopodobnie na wyliczeniach dotyczących okresu po wrześniu 1939 roku, po podziale Polski między Niemcy i Związek Radziecki. Przed wybuchem II wojny światowej mniejszość żydowską szacowano na 3 miliony.

[93] Chodzi o obszary zachodniej Rosji, które Hitler zamierzał zdobyć w pierwszej kolejności i na których Żydzi stanowili 10 procent całej ludności i do 40 procent mieszkańców miast.

[94] Mayer, wstęp. Laghouat Zaatcha, zob. *Ökendykarna*, rozdz. 3 i 5.

[95] J.-F. Rolland, *Le grand capitaine*, Paris 1976; Douglas Porch, *The Conquest of the Sahara*, Oxford 1984; A.S. Kanya-Forstner, *The Conquest of the Western Sudan. A study in French Military Imperialism,* Cambridge 1969; M. Mathieu, *La Mission Afrique Centrale*, maszynopis pracy doktorskiej, Université de Toulouse-Mirail 1975, s. 40, 102, 151; *Documents pour servir á l'histoire de l'Afrique Occidentale Fracaise de 1895 á 1899*. Paris b.r.; General Jolland, *Le drame de Dankori*, Paris 1930; P. Vigné d'Octon, *La gloire du sabre*, Paris (I wydanie 1900) 1984; Dyskusje na łamach „Chambre des députés", 21 VI, 23 XI, 30 XI i 7 XII 1900.

[96] Klobb, *Dernier carnet de route*, Paris 1904.

[97] Pudła dokumentów obecnie w Dépôt des archives d'outre mer, Aix en Provence. Ponadto: Ian Watt, *Conrad in the Nineteenth Century*, London 1980; Patrick Brantlinger, *Rule of Darkness*, Ithaca 1988.

Redaktor serii: Adam Pluszka
Redakcja: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska, Adam Pluszka
Konsultacja: Elżbieta Rekłajtis
Korekta: Mariola Hajnus, Jadwiga Piller
Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Studio Page Graph,
na podstawie koncepcji graficznej **mama**studio
Ilustracja na I stronie okładki: © Bettmann/CORBIS
Fotografia autora: © Ulla Montan

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne Piaseczno, Żółkiewskiego 7

ISBN 978-83-7747-436-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Wydawnictwo W.A.B.

i Magdalena Wojtas / Virtualo Sp. z o.o.